Stanisław Tokarski

Na wzburzonej fali

Powieść współczesna.

Lwów 1907.
Nakładem księgarni Maniszewskiego i Meinharta
Lwów, plac Halicki l. 3.

Tobie,

coś mi była nietylko towarzyszką, ale zarazem jedyną ostoją na wzburzonej fali życia,

z czcią oddaję te kartki.

I.

Julian czytał:

. . . .

. . . .

Więc gdy nad moją osiwiałą głową przechodzą burze jesienne; gdy z drzewa życia opadają ostatnie liście porywów i zwodniczych nadziei; gdy widzę, że zbliża się, że może już jutro nadejść chwila, w której nie zdołam znaleść drogi wśród tych zagmatwanych dzisiejszych ścieżek życia; gdy naokół, we wszystkich zagadnieniach i pragnieniach istnienia, we wszystkich walkach, zwycięztwach i upadkach, przebijają jakieś demoniczne, krwawe przebłyski, wyszłe z mętnych nurtów, zapienionych nienawiścią, wściekłością, a opętanych żądzą dzikiego panowania; gdy zachodzący dzień każe obliczać nie dorobek, lecz same niepowetowane straty, a wschodzące słońce nie przychodzi, by siać rodzące promienie, lecz by rozpalać namiętności, wysuszać serca z miłości i odzierać duszę z czaru wiary i dostojeństwa: proszę cię mój synu, dorzuć ostatnie cegiełki do budowy swojej

świątyni nauki, oderwij na chwilę myśl od dalekich, a przepięknych horyzontów wiedzy, złóż książki i papiery, spakuj wszystkie okazy, zebrane z takim trudem i narażeniem życia we wszystkich najniedostępniejszych szczelinach niebotycznych łańcuchów gór trzech części świata — i przyjeżdżaj do Dębowca, a rychło, — bo wskazówka na zegarze wciąż nieubłaganie naprzód się posuwa. Potrzebuję cię i to niech ci wystarczy.

. . . .

Odłożył list i zadumał się, patrząc przez otwarte okno swojej pracowni na blade obłoki, co w sinawej dali płynęły grupami ponad dachy i kopuły, ponad zwarzoną zieleń ogrodów, plant i lekkich wyniosłości Monachium.

Prawą rękę położył na otwartej książce, na lewej wsparł głowę kształtną.

— Wracać, wracać, mówił sobie w duszy — a tu tak błogo, tak cicho, tak radośnie, wśród tych skarbów nagromadzonych z całej kuli ziemskiej. Wracać z drogi, którą się odszukało wśród ciemnych labiryntów, rzucić i zagasić światło, które się odnalazło w niedostępnych dotychczas oku ludzkiemu ciemnościach? A cóż mię obchodzić mogą, jakieś tam walki, upadki i zwycięstwa, jakieś porywy i demonicznie krwawe przebłyski, wyszły z mętnych nurtów istnienia, — czyż to wszystko warte więcej, niż jedno ziarnko piasku Sahary, lub odłamek granitu z czeluści Giewontu? Toż samo słońce wschodzi i zachodzi od nieskończoności jednej do nieskończoności drugiej, te same promienie wlewa w przestrzeń i tak samo

ciągle oświeca walkę rodu ludzkiego o byt i panowanie, poczętą w odmęcie pierwszego istnienia i wlekącą się w nieskończoność świata.

Więc czego ja tam do nich pojadę? Dlaczego mam porzucić świat, który sobie stworzyłem, w którym mogę pracować, mogę dążyć naprzód i wśród zagmatwanych ścieżek, wytyczyć nowy gościniec dla światła nauki i wiedzy? Tam nic nie pomogę — a tu stracę, więc czegoż mię ojciec wzywa, dlaczego mam jechać?

Wstał i zapalił papierosa; przeszedł się kilka razy po pracowni swojej mineralogicznej, potem stanął w otwartem oknie i znowu patrzał przed siebie w sinawą dal. Przed chwilą przeczytany list ojca wyparł go z równowagi i dziwnie jakoś rozstroił. Choć rozum mówił i udowadniał, że niema najmniejszego sensu, porzucać naukę i wracać do kraju, (już dwa lata siedział w Monachium i pracował zawzięcie w tamtejszym instytucie mineralogicznym) wracać właśnie teraz, kiedy nową, postawioną przez siebie teoryą powstania Karpat zelektryzował i olśnił cały świat uczony, — to jednak, coś się tam w duszy, na dnie serca jego targnęło, jakby echem dawno przebrzmiałej, a zbudzonej na nowo pieśni z pól rodzinnych.

Jakaś daleka, mgłą osłonięta rzewność zamajaczyła w jego niebieskiem, pełnem oku, jakieś przebłyski nieznanej, czy zapomnianej tęsknoty zamigotały na chwilę w źrenicy, gdy wspaniała, miedziana tarcza słoneczna wychyliła się z poza węgła narożnej kamienicy i oblała go żółtem, przepalonem światłem zachodu. Stał tak w potokach tego światła wielki, jaśniejący, jakby ze

spiżu wykuty, lecz równocześnie coś mu się budziło w duszy i szeptało:

— A jednak to moje słońce jest i ich słońcem, te potoki światła i ich oczy zalewają! I oni patrzą na zachód, tak jak ja, tylko z innego punktu widzenia. A gdy to słońce, dla mnie zawsze jednakowe i zawsze ciekawe dla badań naukowych, a im służące do obliczania dorobku i straty, — za chwilę zagaśnie, osłonięte wzgórzami, — ja muszę badania odłożyć do jutra — a oni swoje obliczenia zysków i strat mogą czynić i w nocy. I tu jest rozbieżność naszego stanowiska. Lecz skoro i ja po zachodzie słońca mogę na podstawie zebranych doświadczeń czynić także obliczenia, stawiając różne hipotezy — więc to jest i wspólność nasza. Tylko, że ja mogę się mylić, — a oni — oni zbierając żniwo słonecznego dnia, mają całkiem prosty obrachunek, oparty na czterech działaniach.

Więc jeżeli te promienie nie mają już dla nich siły rodzącej, jeżeli burza życia i jesień życia przysłoniła chmurami źrenicę oka ojca mego, jeżeli nie może dojrzeć, co jest za chmurami, lecz zdaje mu się, że słońca już niema — czyż nie powinienem przynajmniej popatrzyć, co i jak jest w Dębowcu, rozglądnąć się w ich świecie i zrozumieć, co się tam tak zmieniło w tych ostatnich dwóch latach.

Przeszedł się znowu po pokoju, a dym z papierosa to opadał, to podnosił się za nim sinawą chmurą w jaskrawych pryzmach światła słonecznego, które padało z okien prawie na całą długość pokoju. Słońce zniżało się, a im bliżej było zachodu — tem spokojniejsze,

łagodniejsze szło do nocnej kąpieli w jakieś lekkie, dalekie mgły, czy opary. Julian patrzał ciekawie na ten zachód; widział go pierwszy raz dopiero u siebie w domu. Przez otwarte okno szedł orzeźwiający chłód wieczoru, za nim płynął głuchy pomruk i stukut wielkiego miasta, a całkiem blisko, tuż prawie pod samym oknem, szybowały świergocąc jaskólki i para wróbli ćwierkała, skacząc po rynwie najbliższego okapu. W powietrzu igrała nieskończona moc drobnych muszek i komarów, co robiło złudzenie, jakoby się fala słonecznego światła to w jedną — to w drugą stronę przelewała.

Julian patrzał i dziwił się, że tego dotąd nigdy nie widział. Pod wpływem tego zachodu i promieni słonecznych tajał w sobie coraz bardziej, aż szepnął:

— Piękny, wcale piękny zachód słońca, że też go nigdy stąd nie obserwowałem jeszcze.

I posunął wzrokiem po całem nieboskłonie — aż tam hen — gdzie w oddali migotała barwną łuską wstęga rzeki.

I z biegiem jej wody myśl jego popłynęła — aż w ojczyste strony, do rodzinnej wioski, do tego dworu, gdzie ujrzał światło dzienne; do tego podwórza i ogrodu, do tych pól i łąk i lasów, — i jeszcze do tych wszystkich ścieżek i dróg, płotów, krzaków, drzew i chat przydrożnych i szeregu studzien z żórawiami i stodół z gniazdami bocianiemi — i do tej jasnej strugi, co szemrała środkiem okwieconej łąki, otulona rzędem olch i brzóz płaczących.

I zdało mu się przez chwilę, że stoi na ganku dworca ojcowskiego, pod słupem umajonym winoroślem,

że u nóg jego łasi się Bekas i naszczekuje radośnie, że od stodół i gumna idzie nań ożywczy powiew zwożonego siana, że słyszy turkot wozów, nawoływania chłopców, skrzyp koła u studni, że dolatuje go daleki ryk bydła, powracającego z pastwiska, że gdzieś pod lasem dźwięczy ochocza piosenka pastusza, przeplatana wesołym śpiewem żniwiarzy — i — że nad tym wszystkiem zapada do snu wielkie, czerwone, spokojne a łagodne słońce.

Ocknął się. Przetarł ręką czoło, zamknął okno i rzucił się w fotel. Tak przesiedział może z godzinę. Czarne cienie dawno już pełzały po pokoju — a na zachodzie ostatnie błyski stopiły się już były w świetle elektrycznem latarń, — gdy nareszcie podźwignął się ciężko, i przeszedł do gabinetu.

Pocisnął guzik. Światło elektryczne jasnym strumieniem zalało pokój.

Usiadł przy eleganckiem biurku, i na listowym papierze ze swoim monogramem, skreślił następujące wyrazy: Czcigodny mój Mistrzu! Muszę bezwarunkowo, i to natychmiast wyjechać. Powodują mię do tego stosunki rodzinne, — dla których mam pewne obowiązki. Dla tego daruj, Czcigodny Mistrzu, że cię nagle opuszczam, lecz tak być musi. Sądzę, że wrócę tu napowrót: gdybym jednak wbrew oczekiwaniom wrócić nie miał — pomyśl, że umarłem i przebacz, jako się umarłym przebacza. Julian.

Przeczytał i wpatrzył się potem nieruchomo w lśniący elektrycznem światłem tulipan.

— Tak — umarłym się przebacza! powtórzył cicho — a jeżeli nie wrócę, to dla nauki umarłem.

Spełnię jednak obowiązek, bo obowiązkiem moim pójść za tym głosem rodzicielskim, który mię przywowołuje, choć odwołuje zarazem. Ciężki to podatek, lecz spłacić go trzeba.

Zsunął brwi, list zapieczętował i zaadresował; potem zebrał się i wychodząc, nakazał służącemu, przygotować wszystko, czego potrzeba do dwutygodniowej podróży — nie naukowej. Dając takie polecenie, sądził, że dwa tygodnie wystarczy mu na wszystko, a nawet i na powrót.

— Czy pan doktor i mnie będzie potrzebywał? spytał służący.

— Nie — zostaniesz w domu. Gdybym do dwóch tygodni nie wrócił — otrzymasz osobne polecenie, co dalej robić. Masz pilnować moich zbiorów, a zresztą możesz robić, co ci się podoba.

Szymon zaczął kiwać głową i skrobać się za ucho.

— Czegoż gapisz się? spytał go od drzwi.

— A — bo niewiem co przyłagodzić.

— Cóż znowu — niewiesz czego mi potrzeba na dwa tygodnie?

— A jużcić — bo nie wiem dokąd pan doktor jedzie.

— Mówiłem, że w podróż nie naukową.

— Ba — ale na południe, czy na północ, na zachód czy na wschód?

— Na wschód, prosto na wschód. Rozumiesz. I trzasnął drzwiami.

Szymon skoczył do drzwi i otworzył je z impetem?

— Proszę pana doktora? zapytał schodzącego ze schodów.

— Cóż tam jeszcze? żachnął się Julian.

— A czy pan doktor będzie więcej nocą podróżował, czy dniem, czy jedzie na bal, imieniny, czy może... i uśmiechnął się znacząco.

— Bałwan jesteś — jadę do Dębowca, krzyknął mu Julian w ucho, odwracając się.

Nie zdołał jednak jeden schód zejść na dół, a już Szymon był u kolan jego i szeptał jak nieprzytomny:

— Panie — panie drogi!

Julian cofał się zdziwiony.

— Co ci jest, czego chcesz, opamiętaj się.

— Panie drogi, patrząc mu w oczy, przez łkanie prosił Szymon, panie drogi weź mię z sobą. Panie — ja umrę tu z tęsknoty do swoich, do mojej matki, do mojej chaty, do mego łanu i mego lasu. Panie — zlituj się.

Julian szeroko otworzył oczy. Taki nagły, niespodziewany wybuch zastał go nieprzygotowanym. Cofnął się i powrócił do pokoju. — Za nim ze zwieszoną głową postępywał Szymek.

Julian obrzucił go pytającym i badającym wzrokiem od stóp do głów.

— A któż tu zostanie — kto mię ustrzeże od szkody? zapytał.

Szymek zatrząsł się cały i szeptał:

— Panie — panie, zmiłuj się i zrób tak! — o, ty wszystko możesz, jeżeli zechcesz!

Chwilę milczeli. Julian zaczął uczuwać jakiś dziwny niesmak w ustach, jakby po wypiciu gorzkiego lekarstwa,

serce jego ścisnął kilkakrotnie lekki kurcz gniewu. Przed oczyma duszy mignęła mu szybko postać osiwiałego, przygarbionego ojca.

Odwrócił się niecierpliwie i rzekł szorstko:

— Cóż znowu, jakieś mazgajstwa wyprawiasz? Zostaniesz i kwita.

— Panie...

— Dość! — Jutro rano odjeżdżam!

I wyszedł powtórnie; lecz teraz już Szymon za nim nie pobiegł. Stał długo, długo na tem samem miejscu, aż po dobrej dopiero chwili zatoczył się jak pijany pod ścianę i zaczął łkać niby dziecko.

Gdy wezbrana fala uczucia odpłynęła łzami i gdy mu ulżyło nieco na sercu, podszedł do biurka i zaczął jak automat jaki porządkować papiery i książki. Potem otworzyl szafę, wyjął z niej jedno, drugie ubranie, ułożył cały stos bielizny na krześle, wysunął walizkę podróżną na środek gabinetu, przystawił do niej torbę większą i mniejszą, a przytem wciąż wzdychał i ocierał rękawem oczy. Robota mu nie szła, szukał to tego, to owego, spakowane rzeczy wyrzucał, potem znów układał w walizce.

Męczył się tak już może z godzinę, gdy go raptem zelektryzował głos dzwonka. Wstrząsł się i podszedł do drzwi.

W progu stanął mężczyzna młody, blondyn i średniego wzrostu, o przyjemnym wyrazie twarzy. Oczy miał przysłonięte szaremi okularami.

— Co ty robisz Szymek? spytał po polsku, z mocnym jednak akcentem niemieckim, spoglądając z niema-

łem zdziwieniem na nieporządek w gabinecie i widoczne przygotowania do podróży. — Jest pan w domu?

— Pana doktora niema, wyszedł przed godziną, a ja pakuję rzeczy — odpowiedział Szymek smutnie.

— Wyjeżdżacie? — zdziwił się przybyły.

— To jest — pan doktor wyjeżdża, objaśniał coraz tkliwszym głosem służący.

— Dokąd i kiedy?

— Jutro do Dębowca — wykrztusił.

— Dokąd? Dokąd?

— Do Dę-bow-ca, zgłoskował przez łzy.

— Gdzie to jest?

— Pan pewnie zapomniał — oburzył się Szymek, to jest pana doktora i moje rodzinne miejsce.

— Aha! więc jedziecie do Galicyi.

— Tak jest, jedziemy -- to znaczy pan doktor jedzie.

Przybyły gość stał chwilę w milczeniu, jakby coś rozważał — a potem, kładąc rękę na ramieniu Szymka, rzekł spokojnie:

— Nie wspominaj nic panu, że tu byłem; przyjdę jeszcze raz koło dziewiątej. Spodziewam się, że go już zastanę.

— Nie wiem panie; ale zastosuję się do życzenia, odpowiedział Szymek powolnie, kłaniając się z uszanowaniem.

Gdy drzwi się znowu cicho zamknęły, Szymek zaczął coś głęboko myśleć. Wyrazista i poczciwa twarz jego dziwnie się ożywiła, przelewały się przez nią całe gamy uczuć, aż przeszły w cichy monolog.

— Tak, toby mogło być. Pan Jan sprowadziłby się i pilnowałby tych cudów nagromadzonych tutaj, a zebranych na całym świecie. Pan Jan jest bardzo dobry; obaj żyją ze sobą w takiej przyjaźni, z chęcią zrobiłby to dla pana doktora. I ja mógłbym pojechać.

Zatoczył się z radości i złożył ręce jak do modlitwy.

— Ach! jak ja ich dawno nie widziałem, tych moich, tych słodkich, tych dobrych, tych rodzonych. Gdyby nie szlachetny pan mój, któremu w duszy przysiągłem wierność do grobowej deski, byłbym się dawno zerwał już jak brytan z łańcucha i poleciał zaczerpnąć powietrza i siły — tam nad złotą strugę moją, — do mojej mateńki jedynej; byłbym się już dawno opłukał z tego paskudztwa szwabskiego i niewiernego, co tak przylepło do człowieka, jak jaka maź zagraniczna. Nie można jednak. On pierwszy przed wszystkimi, on mój ojciec i moja matka — moja struga i moje powietrze rodzinne, bo on mi życie uratował, bo on mię nauczył patrzeć i poznawać świat — bo on mię kochać nauczył.

I stanęła mu przed oczyma ta chwila okropna, straszna, w której tonął w rodzinnej strudze, śród kwiecistej łąki. Tylko, że ta struga nie była wówczas czystą, złocistą, lecz żółtą, mętną rzeką, która grzmiała wezbranymi bałwanami, i szła powodzią przez ich wioskę i koło ich chaty... Jakieś silne ręce pochwyciły go i zaniosły w bezpieczne miejsce, podczas gdy matka jego siedziała na dachu chaty, oblanej dokoła wodą i wzywała rozpacznie ratunku. I widział potem, jak te same ręce, wyrwały i jego matkę z toni śmiertelnej, zniosły do czółna i oddały synowi.

Matka jęczała i wiła się z radości, że mogła go znowu przygarnąć do siebie, lecz on jej nie rozumiał, — on patrzał, wciąż patrzał i widział, że za chwilę chatę ich zniosły mętne bałwany wody, i że panicz ze dworu, jasny jakiś i nieustraszony, niby olbrzym wodny, wszędzie tam spieszył na ratunek ze swoją łódką, gdzie tylko widział zagrożonych.

I wydał mu się ten panicz wtenczas, jakiś wielki, niepojęty, jakiś, jakby z obrazu pomalowanego zeszedł na ziemię. Taki obraz widział w kościele.

Wtenczas nauczył go się czcić — choć on miał zaledwie lat 9, a panicz 17.

A potem — hej — a potem co było! On długo i ciężko chorował; mówili wszyscy, że umrze, że musi umrzeć. A przecież nie umarł, bo ten panicz nie dał śmierci przystępu, — bo ją precz odegnał i pomógł mu dźwignąć się na nogi. Wtenczas nauczył się kochać go.

A gdy następnie, przyjęty przez starszych państwa do dworu za chłopca kredensowego, z łaski panicza nauczył się czytać i pisać, gdy chodząc z nim na łowy i zasiadki, nasłuchał się cudnych jego opowiadań o ziemi, przyrodzie i wielkim świecie, o morzach, górach i złotonośnych rzekach, o skarbach zakopanych w ziemi i wielkości Boga, — wtenczas postanowił sobie pójść wszędzie w świat za nim i służyć mu wiernie do zgonu. A panicz zdaje się czytał w jego duszy i poznawał te wszystkie przejawy, bo ostatecznie po złożeniu doktoratu, wybierając się w podróż naukową, która trwała z małemi przerwami przez trzy lata, zabrał i jego ze sobą. Wyjeżdżali i wracali; wracali do Dębowca i z Azyi, i z Afryki i z Ameryki;

ale czego teraz dwa lata z góry siedzą wśród tych obrzydłych Niemców, tego Szymek nie mógł już zrozumieć, choć zwiedził prawie świat cały i umiał rozróżnić i nazwać prawie każdy kamień.

Dwa lata tej męczarni, to za wiele nawet dla takiego jak on; a w dodatku ma w niego teraz uderzyć taki piorun. Nie — on już wie, co ma zrobić, on pojedzie, pan doktor nie zrobi mu tej krzywdy!

I spojrzał z bezgranicznem przywiązaniem na wielką fotografię, co wisiała nad biurkiem, a z której Julian dużemi oczyma zdawał się patrzeć w jakąś dal nieuchwytną.

Potem żwawo i z energią zabrał się do pakowania, a gdy się ze wszystkiem załatwił, i, przeszedłszy najskrupulatniej zawartość pakunków podróżnych, uznał, że jest wystarczajacą, odłożył torby i walizkę na bok, a sam usiadł w pracowni przy oknie otwartem, i puścił wodze dalszym marzeniom, patrząc na żółtą łunę, co się unosiła nad rozspiewanem teraz miastem, czekając rychłoli dzwonek oznajmi mu powrót doktora lub powtórną wizytę pana Jana.

II.

Julian zeszedł prędko ze schodów i tłumiąc wewnętrzne wzburzenie z powodu sceny, której dopieroco był świadkiem i uczestnikiem zarazem, skierował się przedewszystkiem raźnie ku najbliższej skrzynce pocztowej.

Gdy list głuchem stuknięciem dał znać, że znajduje się na dnie skrzynki, uczuł pewną ulgę.

— Stało się! — pomyślał — ani przeczuwa zacny profesor jaka go czeka jutro niespodzianka. Ba! wypluje ze trzy razy: „pfuj“! przetrze okulary, zażyje tabaki i zacznie na nowo szeregować ostatnie doświadczenia świetlne nad kwarcami.

Zaśmiał się ironicznie i powtórzył głośno: „pfuj“!

Jakaś blondynka, przystanęła i zmierzyła go od kapelusza do trzewików. Nie zauważył tego. Szedł dalej i dalej, a za nim szło profesorskie, spokojne i flegmatyczne: „pfuj“.

Stanął.

— Do licha — pomyślał żywo — czyżby rzeczywiście nic więcej po mnie nie zostało tylko to jedno

„pfuj“! Przecież nie od parady siedziałem tu i pracowałem dwa lata.

— Ale uciekasz, zaśmiał mu się szyderczo jakiś głos w duszy, idziesz za porywem serca — a nauka nie zna tego.

— Nie prawda, nie uciekam — bronił się — wprawdzie nauka nie zna serca, ale zna obowiązki; ja spełniam obowiązek.

— Nie, ty nie idziesz za głosem obowiązku, — przeczył dalej ten sam głos — tyś się roztkliwił listem ojca, tyś się wzruszył sceną tęsknoty do rodziny, jaką wyprawił ci Szymek — i dlatego rozgniewałeś się na niego; ty go dlatego nie chcesz wziąć ze sobą, by nie okazać słabości, która zaczyna zalewać twą duszę. Tak, tak, jesteś słaby.

— Głupstwo, wrócę przecież — zostawiam tu wszystkie zbiory swoje, zostawiam właśnie dlatego Szymka — a zresztą może i mnie się wakacye maleńkie należą?

— Nie bałamuć i nie uwodź samego siebie! Zostawiasz Szymka, bo jesteś słaby, bo widzisz to i boisz się swojej słabości.

— Więc wezmę Szymka ze sobą — gniewał się — dlaczego zresztą nie mam go wziąć? Niech się chłopiec ucieszy swoimi i odetchnie rodzinnem powietrzem. Należy mu się ta przyjemność odemnie. Tak, tak zrobię, wezmę go, przecież moim zbiorom nic się złego przez dwa tygodnie nie stanie. Może nawet i nie zabawię dwa tygodnie. Poproszę zresztą poczciwego Jana. Że też mi to odrazu na myśl nie przyszło.

I zawrócił szybko, potem siadł na przystanku do tramwaju i pojechał na ulicę św. Doroty.

Przed numerem 45. wyskoczył lekko z tramwaju, wszedł na pierwsze piętro i zadzwonił. Otworzyła mu zgrabna pokojowa. Nie miał czasu jeszcze zapytać, czy zastał w domu kolegę swego, doktora Jana Plitza, gdy z drugiego pokoju, różowo oświetlonego, doszedł go przez otwarte drzwi znany głos:

— *Berta — wer kommt? Ist das mein Sohn?*

— Nie pani dobrodziejko, to ja, Julian — zaprezentował się głośno; a potem, zwracając się do pokojowej, dodał na poły pytająco na poły twierdząco:

— Pana Jana niema w domu — prawda?

Teraz pokojowa nie miała czasu odpowiedzieć, bo z drugiego pokoju odezwał się znowu głos — tym razem zapraszający:

— A — to pan doktor, proszę bardzo, przyjdź pan bliżej; mego syna niema w domu — ale on już idzie zaraz.

Julian postąpił naprzód i za chwilę znalazł się w małym, lecz gustownym saloniku wobec pani domu, która przy lampie, osłoniętej różowym abażurem, zajęta była przeglądaniem najnowszego zeszytu „*Modenweltu*“, tak dobrze znanego i u nas wśród kół czysto polskich, jakbyśmy nie znali polskiego czasopisma traktującego równie dobrze mody, jak niemiecki „*Modenwelt*“.

— Całuję rączki pani pułkownikowej, przepraszam, że tak późno naprzykrzam się, ale — nie zastawszy Jana — odchodzę.

— *Guten Abend — Herr Doktor; nehmen sie Platz!* Johan zaraz ma iść tu. *Liza — komm mein Kind. Herr Doktor Julian ist gekommen* — zapraszała pani pułkownikowa, przywołując córkę.

Julian usiadł, a tymczasem z przyległego pokoju odpowiedziano prawie czysto po polsku: — Idę, — zaraz idę mamo!

I we drzwiach stanęła panienka smukła, przystojna, z wyrazem miłego zdziwienia na twarzy.

Julian podniósł się — a ona szła z tym wyrazem na twarzy ku niemu, aż spotkali sie na środku salonu. Podała mu małą i kształtną rękę.

— Pan? tak późno? to coś nadzwyczajnego; przypadek, czy interes? — zapytała, wskazując ujmującym ruchem fotel.

— I jedno i drugie.

— Więc jakiż to przypadek?

— Wyjeżdżam.

Jakby lekki obłok przysłonił jej twarz; zwróciła pytające oczy ku niemu. Czekała, co powie dalej.

— Dostałem list od ojca, wzywa mię do siebie — ciągnął Julian grzecznie dalej.

— Czy się co stało? — zapytała żywo.

— I tak i nie; potrzebny jestem.

Spojrzała nań jeszcze raz długo i pytająco, a widząc w twarzy jego jakiś lekki odcień niechęci, a w głębokich oczach wyraz znużenia, wstała szybko z fotelu, na którym przed chwilą usiadła i zbliżyła się do matki.

— Mama słyszy, pan Julian odjeżdża.

— *Was ist!* Pan jedzie? — trzasnęła w palce pani pułkownikowa.

— Tak — jadę na dwa tygodnie do rodziny.

— *No — zwei Wochen — das ist nichts schreckliches. Fahren Sie gesund!* Proszę się ukłonić w domu.

Uśmiechnął się Julian pod wąsem i zwrócił do Lizy:

— A pani co rozkaże?

— Ja — rumieniąc się lekko, spytała zdziwiona — a cóż ja panu mogę rozkazać? Chyba do mamy ukłonu swój dołączyć mogę.

— I nic więcej, nic — patrząc uparcie w jej oczy, napierał Julian.

Pomyślała chwilę. A potem wzruszona i podniecona zawołała wesoło:

— Już wiem. Niech pan pozdrowi odemnie także swoje rodzinne strony i tamtą okolicę, to przecież stara ojczyzna mojej babki; i... niech mi pan przywiezie polski kwiatek.

— Jaki kwiatek chciałaby pani mieć?

— A jaki kwiąt u was najwięcej kochany?

— U nas pani — zaśmiał się Julian — u nas nafta najprzyjemniejszą woń wydziela.

— Jakiż z pana prozaik; więc przywieź pan ten kwiat, który kwitnie na polach naftowych.

— Na polach naftowych mamy dużo wosku ziemnego — drażnił Julian dalej — a ja nie uczyłem się sztuki robienia kwiatów z wosku.

— Ale nawet tak uczonemu jak pan — może się jeszcze świeca przydać — więc gdy już u was nie ma

innych kwiatów prócz woskowych, to przywieź mi pan chyba kawałek wosku; — powiedziała smutnym, choć nieco rozdrażnionym tonem.

Skłonił się głęboko w milczeniu; jakiś cień przeszedł między nimi.

— A interes. Jaki pan miał interes? — zapytała po chwili.

— To właściwie prośba do Jana, którą, ponieważ go nie zastałem, i kto wie czy widzieć się z nim zdołam, bo jutro w czas odjeżdżam, złożę chyba w rączki pani, jeżeli pani pozwoli.

— Proszę bardzo — przyzwoliła, zwracając ucho ku mówiącemu i znowu patrzącemu na nią młodzieńcowi.

— Wdzięczny byłbym bardzo Janowi, gdyby podczas mej nieobecności chciał zobaczyć, choćby przypadkiem i mimochodem, czy jaki kataklizm lub nieproszony gość nie nawiedził mi pomieszkania i moich zbiorów.

— Ależ naturalnie — odparła przytakująco — codziennie musi zaglądnąć, to mu nic nie pomoże.

— Dziękuję pani z całego serca za to zapewnienie — rzekł ciszej, ściskając jej rękę przyjacielsko — będzie mi tęskno za moim kątem.

W jej jasnych oczach zamigotał daleki jakiś promyk. Przysłoniła go długą rzęsą.

— Pan się przyzwyczaił.

— Więcej pani — ja pokochałem całą duszą teraźniejsze moje królewstwo i właśnie...

Lecz tu przerwała pani pułkownikowa, odkładając zeszyt mód, w którym aż do tej chwili czegoś zawzięcie szukała.

— *Ja, ja — du hast recht Liza...*

— Co mamo?

— *Ja — das ist Zefir...*

— Ach! mama myśli o tej sukni — powiedziała zimno, — ależ to bagatelka, — i chmura lekka osłoniła jej czoło.

— To nie bagatel — *das ist Grundsache...*

Tymczasem Julian zaczął się żegnać.

— Pan nie czeka? — pytała matka — *er kommt bald!*

— Nie chcę paniom zabierać drogiego czasu — usprawiedliwiał się ironicznie trochę — zresztą już późno, a raniutko odjeżdżam.

— *Also glückliche Reise!* — mówiła matka — *fahren Sie gesund.*

— Nie zapominaj pan o nas i pamiętaj o przyrzeczeniu — dodała Liza.

— Przywiozę kilogram wosku na dwie świecy — zapewniał, ściskając paniom ręce.

Wyszedł — a za nim szło ciche westchnienie, ale takie lekkie i powiewne, jakby oddech z kielicha kwiatów, osrebrzonych rosą majową.

Julian nie czuł go. Rozdrażniony banalnym końcem rozmowy, szedł do domu, uderzając laską o płyty chodnika. Żal mu było godziny, którą stracił w towarzystwie tych pań. Pułkownikowa była dlań wprost niemożliwą, z tą panią też bardzo rzadko się stykał i gdyby nie Liza — a zwłaszcza Jan, ku któremu czuł niekłamaną przyjaźń i szczery szacunek dla jego wiedzy, byłby może nigdy nie przekroczył progu ich domu.

Zawarłszy jednak z Janem ściślejsze stosunki towarzyskie i koleżeńskie, dowiedział się, że babka jego była Polką, że się nazywała Sokulska z domu, że wyszedłszy za mąż za piwowara, niemca Wendę, opuściła Galicyę. Państwo Wendowie przenieśli się do Monachium, gdzie Wenda dorobił się znacznego majątku i jedyną córkę wydał za mąż za porucznika von Plitza. Babka Jana zachowywała w domu zwyczaje i obyczaje polskie, poczciwy dziadek nie mieszał się do wychowania Albertyny i szczęśliwy był, gdy mu *süse Tyńcia*, jak córkę nazywał, wyszyła na imieniny pantofle lub wymalowała widoczek z napisem: „Dem guten Vater zum Namensfest“.

Czerwony i spocony ojciec płakał z radości, przyciskał jedną ręką „*süse Tyńcia*“ do tłustych i szerokich piersi, a drugą, trzymając obrazek, mówił rozczulony:

— *O mein gutes Kind ich danke dir, aber da fehlt etwas!* Tu coś niema!

— *Was fehlt Vater?* — pytała córka ciekawie.

— Tu — pod te krzaki, powinien być mój browar, rozumiala? *Ja — meine Fabrik!*

I śmiał się przez łzy — aż trzęsły mu się wszystkie podbródki.

Zresztą dobry ten człowiek kochał żonę nad życie, ustępywał jej we wszystkiem, a z czasem potrzebywał tylko ostrych nożyczek do obcinania kuponów — i tak je dobrze obcinał i składał znów w listy zastawne, że gdy go raz śmierć w nocy nawiedziła, zostawił żonie i córce w gotówce równiutko dwieście tysięcy marek, oprócz browaru.

Wdowa zlikwidowawszy interesa, całem sercem pragnęła wrócić do ojczyzny, dokąd ją ciągnęła jakaś troska i ból jakby za ciężką stratą, lub czemś bardzo drogiem, które tam zostawiła; niestety w drodze pragnieniu stanął pan porucznik von Plitz, w którym piękna Tyńcia rozkochała się. Ponieważ zachcianki kapryśnej i rozpieszczonej jedynaczki, były zawsze rozkazem dla ubóstwiającej ją matki — postawiła więc na swojem i — mimo gorącej perswazyi a nawet oporu, wyszła za pana porucznika i pozostali w Monachium.

Pan porucznik, mając przystojną żonę i majątek, awansował szybko; w trzydziestym piątym roku życia był już majorem, a w lat pięć później pułkownikiem. Dom prowadzili w niemieckim stylu, na szeroką skalę; w salonach państwa von Plitzów gromadziła się cała wyborowa śmietanka monachijska i majątek byłby stopniał szybko, gdyby go pan pułkownik nie był ratował szczęśliwą grą w karty. Piękna Tyńcia rzuciwszy się w wir zabaw i towarzystwo czysto niemieckie — zapomniała wkrótce nawet mówić po polsku, zwłaszcza gdy matka, nie znosząc zięcia, usunęła się prawie zupełnie i zamieszkała osobno, przelewając później całą miłość na wnuczkę.

Państwo von Plitzowie mieli dwoje dzieci Jana i Lizę. Jan, starszy o 8 lat od Lizy, był bardzo utalentowany, bardzo systematyczny i korekt w każdym calu. Studyował chemii i miał piękną przyszłość przed sobą. Liza była miłą i rozsądną panienką, miała bardzo wiele w sobie tej, niedającej się bliżej określić, kobiecości, jak Niemiec mówi: „*dieses ewig weibliches*“ — a kształcona

systematycznie, nagromadziła w swej małej główce pewien zasób wiadomości. Przez pamięć dla babki, uczyła się ciągle języka polskiego i literatura nasza nie była jej obcą. Jak słyszeliśmy już, władała nawet nie źle tym językiem.

Natomiast matka zapomniała prawie zupełnie mówić po polsku, co tem dziwniej wyglądało, że w dzieciństwie prawie całkiem w naszych tradycyach wychowywaną była.

Jedno u niej zostało jednak. Szanowała Polaków, ich zwyczaje i obyczaje i nie raziło ją to, gdy w jej obecności mówiono po polsku.

Lecz stało się to dopiero po śmierci pana pułkownika von Plitza, przedtem niestety w domu ich nikt polskiego słowa nie słyszał, dla jednej babki, tylko czyniono wyjątek; zresztą ta babka mieszkała osobno.

Więc dowiedziawszy się o tych stosunkach rodzinnych Plitzów, Julian ciekaw był poznać dom, w którym tkwił pierwiastek polski — i zrobił wizytę.

Jak już wspominaliśmy, pani pułkownikowa rozczarowała go wkrótce, i, jeżeli od czasu do czasu zaglądał na ulicę św. Doroty, to tylko dla Lizy.

Lubiał z nią rozmawiać, lubiał robić studya nad tą duszą i sercem, które rwały się w świat, do życia, do słońca, a w których odczuć się dawał wyraźnie coraz bardziej pierwiastek polski.

Więc i teraz — wracając do domu, przypomniał sobie — jak pięknie go zapytała: A któren kwiat u was najwięcej kochany? Jaka subtelność przebijała w tem pytaniu i jak on ją zmroził szorstką odpowiedzią o nafcie i wosku.

Przypomniał sobie również, jakto często w rozmowach z nim wypytywała niemal z drobiazgowością niemiecką o jego strony rodzinne, jak położony jest Dębowiec, czy nad rzeką, lub pod górami; ile pokoi jest we dworze; czy dwór jest z drzewa, czy murowany, czy nie tęskni czasem do tego dworu i do swoich, którzy w nim zamieszkują. Śmiał się z tej jej ciekawości, odpowiadał półżartami; lecz zapewnienie, że musi kiedyś, jeżeli nie z matką to przynajmniej z bratem, poznać kraj polski i rodzinne strony babki, zastanawiała go głębiej i — bądź co bądź wywoływała pewne refleksye. I każdy inny, tylko nie Julian, byłbym widział w tem powrotną falę, zdążającą dopiero z trzeciego pokolenia do źródła; byłby wyczuł gorącą iskrę pod popiołami niemieckiej systematyczności, i zauważył, że ta iskra zaczynała się żarzyć i burzyć butną krew von Plitzów, którą zalane było w sercu tem tchnienie wiosny polskiej, wniesione przez babkę — ongiś przed laty — w ich życie niemieckie. Byłby widział, że w tej duszy zaczyna się podnosić do jakiegoś nieznanego dotąd słońca, jakiś dawno zapomniany, niemal zatracony zupełnie kwiat, że rozchyla listki i z ciekawością spogląda na nowe blaski, przypominając sobie, że zasadziła go kiedyś tutaj ręka kochanej istoty i — że karmiła go krwią i życiem zaczerpniętem z innej gleby.

Ten zwrot w duszy Lizy ku przeszłości, ku światom i ideałom, z których wyszła jej babka, traktował Julian więcej jako kobiecy kaprys, nie widział w nim głębszego podkładu i nie przypisywał mu wyraźniejszego znaczenia. Uważał zachowanie się Lizy jako objaw chwilowego podniecenia wrażliwego serca, jako pewnego rodzaju

suggestyą, wywołaną częstemi rozmowami o Polsce, jej bohaterach, pisarzach, okolicach Krakowa i Dębowca.

Był pewnym, że po każdej takiej swobodnej pogadance, w której Jan rzadko kiedy uczestniczył, a pani Albertyna nigdy udziału nie brała, wracała Liza napowrót do swej systematyczności, którą tak cenił, a której tak zazdrościł Niemcom, i, że te chwile, spędzone w jej miłem towarzystwie, prócz przyjemnego uczucia wytchnienia po pracy, nie zostawiają żadnych śladów po swojem przejściu, tem bardziej, że nie powodują żadnej ewolucyi duchowej.

Uczyła się po polsku — cóż w tem dziwnego, mogła tak samo studyować język chiński lub sanskryt — miała w tem upodobanie i miała środki materyalne; wyrażała się gorąco o pomnikach literatury polskiej, — dawała tem dowód trafności sądu i szlachetniejszych porywów serca; zachwycała się bohaterami naszymi, — poczciwą i wrażliwą duszę każde bohaterstwo pociągnąć musi; — oburzała ją do głębi zaciekłość pruskiej hakaty — to także tylko wynik sprawiedliwego oceniania faktów i ludzi tworzących historyę pruską. Ale dlaczego ona płakała nad katowanemi dziećmi wrześniańskiemi, a nie nad hańbą systemu i zgnilizną prusaczą? Dlaczego więcej ją cieszyła szczęśliwa ucieczka Piaseckiej, niż zwycięstwo oręża niemieckiego odniesione nad Hererami? Dlaczego więcej ją oburzało nikczemne, dobrowolne oddanie, choćby piędzi ziemi polskiej na rzecz funduszu kolonizacyjnego, aniżeli ohyda całego gadzinowego systemu zaborczego?

Julian to widział, bo się nie taiła przed nim; nie czyniło to jednak na nim głębszego wrażenia; wybuchy

te — nazywał czułostkowościami i nie przypisywał im większego znaczenia, jak źle przespanej nocy, lub nieporozumienia z krawcową, a wreszcie resztkom wiecznej, niezrozumiałej przez mężczyzn, nieobliczalności kobiecej.

— A który kwiat u was jest najbardziej kochany? dźwięknęło mu w duszy, już nie wiedzieć który raz, pytanie Lizy, gdy wstępywał na schody, prowadzące do mieszkania.

— Nafta! — nafta! — odpowiedział sam sobie głośno pod drzwiami już i zaśmiał się serdecznie, wstępując do pokoju.

Szymek wytrzeszczył poczerwione swoje oczyska i stanął jak słup.

— Czegóżeś się tak zachwycił? spytał go wesoło.

W oczach chłopca zamigotały płomyki.

— Dziwno mi bardzo, że pan doktor się śmieje.

— To śmiej się i ty.

— Ja? z czego? szepnął i zwiesił głowę.

— No chłopcze — zbierz i twoje manatki, pojedziesz! kładąc mu rękę na ramieniu, powiedział Julian dobitnie. Miej i ty raz bal!

Szymkowi zaiskrzyły się oczy, uderzył niemi w Juliana, sekundę się zawahał a potem krzyknął:

— Gwałtu — panie ja jadę — już nie trzeba.... i poleciał do pracowni.

Julian myślał, że chłopiec oszalał z radości, jakże się jednak zdziwił, gdy na progu pracowni ukazał się teraz Jan, na którego Szymek z impetem uderzył.

— Ty tu? zapytał.

— Czekam od godziny prawie, ażeby ci życzyć szczęśliwej podróży i miłego do widzenia się. Chciałem cię także zapytać, dlaczego chłopca nie bierzesz ze sobą, ale teraz to już zbyteczne, widzę bowiem, że moja interwencya niepotrzebna.

— Poczciwy Janie! Siadaj, siadaj bracie — ściskając mu prawicę zawołał Julian — A ty idź na ulicę i wyskacz się do woli — dokończył, zwracając się do Szymka.

Ale ten był już u jego ręki i drżący cały ciągle powtarzał:

— Dobry! mój dobry panie!

— No — już dość! odsunął go lekko Julian. Podaj nam herbatę.

— Nie będę pił — odchodzę — podziękował Jan, już późno.

— Jaka szkoda — a ja byłem u was!

— Żałujesz?

— Nie to — lecz szkoda, że nie wiedziałem, gdzie ty jesteś.

— Kiedy wracasz?

— Sądzę, że będę z powrotem do dwóch tygodni.

— Zapewne chcesz, by tu czasem zaglądnąć?

— Prosiłem już o to twoją siostrę, co mi przyrzekła w twojem imieniu!

— Jak widzę nie próżnowałeś i dobrze się sprawiłeś, zaśmiał się cicho Jan, aprobuję jej przyrzeczenie w zupełności. Klucz zostaw u dozorcy. No — żegnaj mi. Napisz — którego dnia wrócisz.

I uściskali się serdecznie.

. . . .

— Dlaczego on mię nie spytał a powód wyjazdu, myślał Julian zasypiając, wszak wie, że przed nim nie mam tajemnic? A może właśnie dlatego, czekał aż się otworzę, gdy mu zaś nic nie wspomniałem, był dyskretny, chciał uszanować tajemnicę. Co za delikatna i subtelna natura.

A potem jeszcze przyszedł mu na myśl Szymek — i jego wybuch radosny; migotały mu w powietrzu jego oczy rozpalone i załzawione zarazem, za temi oczyma widział, ale już bardzo niewyraźnie — znaną mu dobrze okolicę z dworem drewnianym o słupach murowanych, zarośniętych dzikiem winem — i obszerne podwórze i sad i las i łąki i dużo, bardzo dużo falującego zboża w polu, a wśród tego zboża całe mnóstwo bławatów. Nad zbożem szedł jakiś cichy szum, który się zlewał jakby w niewyraźny szept:

— A który kwiat u was najbardziej kochany?

A bławaty odpowiadały lękliwie z pod kropel srebrzystej rosy:

— My — my — my....

Aż zasnął śród tych dziwnych rojeń bez zapachu nafty i bez podkładu wosku.

. . . .

Na drugi dzień rano pociąg pospieszny wiózł go ku wschodniej granicy Bawaryi — osłaniając czarną smugą dymu sinawą Izarę i piękne miasto uczonych, gdzie przez dwa lata już wzbogacał swą wiedzę, a gdzie mu tak dobrze, tak spokojnie i cicho, bez walk i głębszych wzruszeń — czas młodości upływał.

III.

Przekradłszy się przez gąszcz leśną, skąpawszy się w obfitej rosie, co operliła w nocy sianokosy i rżyska, a prześliznąwszy się następnie przez gałęzie sadu, uderzyły różowe, jaskrawe a czyste promienie słonecznego dnia sierpniowego o szyby oficyny dworskiej. Jakby pod czarodziejskim ich pocałunkiem, otworzyło się z impetem jedno z okien, a za firanką śnieżnej białości, mignęła postać, która prędkim ruchem odrzuciła powiewną zasłonę. W oknie ukazał się Julian. Wstał przed chwilą, a teraz młodą piersią rozkoszował się świeżem powietrzem, płynącem z pól dębowieckich w jego płuca, zmęczone podróżą.

— A... a... jakżeż to dobrze; jakie orzeźwiające wonie; i wieś ma swoje uroki, nie dlatego, że jest wsią, lecz dlatego, że nie jest miastem, — myślał głośno Julian, — ale szukać tych uroków aż tutaj, przyznam się za daleko trochę i zbyt nużące. Kiedy jednak jesteśmy już, używajmy w całej pełni.

Zebrał się szybko, przeszedł część podwórza i sad, przelazł w znanem sobie miejscu wysoki płot i był już

w polu. Dwa lata nie widział Dębowca i dziwił się prawie, że tu się tak nic nie zmieniło. Ta sama dziura w płocie, tylko nieco większa; przez pola prowadziła ta sama ścieżka do strugi i lasu. Nie potrzebywał jej szukać, wiła się w tych samych zakrętach, wydeptywana co roku temi samemi bosemi nogami. Szedł raźno, nie oglądając się, znał tu przecież każdą skibę, każdy krzaczek. Cóż go to mogło obchodzić, że w koło niego rozlewały się upajające, miodne wonie, idące ze śnieżnego łanu hreczki, że rój pszczół dzwonił mu w uszy pieśnią życia i pracy, że go witały szare skowronki, wzlatujące z przydrożnych miedz pod obłoki, jak jakie ruchome dzwonki radości i wesela, że w niedalekiem prosie biły przepiórki, że bocian szerokie koła zataczał nad skoszoną łąką — i że od lasu na szczęście i długi wiek kukała mu raz po raz kukułka? Cóż go obchodzić mogło to słońce majestatycznie wschodzące nad lasem i ogarniające się płaszczem blasków srebrzystych do długiej podróży całego dnia, lub to w dali, na niebios tle odcinające się, pasmo wzgórza, a którego stoków uczepiły się długim rzędem omszałe i zczerniałe chaty, ledwie widoczne z granatowej zieleni sadów?

On przecież tyle razy patrzał już na to, znał wszystko do najdrobniejszych szczegółów! Gdyby się było choć cokolwiek zmieniło, ale gdzietam, — nad uboczą nawet ten sam krzyż czernieje!

Więc znalazłszy się nad strugą, użył w znanem sobie miejscu orzeźwiającej kąpieli, a potem zapaliwszy papierosa, spojrzał na zegarek. Była godzina pół do siódmej, — za wcześnie na śniadanie, — więc skierował się

ku lasowi. Tu dojrzał zmianę. Dwa lata temu jeszcze, obok dziesięcioletnej, gęsto podszytej brzeziny, rosły po prawej stronie wspaniałe dęby, duma i rozkosz ojca.

Było ich dwa a może i trzy tysięcy sztuk, a wszytkie takie potężne, takie rozłożyste, takie niedzisiejsze. Ojciec bywało mówił, że zasłuchawszy się w szum ich poważny, zwłaszcza wczesnym rankiem lub wieczorem po zachodzie słońca, doznawał dziwnego wrażenia. Czuł najwyraźniej, że te olbrzymy, prowadzą ze sobą jakieś długie a smutne rozmowy, że często płaczą i dziwnymi głosami niby przywołują do siebie dawnych ludzi i dawne czasy.

Julian przypomniał sobie, że ojciec lubiał wsłuchiwać się w te rozmowy i szepty; nieraz całemi godzinami leżał pod swoim ulubionym dębem i bardzo często wracał do domu z oczyma, jakby od płaczu zaczerwienionemi.

Nie rozumiał tkliwości ojca, a z historyi wiedział tylko tyle, że pod tą dąbrową miała husarya Jana III. zetrzeć dwa pułki janczarów tureckich, że właśnie pod tą dąbrową nazajutrz po odniesionem zwycięstwie nad Turkami, ustawiono ołtarz polowy, przy którym odprawiono dziękczynne nabożeństwo, a przy którem sam król usługiwał.

Tych dębów wspaniałych nie było. Julian aż przystanął na chwilę i krytycznem, a zdziwionem okiem przejrzał zrąb. Świeciło na nim tylko tu i ówdzie, jakby pochodnie Nerona z obrazu Siemiradzkiego, kilkanaście jeszcze sztuk, ale tych mniejszych, skarłowaciałych; a tylko niedaleko od polnej dróżyny stał w całej

swej okazałości dąb ojcowski. Liście jego drzały lekko, oblane potokami światła rannego. Przyspieszył kroku i usiadł w cieniu tego drzewa. Jakiś dziwny smutek wiał z tego zniszczonego i poszarpanego kawałka lasu, zryta ziemia świadczyła, że stąd niedawno wywożono w dwa rzędzy, szedł jakby zapach świeżej krwi; a stadowron dęby, upadłe pod toporem; od sągów ustawionych tłukło się opodal, napełniając wrzaskiem powietrze.

-- O! pomyślał Julian, wyciągając się na murawie, i zapalając świeżego papierosa — to z ojcem musi być źle, kiedy świadki zwycięstwa Sobieskiego poszły zdobić podłogi salonów francuskich i niemieckich. Czy nie idziemy tylko w ślady naszych sąsiadów z Majdanu, Leśnej i Witrynki, którzy dawno już przyznali się do tego, że gospodarować nie umieją. O ojcu miałem jednak inne wyobrażenie, uważałem go zawsze za znakomitego znawcę stosunków agrarnych w kraju, który wiedział jak i czem gospodarować. Więc albo wpadliśmy i my w chroniczną chorobę ziemian: większego wydatku, niż przybytku — albo tu w kraju rzeczywiście stosunki na niekorzyść się przeobraziły i, trudne dotąd stanowisko gospodarza, zmieniło się na trudniejsze.

Tak jest. Ojciec jakiś przygnębiony, pochylił się, posiwiał; na twarzy koło ust utworzyły się kąty, w oczach zamieszkała zaduma, a choć goreją one jeszcze czasami blaskiem dawniejszym, to ten blask jakby zalękniony, jakby się wydobywał z mrocznych jakiś światów, dawniej słonecznych, a dziś przysypanych grubą warstwą popiołu.

Nie skarży się — ale w tych oczach, gdzieś tam — głęboko — mieszka ból, i ojciec wstydzi się tego nowego, nieproszonego lokatora, bo zbyt często zasłania go powiekami.

Teraz wierzę, że będziemy mieli jakąś poważniejszą, a może przykrą rozmowę.

Albo ta Wanda. Jak ona dziwnie patrzała wczoraj na mnie przez całą drogę z dworca kolejowego ku domowi; jak nagle zamilkła po tym szczerym wybuchu radości i serdecznem, siostrzanem powitaniu — jak o nic nie pytała i ukradkiem na mnie patrzała, odpowiadając monosylabami, a uśmiechając się tylko nieznacznie z pewną rzewnością w twarzy na głośne wybuchy radości Szymka. W ogóle .zdawało mi się, że więcej była zajętą moim chłopcem, niż bratem dwa lata niewidzianym.

W tem dalszy tok myśli przerwał mu tętent konia. Podniósł się, wsparł na ręce i zwrócił głowę w kierunku dróżyny polnej, skąd tętent dochodził. Za małą chwilę zbliżyła się amazonka. Poznał siostrę, a i ona widocznie dojrzała go pod dębem, bo wstrzymała kasztanka i zgrabnie zesunęła się na ziemię. Julian powstał i chciał zbliżyć się ku niej.

— Zostań — idę do ciebie, zawołała, przeskakując niewielki rowek. Dzień dobry ranny ptaku — czy niemogłeś spać w nocy?

Podali sobie ręce.

— Przeciwnie, wybornie spałem, i właśnie dlatego jestem rannym ptakiem, który użył już kąpieli. Ale zdaje mi się, żeś ty nietylko mię wyprzedziła, bo nawet i słońce?

Ona uwiązała konia do gałęzi — i, ociągając zgrabnym ruchem suknię, usiadła, zapraszając i brata do zajęcia miejsca. Potem patrząc mu w oczy powiedziała:

— Ten ranny spacer, to jedna z najmilszych moich, a wcale nielicznych rozrywek; zresztą ta godzina to wyłącznie czas mój.

— Dla mięśni i płuc bardzo racyonalnie użyty, wedle najnowszych przypisów hygieny, uśmiechnął się.

— No tak, zapewne, uderzając pręcikiem po sukni, potwierdziła — ale ponadto uczę się i ćwiczę pamięć.

— Na koniu?

— Patrząc na otwartą przedemną księgę przyrody, ujętą w okładkę stosunków naszych ekonomicznych i społecznych. Na drogę życia, kto wie którędy wiodącą, warto wyciągnąć z tego pewne wnioski i zapamiętać sobie dane, z których się wyłoniły.

Popatrzył na nią uważnie, a potem rzekł z przyciskiem.

— A cóż ty widzisz tak nadzwyczajnego w tem otoczeniu i w tej rannej godzinie? Wszak tu się nic a nic nie zmieniło; jak było przed laty, tak jest i dzisiaj. Te same łany, ten sam gatunek zboża sieje się na nich, ci sami ludzie dookoła, ta sama zawsze praca, te same nadzieje — no — i zawody. Raz się uda, drugi raz nie urodzi, to grad wybije, to słońce wypali, lub woda zabierze. Tak przecież bywało dawniej, a że ziemia jest kapryśną kochanką, więc tak i teraz być musi.

— Nie widzisz, że naszych dębów już niema? — spytała drżącym głosem.

— I owszem, widzę, wszak jesteśmy na zrębie. Ojciec dobrze zrobił, że je sprzedał, bo tracić zaczynały już na wartości. Ojciec zawsze dobrze gospodarzył.

Spojrzała nań z niemym wyrzutem i odwróciła głowę. Lecz za chwilę, wskazujac ręką na rozległe pola, zapytała stłumionym i niskim głosem:

— A tam nic nie widzisz — żadnej zmiany?

Powiódł okiem za ruchem jej ręki i wzruszył przecząco ramionami. Zniecierpliwiła się.

— Więc nie widzisz, że tam przy robocie niema ani jednego człowieka z sierpem, kosą lub motyką; że te łany puste, pomimo późnej godziny; że nie dzwoni na nich pieśń żniwiarzy, ani nie słychać dźwięku kós? Więc nie widzisz, że owsy obsypują się, bo przyszedł im czas; że proso przytuliło dojrzałe kłosy do gorącej ziemi, bo nie ma dłoni, któraby je ujęła i podniosła; że, ot tam — pracują dwie żniwiarki na łanie spóźnionego żyta — a tu drożyną prowadzą kosiarkę na owsy?

— Postępowe zastąpienie rąk ludzkich i potu ludzkiego maszynami, przerwał jej.

Zaśmiała się nerwowo, boleśnie.

— Zapewne, tylko że i oziminę zbieraliśmy całkiem postępowo, bo obcych ludzi rękami i pod osłoną bagnetów żandarmskich.

Szybko zwrócił ku niej głowę.

— Jakto? mieliście — może macie jeszcze strejk?

Spojrzała mu długo i przeciągle w oczy, a potem, kładąc rękę na ramieniu jego, mówiła smutnie.

— Oj! wy, wy uczeni, co przebiegacie wielkie przestrzenie świata, co szukacie podniety i wrażeń ży-

ciowych w podzwrotnikowych strefach, na szczytach niebotycznych gór, lub we wspaniałych wodospadach, skalistych złomach i przepaściach, albo wreszcie, zamknięci w pracowni, w badaniach przyczyn zjawisk, widzicie cały świat swój; jak wy nie wiecie, co życie ze sobą przynosi, jak prędko zatracacie czucie z przeszłością i z tem wszystkiem, co różowiło pierwsze wasze lata!

— Ach! zniecierpliwił się Julian — cóż to kazanie, syntementalne kazanie?

Powściągnęła się.

— Gdzieżbo — ja prostaczka, ja z zapachem czarnej naszej roli, ośmieliłabym się prawić ci braciszku kazanie?

— Więc?

— Więc naturalnie mieliśmy strejk i w domu i na wsi. Najsamprzód odmówiła pracy i posłuszeństwa służba folwarczna i domowa. Twoja siostra nauczyła się krowy doić i cielęta karmić; mama sama musiała pracować w kuchni i w ogrodzie, przy praniu bielizny i prasowaniu, z pomocą tylko poczciwej naszej Szybalskiej, jednej dziewki i matki Szymka — która nas nie opuściła, pomimo że jej grożono śmiercią. Szczęściem niedługo to wszystko trwało, ale i tego, co było, mieliśmy wszyscy dość. Zaledwie zaś służba wróciła do obowiązku, rozpoczął się strejk na wsi. Ach! jakich scen byliśmy świadkami! bo trzeba ci wiedzieć, że powodem strejku były nie względy ekonomiczne, lecz agitacye polityczne. Ojciec musiał sprowadzić robotnika. Nasi nie chcieli ani sami pracować, ani drugim pozwolić — o mało krew się nie polała. Przebyliśmy okropne czasy — a co boleśniejsze, że rana, zadana zbrodniczą ręką, ciągle krwawi.

— Dlaczegóż nie donieśliście mi o tem? zapytał Julian cieplej i z odcieniem troski w głosie, ojciec musiał ponieść przykre straty materyalne?

— Zapewne, że bez nich się nie obeszło; te można jednak przeboleć i powetować; ale gdzie szukać siły i ręki, ktoraby zadziergnęła znowu zerwane węzły między dworem a gminą? Dziesiątki lat pracowaliśmy poczciwie nad spojeniem ogniw, nad pozyskaniem zaufania i serca tego biednego ludu! Goiliśmy rany, zadane przed wiekami nieoględnością, samowolą i rozpustą naszą, pragnęliśmy przysposobić ojczyźnie nowych synów, dać jej tysięcy rąk młodych i zdrowych do pracy nad odrodzeniem ekonomicznem i politycznem, wysiłek nasz syzyfowy prysnął jak bańka mydlana, serdeczny uścisk zdradziecka ręka rozerwała, budowa ledwie rozpoczęta rozsypała się w gruzy, łańcuch nawiązany pękł.

Robotę znamy, znamy rękę, która sieje jad nienawiści i zdrady, znamy to ziele, które upaja krew ludu i przyćmiewa wzrok jego przed prawdą i słońcem, nie wiemy jednak, w czem tkwi powód tej rozkładczej roboty — i to nas przeraża.

— Mniejsza o przyczyny w tym wypadku, zawołał z ogniem Julian, porwany słowami siostry, niebezpieczeństwu śmiało stawić czoło, hydrę zgnieść spokojnem i męskiem oczekiwaniem jutra. Trzeba zapanować nad rozdrażnieniem, wydostać ze siebie całą energię i siłę, stać niewzruszenie potężnym dębem w tej wichurze, która ostatecznie przejść musi.

Potrząsła smutnie głową i powiodła oczyma po zrębie.

— Zapewne — tylko, że teraz i dęby padają.

— Jakto rozumiesz?

— Że brak nam sił żywotnych, brak soków, któreby mogły podtrzymać nasz organizm.

Popatrzył bystro w jej smutne oczy.

— Czy z nami jest źle? zapytał nagle, ujmując obie ręce siostry, czy z nami źle? powtórzył — powiedz mi otwarcie!

— Nie wiem, odpowiedziała wymijająco — lecz zdaje mi się, raczej przeczuwam, że nad Dębowcem gromadzą się chmury. Ta dąbrowa była podobno ostatecznością...

— Są długi? Wysokie?

— Nie powiem ci także. Ale gdzież u nas znajdziesz ziemię niezadłużoną? Ojciec ci wszystko dokładnie objaśni; z wielkiem upragnieniem czekał twego przyjazdu.

— Więc to ma być rada familijna?

— Coś zdaje mi się, jakby w tym rodzaju; tylko nie myśl, że łagodzimy wędkę na twoją wolność. Ty zostaniesz zawsze swobodnym ptakiem, ale potrzeba, ażebyś wiedział i zrozumiał, jak ciężki i trudny jest nasz lot nad tą ukochaną ziemią, boś przecie wychował się z nami w jednem gnieździe — a i twoim skrzydłom siłę lotu dało to słońce i ta ziemia ojczysta.

Mówiła rozsądnie, ciepło, prawie z zapałem, więc Julian zaczął się przejmować jej słowami. Przypomniał sobie treść listu ojca, zaczynały mu się rozjaśniać refleksye w nim zawarte, które spowodowały wyjazd jego do Dębowca.

Milczeli czas jakiś. W tem kasztanek zarżał w stronę zrębu. Spojrzeli. Wzdłuż sągów szedł Szymek, ale zataczał się jakby pijany, był bez kapelusza, w rozwianej sukmanie, z otwartą piersią.

Nie widział ich, idąc naprzeciw słońca, oni go jednak dobrze poznali. Gdy wreszcie natknął na dąb, pod którym siedzieli, i gdy ich poznał, padł jak długi do nóg Wandy i szlochając, wołał jak nieprzytomny:

— Panienko droga, złota! — co tu się stało! Co tu się stało, mój Boże?

— Szymku! co ci jest? co się stało? gdzie się stało? czego szlochasz? pytali oboje razem.

— Gdzie dęby, gdzie moja dąbrowa, gdzie to święte drzewa moje? — łkał chłopiec.

Przez twarz Wandy przemknął skurcz silnego bolu — a potem gorącem rozrzewnieniem zwilgotniałe jej oko.

— Cicho — cicho, głaszcząc chłopca, szeptałą, cicho Szymku, niech ci się zdaje, że tu była wojna i że one padły. Cicho — nie zbudzisz już ich, nie powstaną więcej.

A podczas gdy to mówiła, powiał silniejszy wiatr i zakołysał gałęźmi wspaniałego, ostatniego drzewa, pod którem siedzieli i zaszumiało jego liście długo, przeciągle, jakby z potężnej piersi wielkoluda szło w świat wielkie westchnienie.

— Doprawdy, że z tym chłopcem do ładu dojść nie można, taż to czysty narwaniec, zrywając się ze ziemi, zawołał Julian — chodźmy Wandziu!

Szymek popatrzył wymownie na swego pana.

— Baba jesteś, dokończył zirytowany doktor, nie potrzebnie zabierałem cię z Monachium.

Odeszli — a on skulony prowadził kasztanka do dworu i tylko od czasu do czasu odwracał głowę i patrzał żałośnie w stronę zrębu — a pierś mu się podnosiła głuchem westchnieniem.

Za nimi zaś szumiał wciąż głucho i słał jakieś dziwne wieści w daleki świat — ostatni świadek zwycięstwa Sobieskiego nad niewiernymi.

IV.

Rozeszli się przed gankiem dworu; on poszedł na prawo do oficyn, ona weszła na werandę, ocienioną bluszczem i powojami, skąd skierowała się do przedpokoju, w którym słychać było brzęk naczynia, przygotowywanego do śniadania.

Julian zaczął się przebierać. W tem z cicha otworzyły się drzwi i na progu stanął Szymek z pokorną i skruszoną twarzą.

— Niech się pan doktor nie gniewa, szeptał, to się już nie powtórzy, ale co człowiekowi żal, to żal. Stawiam się do służby.

Julian zachmurzył się lekko.

— Co ci miałem powiedzieć, to już powiedziałem. Do posługi mam tutaj chłopca kredensowego. Możesz rozporządzać swoim czasem dowolnie. Gdy będziemy mieli odjeżdżać, dam ci znać.

Szymek pokręcił przecząco głową.

— Co nie, to nie. Jakżeby się pan mógł bezemnie obejść; a któż lepiej wie, czego pan potrzebuje, lub co się panu należy. Dobrą miałby pan usługę z chłopca kredensowego.

— Powiedziałem raz, że cię nie potrzebuję — powtórzył Julian stanowczo.

— A cóżto pan doktor mię oddala? zapytał z drzeniem w głosie i ogromnem żdziwieniem w oczach.

— Nie — ale wziąłem cię do kraju — dla ciebie — nie dla siebie — rozumiesz? Więc używaj wolności, jak ci się podoba!

— Pan doktor powiada: jak mi się podoba? A więc dobrze: mnie się podoba — wyrzucić chłopca kredensowego za drzwi, gdy się tu pokaże, rzekł z zacięciem.

Julian uśmiechnął się; pobił go sprytny chłopiec jego własną bronią.

— Ależ ja chcę, ażebyś się do woli nacieszył matką i swoimi, do których tak tęskniłeś, tak rwałeś się!

— Zaco niech Bóg stokrotnie panu wynagrodzi. Matce ucałowałem już wczoraj kolana i my sobie dużo, bardzo dużo powiedzieli. Wczoraj także obleciałem wszystkich krewnych i znajomych. Ach! panie drogi, jak tu przez ten czas wszystko się zmieniło. Mój Boże! tylko dwa lata — a wygląda tu tak wszystko, jakby cały wiek minął. Matka się zgarbiła — pochyliła do ziemi i niedowidza już. Zazuli niema — zdechła przy drugiem cielątku; Rózia, cioteczna moja, wyszła za mąż; stryj Antoni zmarł, świeć Panie nad jego duszą; Józef Półtorak przy wojsku, Stach Beznogi poszedł w świat na wędrówkę, pana nauczyciela przenieśli do miasta, teraz jest nauczycielka. Jędrzej Gwizda popalił się... nieskończyłbym tego do jutra.

— Nie próżnowałeś widzę, zaśmiał się Julian, zawiązując krawat, cóż jeszcze — mów!

— Et — smutno panie. We wsi jest druga karczma. Porębalski przepił już cały dobytek i siedzi w areszcie, a jego dzieci, pożal się Boże, wałęsają się i chodzą po żebrach. Ludzie jakby nie ci, co ich zostawiłem; wszystko jakieś chmurne, niedobre, nawet nie chcą uczciwie porozmawiać; wołają czasem za mną: idź sobie do dworu, ty nie nasz!

Ach! panie, tak jakoś smutno, tak tu inaczej, niż bywało.

— Tak ci się tylko wydaje, ludzie zawsze ci sami, te same mają zajęcia, na tej samej roli pracują.

— Gdzie tam panie; — a ot na gruncie Mikołajów i Bartoszów siedzą żydzi i chleb chrześcijański zajadają — zaprzeczył Szymek.

— Cóż chcesz, tamci nie chcieli pracować, więc pracują inne ręce; — ale ziemia tak samo rodzi, jak rodziła.

— I to nie, proszę pana doktora; tamtego roku były znowu straszne wylewy, — ludziska i ziarnka nie mieli, a dwa lata temu, to znowu tak wszystko spaliło, że z braku paszy bydło padało z głodu.

— Ileżto razy już tak było na ziemi, mój Szymku— to właśnie dowodem, że nic się nie zmienia, zakończył rozmowę Julian. Idę na śniadanie, a ty, skoro już tak chcesz i nie masz we wsi co robić, to zostań.

— Dziękuję panu. Dziś rano obleciałem znowu wszystkie kąty i w lesie i w polu i nad strugą. Oj! nie ten to już Dębowiec, nie ta to moja wieś rodzinna!

— Nie bredź, maniaku — przerwał zniecierpliwiony już Julian, zrób mi tu porządek i powypędzaj muchy!

— Czego oni właściwie chcą — czego im brakuje... dokończył głośno sam do siebie we drzwiach, kierując się następnie do werendy, skąd dochodziły go głosy.

Czekano już nań. Przed chwilą właśnie wrócił ojciec na linewce z pola. Nie kazał odjeżdżać; odrzucił tylko kapelusz, otarł z potu na brąz spaloną od słońca twarz i siadł w poręczowem krześle, przeglądając jakieś notatki. Matka w przedpokoju wydawała ostatnie dyspozycye objadowe Szybalskiej, a Wanda nalewała kawę.

Gdy wchodził po schodach na werandę, smukły, ogorzały, dorodny, z podkręconym wąsem do góry, wszystkich oczy skierowały się na niego, nawet klucznica przez uchylone drzwi przedpokoju rzuciła okiem, i aż mlasnęła językiem na widok doktora, jakby po skosztowaniu najlepszej konfitury.

Przywitał się po kolei ze wszystkimi, a Szybalskiej powiedział z daleka:

— Szybalsiu — jestem głodny jak wilk — spodziewam się, że kawusia wam się udała! A zwracając się do siostry dodał:

— Słodka gosposiu — nalewaj.

Potem siadł przy ojcu i odezwał się wesoło a swobodnie.

— Ojciec, jak widzę, już z pola — ciągle przy pracy? A mama pewnie już ze dwie godziny drypta po swojem gospodarstwie? No — siadajże mamusiu — siadaj — pijmy nareszcie, bo Szybalsia nie ustąpi się i obiad będzie opóźniony.

Słowom swoim z umysłu dawał ton lekki i swobodny, z dawniejszych jeszcze czasów, gdy ze szkół przy-

jeżdżał na wakacye, a ciepłem zachowaniem się, chciał odegnać chmurę, gdyby jaka już tak rano tu zabłąkać się śmiała.

Patrzali na niego, ale każde inaczej: matka z rozrzewnieniem, ojciec z jakimiś utajonymi blaskami w oczach, które szybko nakrył powiekami. Szybalska za drzwiami werandy modliła się do niego jak do obrazka. Wanda była smutna i zamyślona.

Matka zaczęła go wypytywać, jak przepędził noc, czy miał wygodne posłanie i czy mu nie brak czego w jego pokojach; ojciec chciał wiedzieć, w której stronie był na spacerze, bo mu mówiono, że rano wychodził przez sad; potem rozmowa zeszła na ogólniejsze tory stosunków sąsiedzkich, w powiecie, w kraju, wreszcie na to, co dzień ze zobą niesie. On odpowiadał wesoło, swobodnie, z pewnym akcentem niewyszumiałej jeszcze młodości, choć liczył już lat 27; unikał starannie jednak wszystkiego, co mogłoby wywołać drażliwą dyskusyę, lub sprowadzić na tory polemiki. Starał się być miłym, przyjemnym gościem, ale ponadto ani jedna żywsza nuta nie zadrgała w jego głosie, ani razu oko nie błysnęło szczerym zapałem. Okazywał się dobrym, ale nie najlepszym, kochającym, ale nie miłującym, uważającym i delikatnym, ale nie serdecznie przywiązanym synem i bratem, który dwa lata nie widział drogich twarzy.

Wypili kawę. Ojciec zapalił cygaro, syn za pozwoleniem kobiet papierosa. Służący podał torbę pocztową. Ojciec otworzył i zaczął przeglądać listy.

— Nie ma nic do mnie Andrzeju? zapytała matka.

— Nie — pani matko; do Wandeczki tylko jak zwykle dużo przekazów, z dziesięć listów i kartek.

Wandzia uśmiechnęła się, a brat zdziwił się tak liczną jej korespondencyą. Wysypawszy następnie całą zawartość torby, odprawił pan Andrzej służącego — a potem otworzył przysłaną książkę i podając ją Julianowi— rzekł z uśmiechem.

— To dla ciebie, pierwszy egzemplarz nowej pracy Dr. X... Myślę, że będziesz może ciekawy. Proszę cię.

Julian podziękował, a potem przeczytawszy głośno tytuł dzieła: „*O przyszłych terenach naftowych w Galicyi*“, skrzywił się i z lekceważeniem zaczął książkę kartkować.

Zauważył to ojciec.

— Nie w twoim guście? zapytał.

— Nie wiem — lecz sam tytuł mówi, że to nie jest dzieło naukowe. Mógł był tak samo napisać o przyszłości górnictwa naftowego w kraju — lub o szczurach wędrujących przez Atlantyk.

— Odmawiasz mu tytułu do pisania podobnej książki?

— To nie, lecz znakomite zdolności tego profesora upoważniałyby do oczekiwania z pod jego pióra prawdziwego dzieła naukowego, któreby dało nauce geologii jedno z tych rzutów jemu tylko właściwych. A tymczasem to — tu wskazał ręką na książkę, jeżeli się nie mylę, jest tylko interesem!

— A gdyby nawet tak było, jak mówisz, to na każdy sposób głęboką swoją wiedzą i erudycyą wskaże

nowe widoki i tereny dla przemysłu naftowego, wzmoże się ruch, rzucą kapitały...

— Lub utopią kapitały — przerwał Julian, nafta to śliska rzecz. Dziś jest, jutro jej niema. Geologia zna drogi, któremi chodzi, ale nigdy nie będzie wiedziała w jakiej ilości i jak głęboko znajdują się jej łożyska. Zresztą to wszystko nie dla nas, machnął ręką, jakby chciał zakończyć rozmowę na ten temat.

-- A to dlaczego? podejmując ostatnie słowa syna, zdziwił się ojciec.

Oczy Juliana błysnęły pierwszy raz. Więc powiedział dobitnie.

— Bo nie jesteśmy stworzeni do przemysłu, nie mamy potrzebnej rzutkości, energii, woli, wiary, albo ja zresztą wiem już czego. Mamy naftę — prawda — ale ta nafta—zagarnięta przez zagraniczne akcyjne towarzystwa, na naszym produkcie tuczą się tylko milionerzy angielscy i niemieccy—a jeżeli u nas znajdzie się raz na sto lat taki Szczepanowski, to go tak jak jaką egzotyczną roślinę obwąchają, obmacają, i obedrą w końcu na pamiątkę, że się raz przecie znalazło takie dziwo w Galicyi. Nie wierzę w rozwój przemysłu galicyjskiego.

— Przyznasz przecie, że w ostatnich czasach, bardzo postąpiliśmy naprzód, że tak jak na każdem polu i na przemysłowem dużo się zrobiło.

— Dużo się nagadało i dużo napaliło słomianego ognia. Weźmy naprzykład ostatni jarmark wyrobów krajowych; wszak tam towar zagraniczny, pod marką krajową — jako wyrób przemysłu krajowego pokazy-

wano. Powtarzam pokazywano, bo ten jarmark był jarmarkiem, na którym nie sprzedawano i nie kupowano.

— Mówi przez usta twoja zagranica zazdrosna, truchlejąca na samą myśl dźwigania się naszego przemysłu. Jesteś uprzedzony, choć nie przeczę, że i tu mogły mieć miejsca niektóre nadużycia; w ogóle jednak ten jarmark był rzeczą świetnie obmyślaną; miał poparcie całego kraju, wszystkich naszych instytucyj, wydziału krajowego, rad powiatowych. Tylko nie zniechęcajmy się pierwszym, może nie całkiem udałym początkiem—przekonywał gorąco pan Andrzej, wytknijmy sobie błędy, poprawmy się, ale nie ustawajmy w pracy na tej drodze.

— Nie odbieram ojcu wiary, ale jabym dzisiaj jeszcze grosza nie włożył w nasze krajowe przedsiębiorstwa przemysłowe.

— A jednak mój synu — na roli coraz nam ciaśniej, kurczymy się; wkładów nie ma za co robić, a bez wkładów ziemia jałowieje; robotnik drogi, podatki przygniatają, musimy szukać nowych dróg, nowych terenów pracy, mówił smutnie ojciec, otrząsając lekko końcem palca popiół z cygara i patrząc w zamyśleniu na stół.

— Nie przeczę, że trzeba nam szukać dróg nowych i nowego pola dla naszej pracy, ale — ojciec pozwoli, że gdy tu mowa o przemyśle, to bez kapitału, bez zimnej krwi, energii, a z sentymentalnością naszą polską niema co drapać się na te tereny, bo pokażemy tylko drogę innym, — a sami zostaniemy wnet zepchnięci z roli twórców i zejdziemy na parobków, w dodatku licho jeszcze płatnych. Nie mógłbym nigdy, mój ojcze,

zgodzić się na to, by być czyimś popychadłem i wykonawcą cudzej woli; a że raz — nie mam odpowiednich kapitałów, dalej, że nie wierzę u nas w ludzi dobrej woli, oddanych sprawie, a nie staraniom wyłącznym szybkiego zbogacenia się choćby kosztem najżywotniejszych interesów i przyszłości kraju, dlatego poświęciłem się i oddałem wyłącznie nauce — bo wolę być ostatnim między twórcami, aniżeli pierwszym parobkiem choćby na ojczystym zagonie.

Julian uniósł się, a powiedział ostatnie słowa tak głośno i tak twardo, że aż sam zdziwił się dźwiękiem swego głosu.

Ojciec zamilkł, lecz widoczna chmura przysłoniła jego twarz; natomiast Wanda, która z ciekawością przysłuchiwała się dotychczas rozmowie, pobladła i z ogniem utajonym głęboko w oczach — żywo rzuciła:

— A jabym za całą waszą twórczość i naukę, jednego zagonu naszej czarnej, ojczystej ziemi nie oddała; wolę ja go skrapiać ciężko potem i łzami, jak ostatnia najemnica — i tulić w nim przyszłość Polski do łona, niż być choćby pierwszorzędną gwiazdą na wielkich szlakach światowej sławy.

Słowa były gorące, padły znienacka. Julian odwrócił się, podniósł żywo z krzesła, spojrzał bystro w bladą twarz Wandy — potem na ojca i już... już miał wybuchnąć. Pohamował się jednak — wziął książkę ze stołu, odsunął lekko krzesło i zwracając się do siostry, rzekł z ironią:

— Dziękuję za lekcyę, ale nie zazdroszczę wcale.

A następnie zwracając się do ojca, całkiem już spokojnie powiedział, że gdyby go potrzebywał — to służący znajdzie go do obiadu u siebie.

Wyszedł wolno — zostawiając ojca i córkę — bo matka przedtem już opuściła ich była, wezwana na pokoje.

Z podwórza doszedł wesoły jego gwizd.

A ci dwoje jakiś czas przykro milczeli, a potem spojrzeli sobie w oczy.

— On nie nasz tatku — nie nasz — łzami wezbranym głosem szepnęła Wanda — usuwając się do rąk ojcowskich.

— Cicho dziecko, tuląc córkę do piersi mówił poważnie pan Andrzej, choć stare serce drzało w nim, cicho — pewnie że nie wasz — to mój syn; tak mój, dodał ciszej i wilgotne oczy przysłonił powiekami czerwonemi.

. . . .

Może w godzinę później, uchyliły się lekko drzwi do pokoju Juliana i pokazała się w nich jasna główka Wandy.

— Czy można? zapytała miękko i ciepło — nie przeszkodzę ci?

Odwrócił się, odsunął książkę, którą zdawał się czytać i spojrzał wcale niezachęcająco.

Zawahała się chwileczkę, a potem przystąpiła doń cicho i lekko, i, biorąc go za rękę, powiedziała szybko, mocno zarumieniona.

— Przyszłam przeprosić cię braciszku, przeprosić bardzo serdecznie, za dorzucenie swoich trzech groszy

do waszej rozmowy — ale widzisz... widzisz... to tak ciężko...

— Co ciężko, wcale nic nie widzę?

— Tak ciężko nie krzyknąć — dokończyła — gdy serce zaboli!

— Toż to właśnie — odsuwając siostrę i podnosząc się szybko z krzesła, rzekł Julian z mocą — te wasze serca pełne sentymentów, skore do płaczu, litości, zapalne jak słoma, miękkie jak wosk, który można urabiać, jak kto chce. Och! te serca!

Patrzała nań zlękniona, opierając się drżąca ręką o krzesło. A on ciągnął dalej, jakby jej nie widział, biegając po pokoju.

— Gdyby je można wydrzeć z piersi, te serca, to nieszczęście nasze, które jak nić krwawa ciągnie się w całym naszym pochodzie dziejowym od Piasta, Jagiełły, przez Wazów, Sobieskiego, aż po dzień dzisiejszy, przez Grunwald — Moskwę, Wiedeń, aż po Samo Sierę! Gdybyż to były choć serca, pełne grozy i tragiczności — lub pełne szlachetnych porywów, nie tylko pobudzające do czynów, ale umiejące przeprowadzić te czyny i wyciągnąć z nich wszelkie konsekwencye! A tak! tandetę mamy w piersiach, lichą tandetę, która błyszczy, mami ckliwością, afektem braterskim; zdobędzie się nawet czasem na ofiarę, ale głośną, krzykliwą i nigdy prawie nie zakołace silną wolą, nie krzepnie energią, nie rodzi stalowych mięśni i żywiołowych rzutów. Hej! gdyby to naszej inteligencyi, naszym zdolnościom, naszemu subtelnemu smakowi, tej krwi szlachetnej można dać zaprawę cementową i skuć jeszcze razem wszystko

w granitowe ogniwa — szlibyśmy na czele pochodu narodów, a nie wlekli się jak niewolnicy, zbierając po drodze i przyswajając sobie okruchy obcej cywilizacyi.

Stanął u okna, oparł czoło o szybę, ciężko oddychał. Ona go słuchała, bez tchu prawie, z zaciśniętemi ustami, z oczyma wlepionemi w dywan.

— Albo to frymarczenie ziemią. Narzekamy na ciężkie czasy, na słońce, wodę, grady, na podatki, na drożyznę robotnika, i zamiast ograniczyć się, zamiast ze zdwojoną siłą imać się pługa i sochy, zaprowadzać racyonalne, postępowe zmiany, wykorzystać każdą piędź ziemi, i wszystko to, co przy ziemi nietylko ostać się może, ale i rozwijać, a tem samem dochody przynosić może; my pakujemy manatki, wyjeżdżamy do miasta, do stolicy kraju, lub państwa — a często i za granicę — a ziemię oddajemy w dzierżawę żydom, na to, by do niej już nigdy nie wrócić. Fe! hańba! I to się nazywa u nas miłością ojczyzny, zagona rodzinnego? Czy wiesz ty, że połowa obszaru ziemi naszej znajduje się w obcych rękach, które raz dorwawszy się jej, nie puszczą, aż ją wyjałowią i zdewastują, ażeby już i osty na niej róść nie mogły — lub zagospodarowują się na wieki, przekształcając nasze dwory na stajnie i obory!

Nie wierzę w naszą przyszłość — nie!

— Przecież opuścić rąk nie można, trzeba coś radzić, działać, naprawiać, krzepić się, tak zostać nie może, bo to straszne, okropne... — odezwała się teraz Wanda i zasłoniła twarz rękami.

— Jesteśmy ciężko chorzy — ja lekarstwa nie widzę — niektórzy mówią, że lud... albo ja wiem.

— Od czegoś trzeba przecie zacząć!

— Zapewne, że trzeba, więc zaczynajcie, ja już powiedziałem, że niewoli nie znoszę, że nie jestem zdolny do pracy na tem polu — i że pójdę szlakami wiedzy i nauki, bo tam czuję się na miejscu swojem.

— Radę jednak dać możesz, boś dużo widział i słyszał na świecie, pokrzepić także możesz, bo przecież nas kochasz i obojętnem ci nie jest, co się stanie z tą ziemią, która od wieków do Dębowskich należała.

— Zdaje mi się, że ojciec dlatego mię tu wezwał!

— Więc nim z ojcem co postanowicie, jabym chciała mój Juleczku najpierw coś ci pokazać, a potem o coś poprosić.

— Służę ci.

— Więc chodźmy; ojciec i tak teraz cię nie wezwie do siebie, bo pojechał do miasta, zaproszony osobnym posłańcem do starosty. Biedny ojciec, co on ma kłopotów teraz.

Poszli; a ona go poprowadziła przez podwórze, w bok budynków gospodarczych, tam — gdzie stał nowy, mały domek i mówiła z ożywieniem:

— Prowadzę cię w krainę, w której niepodzielnie panuję, a z której chcę, by wyszedł początek racyonalnej naszej pracy i początek naszego odrodzenia ekonomicznego.

Uśmiechnął się lekceważąco, choć nie widziała tego i pomyślał:

— Co ona, sama jedna może zdziałać, czego te słabe białe ręce chwycić się mogą? Ot — nowa jakaś blaga.

A ona pokazała mu tymczasem sztuczną wylęgarnię drobiu, urządzoną wzorowo i ze znajomością rzeczy.

— Co miesiąca sprzedaję po sto par kurcząt; mam stałego odbiorcę we Lwowie; zysk dotąd nie wielki, lecz sądzę, że w tym roku będzie już wynosił 700—800 Koron.

Oglądnął szczegółowo wszystko i pochwalił. Zarumieniła się zadowolona, piękna twarz jej zajaśniała szczęściem. Ach! gdyby ten brat przeczuwał, jak ona, jak oni wszyscy tutaj go kochali; jedna pochwała z jego ust, a jak innym wydał jej się świat.

— To nie wszystko jeszcze! chodź dalej — to początek dopiero — mówiła gorąco, — biorąc go za rękę.

Obeszli budyneczek. Z tyłu była obszerna chłodzarnia, suszarnia, piwnica i lodownia.

— A to na co? — zapytał.

— Jesteś ciekawy, to już dobrze! Poczekaj, zaraz pokażę ci wszystko.

I oprowadziła go wszędzie za porządkiem. Widział szynki, buliony, półgąski, bryndzę, ser, masło, suszone owoce, konserwy, jarzyny, bity drób i dziczyznę w lodowni, marmolady, soki, konfitury —...

— Cóż to, będzie bal w Dębowcu, czy sejmik jaki? — zdziwił się.

A ona jeszcze więcej zadowolona, powiedziała, przekomarzając się:

— Ażebyś nie wiedzieć, jak prosił, to nic z tego nie dostaniesz, możesz tylko wąchać do woli, jeżell ci to sprawia przyjemność.

— Więc na cóż te dobre i smakowite rzeczy?

— To wszystko pójdzie do Szkowrona, Stadtmüllera, Lewickiego; trochę na targ, a reszta na zamówienia w kraju, które zaczynają już napływać.

— Więc sprzedajesz?

— Tak, od roku już—i sądzę, że w tym pierwszym roku będę miała z 1000 K czystego dochodu.

Zdziwił się jeszcze bardziej, tak jakby powątpiewał.

— Nie wierzysz? tu są książki rachunkowe — powiedziała, prowadząc go do małego pokoiku. Racz usiąść braciszku i przeglądnąć, jeżeliś łaskaw, i jeżeli to cię nie znudzi.

Popatrzył na nią innem okiem, jakby na osobę, której nie znał dotąd dobrze, a następnie, zapoznawszy się z jej książkami rachunkowemi i, stwierdziwszy dokładność, a nawet drobiazgowość w prowadzeniu — pomyślał:

— W tem już coś jest — a może być jeszcze więcej — jeżeli to wszystko nie jest naszą polską słomą.

Zwracając się potem do Wandy, która śledziła twarz i ruchy jego ręki i czekała niecierpliwie, co powie, — rzekł całkiem poważnie:

— Widzę, że w Dębowcu są zmiany, których nie mogłem jednym rzutem oka dostrzec—i gratuluję ci szczerze. To, coś tutaj zapoczątkowała, ma ogromną przyszłość przed sobą i może się stać istotnie źródłem bardzo pięknych dochodów, nie mówiąc już o tem, a co jest właściwie ważniejszem, że może być punktem zwrotnym w rozwoju naszego przemysłu domowego.

A potem patrząc, po raz pierwszy od przyjazdu, z serdecznem uczuciem w jej czarne i roztropne, a teraz zadowoleniem ożywione oczy — zapytał:

— I to wszystko, ty — tak sama, bez niczyjej pomocy powołałaś do życia?

— Tak jest, przyznaję się — potwierdziła — że to moje dzieło; do pomocy mam na pół dnia Szybalską, a na cały dzień oddano do mojej dyspozycyi dwie wyszkolone fachowo służące. Ale co to było, nim ta maszynka poszła w ruch?!

— Zwyczajnie jako rzecz nowa.

— Mama nie chciała zezwolić, ojciec i słyszeć nie chciał o jakichś interesach kupieckich w Dębowcu prowadzonych, twierdził, że to nonsens, jakaś chimera zagraniczna, która kosztować będzie kilkaset złotych, a nadto ośmieszy nas w całej okolicy. Musiałam dowodzić, perswadować, prosić, zaklinać, nawet płakać, zanim zdecydowano się na udzielenie mi pozwolenia do próby. Zaczęłam, a za pół roku, ojciec przekonał się i kazał postawić ten domek. Dziś już jestem pewną swego i nie boję się upadłości.

— Wierzę, boś myśl żywą i zdrową wprowadziła w czyn! A nie braknie ci też wytrwałości? Zapał nie ostygnie z czasem?

Ściągnęła brwi czarne i strzeliła błyskawicami.

— Mój zapał ma ostygnąć, ja miałabym się cofnąć i zejść z tej drogi? Ty myślisz, że to kaprys, że to taka chwilowa zabawka, o której w rozmowie z ojcem rano wspominałeś? Ty mię nie znasz mój bracie, ale mam nadzieję, że mnie poznasz jeszcze!

— A cenię cię już dzisiaj — dodał Julian, ściskając serdecznie rękę siostry — i widzę, że nie chcesz być najemnicą na zagonie ojczystym, jak to gorzko rano wspomniałaś, lecz że wprowadzasz nowe soki w arterye życiowe, które mają zasilić nasz wycieńczony organizm. Całem sercem ci służę! W czem mogę ci być pomocny, rozkazuj!

Odetchnęła głęboko, czuła, że jakiś wielki kamień spadł jej z serca; a myśl, — że znalazła nitkę, którą mogła połączyć tego tak kochanego, a tak dalekiego dotąd brata, z pasmem jej życia, ich życia, trudów, starań i nadziei, zakwitła taką żywą radością w całej jej postaci i liniom szlachetnej rzeźby jej twarzy, nadała taki wdzięk ujmujący, że to aż uderzyło Juliana.

— Poznać rasę, jest i krew zdrowa, — pomyślał z przyjemnością, patrząc na siostrę — ktoby to był przed dwoma laty wnioskował, że się urobi w tak dzielną niewiastę.

Więc zaczęła go pytać, w jaki sposób nawiązać, stosunki nietylko z firmami odpowiednemi w kraju, ale i za granicą, w jaki sposób zareklamować swoją fabryczkę, jak ją uprościć — i której gałęzi oddać pierwszeństwo?

On obiecał jej to ułatwić, zebrać potrzebne dane i wypracować cały projekt.

Tymczasem przybyły służące i zaczęły pakować dzisiejszą pocztą nadeszłe zamówienia. Julian teraz zrozumiał powód tej licznej korespondencyi siostry, a zarazem podziwiał, jakto wszystko sprawnie czyniono, jak zręcznie pakowano, wiązano, z jaką troskliwością

układano, by tylko wysyłka była odpowiednią, tak co do jakości, jak i ilości zamówionego towaru.

Przypatrywał się tej pracy jakiś czas z przyjemnością, z niekłamaną radością śledził ruchliwą, sympatyczną postać siostry, a nie chcąc wreszcie przeszkadzać i opóźniać rozmową roboty, wyszedł z wiarą, że z tego nie tylko może, ale nawet powinno urosnąć coś takiego, co ani sentymentem ani blagą — trącić nie będzie.

Ponieważ chłodny, orzeźwiający wiatr ciągnął od wschodu, a niebo było lekko zaciągnięte chmurami, więc kazał osiodłać konia i ruszył na spacer drożyną, wiodącą do wsi.

V.

Jechał stępo i w myśli szukał tych dróg, ścieżek i ścieżyn, któremiby spływać mogły w chory i zwątlony organizm narodowy regenerujące soki; widział tyle pól pracy odłogiem leżących, tyle materyału, wołającego w głos: „schyl się po mnie, ja noszę w sobie zawiązek twego dobrobytu“; widział bogactwa tej ziemi, skarby, które kryła w swem łonie; nie mógł dojrzeć tylko ludzi czynu, energii i stalowej woli. Szlachetne porywy jaskrawymi meteorami ścigały się po kraju, tu i ówdzie zdrowe myśli rodziły projekta, oparte na rachunku zimnym i rozumnym, szły hasła szczytne, nawołujące do ekonomicznego odrodzenia kraju; nie było jednak silnej ręki, nie było żelaznych muskułów, któreby ująć umiały i mogły te pojedyncze wysiłki w związek organiczny, w wielkie słowo: przemysł krajowy.

Drobnych kapitalistów było podostatkiem; kraj miał konsumentów wielu, z zapotrzebowaniem zwracano się jednak przeważnie do zagranicy za pośrednictwem całej falangi ajentów, zalewających wsie i miasta —

a jedno — jedyne tylko Tow. Kółek rolniczych, zdołało dotąd zaledwie dziesiątą część tego zapotrzebowania skierować ku swojej firmie. Potentaci finansowi, choć ich było nie wielu, lokowali swoje kapitały za granicą i śmiech powiedzieć, czytał przecież niedawno: Galicya w ostatniej pożyczce rosyjskiej ulokowała taką bajońską sumę, jak na osławioną swoją nędzę, że groszem tym, możnaby było powołać do życia przynajmiej pięć wielkich przedsiębiorstw przemysłowych, dać utrzymanie tysiącom szukającym pracy i łaknącym chleba, a i samemu uzyskać przynajmniej w dwójnasób większy procent — niż z niepewnych walorów rosyjskich.

A co gorsza, że złe to widzimy wszyscy, że uznajemy potrzebę dźwigania się o własnych siłach, że gadamy o tem na różnych ankietach i w różnych komisyach drobnego, średniego i wielkiego przemysłu; — że szpalty naszych gazet, naszpikowane są nawoływaniami, przestrogami, naukami, dowodami: że to, co robimy, źle robimy, że trzeba kapitały nasze wycofać z zagranicy, obracać nimi w kraju, przy ich pomocy stwarzać przemysł, podnosić rolnictwo i handel — lecz gdyby za pół roku Hiszpania zapukała do nas o pożyczkę te same gazety zalecałyby jak najgoręcej tę pożyczkę — dowodząc, że Hiszpan, to nasz brat, bo krew nasza z krwią hiszpańską wspólnie zraszała pola nad Gwadalkwiwirem! — I czemu nie — tym zamorskim grandom dalibyśmy z przyjemnością kilka milionów! — Niech wiedzą, że Polaka stać na to.

Zaśmiał się w głos sam do siebie, a musiał to być gorżki i przykry śmiech, bo aż koń rzucił się w bok.

Dojeżdżał do pierwszych opłotków i pierwszą osobą, którą spotkał, był żandarm, wychodzący ze wsi.

Rozglądnął się w około. Chaty te same, niskie, zczerniałe, przeważnie jeszcze bez murowanych kominów, choć przypisy policyjno-ogniowe obowiązywały w całej pełni od lat kilkunastu; zaledwie tu i ówdzie nęciło oko porządne, z murowanym kominem domostwo; porządnych ogrodzeń mało, sadów nie wiele, rowy przydrożne choć głębokie i równo szkarpowane, zanieczyszczone i zarośnięte, pomimo wyraźnych przypisów sanitarnych i drogowych, że tak być nie powinno. Widocznie nie miano czasu taką drobnostką zajmywać się teraz. Cisza i pustki dookoła. Kilkoro dzieci, na widok konia i jeźdźca z wrzaskiem puściło się za nim; tu i ówdzie kilka ciekawych głów wyjrzało przez drzwi lub okno. Za to koło karczmy znowu obaczył żandarma w pełnym rynsztunku i kilkudziesięciu chłopów, którym jakiś surdutowiec, coś gorąco wykładał.

Gdy nadjechał, spojrzeli nań z ukosa, i — choć dobrze jeszcze od wczoraj wiedzieli, że młody doktor dziedzic przyjechał, zaledwie dziesiąty uchylił kapelusza, odwracając głowę, jakby się wstydził tego.

Zirytowany zaciął konia w cwał. Na końcu wsi spotkał trzeciego żandarma, wkraczającego w terytoryum chat.

— Aha — pomyślał — żandarm na początku — żandarm w środku, i jeszcze raz żandarm na końcu, a koło karczmy grupa radzących, oto — co nam przyniosła niezdrowa agitacya za reformą wyborczą. A tymczasem w polu marnieje praca, idzie niezadowolenie, za

nią choroba, głód i Bóg wie jakie klęski. Podobno w liście swojem, ojciec nie nadto skoloryzował przyjemne położenie ziemianina.

Tymczasem wyjechał na pagórek, skąd roztaczał się widok na całą okolicę. Dołem na prawo — widniał na pierwszym planie zrąb, na którym stał ojcowski dąb, taki wielki i groźny, jakby z grobu powstały husarz polski, strzegący wejścia do obozu. Za zrębem widział jak na dłoni folwark majdański z walącymi się budynkami gospodarczymi — ale z okazałym pałacem, do którego wiodła zarośnięta droga przez wpół rozwaloną bramę. Na kwietnych -- cudownie strzyżonych dawniej gazonach, pasły się teraz cielęta! Mógł je porachować, raz, dwa, trzy... siedm sztuk. Na terasie pałacowej, na piętrze, coś zamigotało. Wpatrzył się lepiej, a że właśnie z poza chmur błysnął promień słońca, ujrzał wyraźnie w śmiertelnej koszuli modlącego się żyda.

Odwrócił się szybko, jakby przez gada ukąszony. Ale i teraz niewesoły przedstawił mu się widok. Na dole, po lewej ręce, pamiętał to dobrze, w głębi lasów, w śród wertepów i jarów, na polanie wielkiej, stał dawniej duży dom, w którym zamieszkiwał starzec, odludek i dziwak, jedną babę tylko mający do posługi i starego jakiegoś człeka, co pilnował lasów i pasieki. O nim to nasłuchał się przed laty wiele różnych opowieści; matki straszyły odludkiem swoje dzieci, młodzież za żadne skarby świata nie poszłaby była do lasu jego po grzyby lub jagody. Widywał nieraz tego starca, pamiętał doskonale, chodził zawsze z brytanami, ale jak się nazywał, nie mógł sobie w żaden sposób przypomnąć.

Teraz ujrzał, że domu mieszkalnego już niema, albo tak jak niema, bo czerniało tylko pogorzelisko ze sterczącym w górę okopconym kominem. Jakiś przerażający smutek wiał z tego miejsca, a wiatr przynosił przykry swąd spalenizny.

— Całuję rączki wielmożnego, ktoś się nagle za nim odezwał.

Odwrócił się; koło niego stał dobrze mu znany leśny ojcowski.

— Jak się macie panie Józefie? odwzajemnił powitanie grzecznem pytaniem. Jak widzę zdrów i czerstwy jak zawsze?

— Dziękuję wielmożnemu panu, żyje się jakoś i chwali Pana Boga.

— Mój Panie Józefie — spytał Julian, co to tam się stało? I wskazał ręką na pogorzelisko.

— Od pioruna, wielmożny panie — na same Boże iało.

— I tak stoi dotąd?

— Niema komu dźwignąć.

— Jakto?

— Stary Sokulski dzień przedtem umarł. Strach panie, z nieboszczyka zostały tylko białe, wypalone kości.

Ale Julian niesłyszał tego objaśnienia leśnego, jego uderzyło nazwisko, które wypowiedział.

— Kto? kto umarł? zapytał żywo.

— Sokulski panie.

— Któż to był?

— A przecież ten dziwak, odludek, właściciel Jarkowa.

— To on się Sokulski nazywał? Dziwne — dziwne?

— Tak, wielmożny panie; w tem niema nic dziwnego, że pioruny z ręki boskiej zabijają i palą, ale żeby i dobytek i nieboszczyka spaliły, to pierwszy raz wydarzyło mi się w życiu coś podobnego widzieć. A widziałem na własne oczy, ciągnął gaduła leśny, rad, że go młody dziedzic słucha.

Ale Julian przerwał mu opowiadanie.

— I dawno on tu mieszkał?

— Bóg wie panie od kiedy; może piećdziesiąt, może sto lat, albo ja wiem; był bardzo stary, a najstarsi ludzie pamiętali go starym. Wielmożny starszy pan musi coś wiedzieć o tem, bo przed śmiercią był u niego.

— Kto? mój ojciec? zdziwił się Julian.

— A tak wielmożny panie — wielmożny starszy pan. Tak jest, jeździł do niego — i bawił coś ze trzy godziny.

— To dziwne — dziwne; to nazwisko, ten zbieg okoliczności, że też mi nigdy to na myśl nie przyszło, rozważał Julian, zwracając konia i żegnając skinieniem głowy leśnego. Zdążał z powrotem prosto do domu.

Był bardzo ciekawy dowiedzieć się czegoś bliższego o tym Sokulskim. Tymczasem ojciec nie wracał z miasta i musiano bez niego zasiąść do obiadu. Po objedzie Wandzia poszła znowu do swojej fabryki, a on został przy matce. Opowiadał jej o swoich studyach, o projektach na przyszłość; jak każda matka, tak i pani Dębowska mnóstwem pytań zasypywała syna; wiele odpowiedzi swoich musiał bliżej objaśniać, tłumaczyć, aż nareszcie wywiad ten przerwał turkot kół.

Myśleli, że to ojciec, tymczasem zawiedli się; była to bowiem pani Wnorowska z Krasnolesia z dwoma córkami.

Matka wyszła do gości, a Julian wymknął się drugiemi drzwiami do siebie.

Przez okno widział potem jak Wanda prowadziła panny Wnorowskie do swojej fabryki.

— Zaczynają być ciekawi — myślał — to dobrze; dobry przykład, a zwłaszcza rentujący się, wywrze pewien skutek. Będzie może kiedyś potrzeba połączyć kilka dworów w to przedsiębiorstwo, więc dobrze, że grunt do tego już dzisiaj przysposabia. Gdyby zaś ją wyśmiano i wyszydzono to tu, to tam, nie powinna się zrażać, lecz szukać gdzieindziej zwolenników swojej idei. Prędzej, czy później znajdzie ich, a im początek trudniejszy, tem słodszy potem owoc pracy, starań i wkładów. Z tego, co widziałem i słyszałem, wnioskując, można przypuszczać, że Wanda wytrwa, i byłoby to rzeczywiście ciekawe i bardzo pouczające, dla tych wszystkich feministek, co plotą trzy po trzy na swoich kongresach o równouprawnieniu niewiast, o wyzwolinach ducha kobiety, o społecznych ich obowiązkach, o ich prawach do zajmywania katedr, urzędów i zasiadania w parlamencie! Posłałbym je wtedy na folwark Wandy, by się przypatrzyły, jak wygląda kurnik wzorowy, jak się robią konserwy, suszą owoce, smażą konfitury, jak sztucznie wylęga drób; kazałbym im przypasać fartuszki i pilnować wylęgarni — zamiast z mikroskopem siedzieć i badać rozwój embryonu; kazałbym im prowadzić korespondencye, rachunki i uczciwie a rozumnie zakładać gospodar-

stwo w jakiejkelwiek gałęzi, a nie gardłować za równouprawnieniem kobiet, wolną miłością, zniesieniem rodziny i innemi podobnemi maniactwami.

Zdolne jednostki między niemi i dawniej już wybijały się ponad tłum, zajmywały zaszczytne stanowiska w świecie literackim i naukowym, były nieraz gwiazdami przewodniemi narodu ; ale czego cała ich falanga ciśnie się w mury uniwersyteckie i tu i za granicą, zamiast zakasać rękawy i imać się pracy na polach przemysłu naszego domowego, tak odłogiem leżących — dalibóg, że nie wiem. Gdzież u nas jest zapotrzebowanie tych fartuszkowych zdolności? Czyż mało miernoty męskiej zasiada na stołkach profesorskich i ławach adwokackich; czy tym głowom potrzebne są jaskrawe ogony?

Niewesołe te myśli przerwał mu Szymek, prosząc do podwieczorku. Wymówił się bólem głowy, wolał w samotności czekać na ojca, zresztą nie chciał odnawiać znajomości dawniejszych, skoro przybył tylko na dni kilka do kraju.

Jakoż nad wieczorem wrócił pan Dębowski, a może w godzinę później poprosił syna do siebie.

— Ojciec musi być znużony? zagadnął, wchodząc do gabinetu i witając się.

— Nie pierwszy i — zdaje się — nie ostatni raz. Siadaj ; proszę cię, tu są papierosy.

Gdy zasiedli wygodnie i zapalili, odezwał się pan Dębowski po małej pauzie.

— Przedewszystkiem dziękuję ci, kochany synu, żeś zaraz pospieszył na moje wezwanie.

— Ależ to obowiązek...

— Zapewne, tylko — żeś do spełnienia go wyznaczył sobie natychmiastowy termin. Owóż nie będę cię nużył długimi wstępami i okresami — powiem krótko: potrzebowałem cię — ażeby wspólnie coś postanowić: z nami t. j. z Dębowcem jest źle.

Zwiesił siwą głowę na piersi, jakby to słowo, które przed chwilą wyrzekł po raz pierwszy głośno, jeszcze bardziej przygniotło go do ziemi. I istotnie wyglądał teraz, jakby nad nim przechodziła burza jesienna, jakby z drzewa jego życia opadały liście nadziei, jakby nie widział drogi wyjścia, wśród zagmatwanych ścieżek.

Po twarzy syna przemknął przykry wyraz bólu, gdy tak patrzał na swego rodzica i gdy widział go, uginającego się pod ciężarem losu i zawodów.

— Czy położenie jest bez wyjścia, czy tylko trudne? zapytał po chwili.

— Nie chcę powiedzieć ostatniego słowa, osądź sam. Objąwszy Dębowiec po rodzicach, wziąłem na siebie obowiązek wypłacenia dwom moim siostrom należącego się im posagu i bratu jego części. Musiałem więc na zastaw ziemi zaciągnąć znaczniejszą pożyczkę. Dębowiec niezadłużony, dobrze zagospodarowany i zainwentaryzowany, mający ziemię pierwszej klasy i wysokopienny las, mógł wytrzymać 150.000 zł. długu. Starczyło dochodów na raty, procenta — na wychowanie dzieci i na dostatnie życie — ale tylko przy normalnych warunkach i w czasaeh, kiedy stosunki ekonomiczne w kraju były lepsze. W naszym preliminarzu nie było miejsca dla rubryk nadzwyczajnych wydatków, bo nie było dla nich pokrycia, a jeden rok klęski elementarnej

niszczył zawsze z trudem utrzymywaną równowagę i nieraz lata całe trzeba było czekać, zanim znów spokój zawitał. Powtarzam tak było dawniej. Od dłuższego czasu jednak stosunki gwałtownie się zmieniły. Są głębsze tego powody, o których wspominać nie będę, bo jako nie rolnikowi obojętne ci są — dość, że od lat siedmiu, a bodaj czy nie ośmiu, jestem już tylko rządcą własnego majątku. Wszystkie dochody zabierają banki na raty i procenta. Samo przez się rozumie się, że na życie, na spełnienie obowiązków, jakie nakłada na mnie stanowisko moje w społeczeństwie, słowem—na wszystkie inne potrzeby zaciągało się krótkoterminowe pożyczki. Przed dwoma laty stan tych pożyczek był tak wysoki, że groziła nam już wtedy katastrofa. Zdecydowałem się sprzedać Dąbrowę. Dałem pod nóż niemiecki moje ukochane dęby...

— Szkoda, że ojciec nie uczynił tego przed ośmiu laty — wtrącił Julian.

— Zapewne, potwierdził ojciec z ciężkiem westchnieniem, może ta ofiara wówczas byłaby się na co przydała — a tak... machnął ręką z goryczą — dziś jestem tam, gdzie byłem. Jeden rok posuchy, drugi rok powodzi, a obecnie rok strejków i fermentu politycznego, zaprowadziły mię nad brzeg. Cztery raty w towarzystwie kredytowem niezapłacone, w stodole i w szpichlerzu pustki, wskutek czego rozumie się resztki kredytu upadły. Oto naga prawda — dokończył blady, trzęsącym się głosem i zakrył twarz rękami.

Z głębokim bólem patrzał Julian na ojca, na tę szlachetną postać, złamaną przedwcześnie ciężką walką

z życiem, na tę piękną głowę, co chyliła się, jak dąb podcięty — o który uderzają nielitościwe burze.

Jakaż to smutna ostateczność! A przecież ten człowiek, ten jego ojciec, to zawołany na cały powiat gospodarz, zapobiegliwy, rachunkowy, rozsądny, skromny w życiu, pełen postępowych myśli, pojmujący życie i to, co życie ze sobą przynosi! Umiał liczyć, liczył i przeliczył się, jest dzisiej ruiną finansową i stoi nad przepaścią.

Wzdrygnął się. Dobrze, że choć on ojca nie wiele kosztował. Ostatnie podróże i studya w Monachium opędził ze swoich 30.000, które mu stryj, umierając przed laty dziesięciu, zapisał. Policzył prędko w myśli. Nie wiele tego zostało, ale zostało przecież z jakich 8—10 tysięcy. Już postanowił.

— Ile wynoszą zaległe raty w towarzystwie? spytał nagle.

Ojciec wstał, poszedł do biurka i wyraźnie powiedział: — 34.627 K 88 h. bez procentów zwłoki.

— Czy opłaciwszy procenta i bodaj część rat, możnaby uzyskać prolongatę na resztę?

— Możnaby spróbować; — nie wątpie, że byliby skłonni uczynić mi możliwe ulgi.

— Więc mojem zdaniem ojcze, trzeba najsamprzód tę zmorę odegnać, zizolować piorun, który nad głową wisi.

— Zapewne — tylko... i rozłożył ręce... skąd wziąć, wszystkie źródła wyschłe, takiej kwoty nie wydobędą.

Julian chciał już powiedzieć:

— Ależ ojcze — masz taką kwotę w domu. jest reszta mojej schedy, rozporządzaj nią.

Zawahał się jednak.

Błyskawicą przeszło mu przez mózg: a nuż ojciec tych pieniędzy niema; a jeżeli je już wydatkował, chcąc ratować Dębowiec. Nie zastanawiał się nawet nad tem, czy to było możliwem, sama myśl o tem, że mógłby ojca powiedzeniem swojem w fałszywe i przykre położenie postawić — falą krwi uderzyła mu do głowy i potem oblała dumne jego czoło.

Bądź co bądź jednak postanowił śmiało uderzyć.

— A przecież trzeba wyrwać fundusz potrzebny, bodaj z pod ziemi, rzekł z energią, nie można kroku zrobić dalej bez pieniędzy.

— I ja to czuję — lecz powtarzam, że nie widzę sposobu.

— Ależ dla Boga — to nie może być, ojciec musi mieć przecie jakieś pieniądze w domu? zapytał porywczo.

Popatrzył nań uważnie, jakby się domyśliwał czegoś, a potem rzekł zwolna i dobitnie.

— Pewnie, że mam, ale cudze.

— Jakto? Co to znaczy?

— Przedewszystkiem twoje!

—Co? moje—to cudze? Coś ty ojcze powiedział? zniecierpliwił się, patrząc mu bystro w oczy.

— Co nie moje, to obce, cudze — powtórzył ojciec z przyciskiem, i — proszę cię — nie mówmy o tem.

— Ależ właśnie że mówmy i to natychmiast, bez względu na twoje osobiste zapatrywanie się na sprawę. Wiele tam tego jest?

Poważna twarz pana Dębowskiego jakby skamieniała; — rysy wydłużyły się, a nieruchome oko stało się zimne jak stal.

— Jakto? Nie wiesz wiele ci stryj zostawił? Zapomniałeś? zapytał.

Potem zwrócił się znowu do biurka, otworzył jedną z szutlad — wyjął książeczkę kasy oszczędności i podał synowi.

Julian nie wyciągnął ręki, lecz rzucił:

— Wiem, 30 tysięcy!

— Więc o co się rozchodzi?

— Oto — ile jeszcze zostało?

— Co takiego? krzyknął ojciec i zbladł jak płótno.

Julian przestał pojmować na chwilę, co się dzieje, ojciec jednak, powściągnąwszy siłą woli wzburzenie, powiedział krótko:

— Proszę cię, weź to do siebie i przestań obrażać ojca. — I położył książeczkę przed synem.

Nastała chwila przykrego milczenia. Julian wziął machinalnie książeczkę do rąk, otworzył i podskoczył, jakby siłą wybuchową wyrzucony w górę.

— Co? co takiego? krzyknął.

Teraz ojciec spojrzał zdziwiony.

— A cóżeś ty mój dobry, mój szlachetny ojcze zrobił najlepszego, zawołał, wzruszony prawie jak dziecko — tyś obdłużał Dębowiec, tyś może cierpiał niedostatek, tyś mi posyłał na każde żądanie twoją krwawicę — a z tego nic nie tknąłeś? Jakżeś ty mię — szlachetne serce, ciężko w tej chwili zawstydził i ukarał.

— Nie moje było, więc nie tknąłem. Obowiązkiem ojca jest: wychować i dać wszystko dziecku, czego dusza jego potrzebuje, odpowiedział mu skromnie, starając się pohamować jego wybuch.

Lecz on był już przy jego sercu i ściskając go i tuląc usta do tych rąk kochanych, mówił przerywanym głosem:

— O! niedobry, niedobry ojcze, tak mię złamać, tak zgnieść na miazgę. Weźże to — weź prędko, wszak we mnie płynie krew Dębowskich, krew stara i uczciwa, weź, weź, dla tej ziemi, wszystko dla tej ziemi...

Książeczka oszczędności upadła na dywan — syn drżał, a na szlachetną, bladą twarz ojca padał przez otwarte okno złoty promień zachodzącego słońca.

Więc powtarzał w duszy rozełkanej, patrząc na ten promień:

— Zachodź słońce, zachodź! — kiedy mam go takiego przy sobie, kiedy to jest mój syn!

A potem długo siedzieli obok siebie w milczeniu; ojciec wahał się, czy wolno mu przyjąć te pieniądze i użyć na odwrócenie od Dębowca siły niszczącej; zastanawiał się, czy ofiara ta zdoła wyrwać ich z toni, w której już dna dojrzeć nie mógł? A co dalej? co dalej? Jak się urządzić, jak pokierować sprawy, by ich mechanizm życia dotychczasowego i stosunków uregulować i puścić w ruch prawidłowy? A czy to koło, puszczone w ruch nie stanie znowu po pewnym czasie, nie dlatego, jakoby nie miało mocnych trybów, lecz że nienależycie przystosowano je do zmienionych warun-

ków i stosunków w społeczeństwie? Czy nie trzeba tu może dla Dębowca innej ręki, innej duszy? Duszy, któraby wniknęła głębiej w tajniki nowych zagadnień, któraby zrozumiała należycie ton drżenia tej ziemi, spokojnej dotąd, i umiała wyczuć prądy, które wstrząsają jej piersią; ręki zaś — zdolnej pokierować łodzią wśród fal wzburzonych i umiejącej stawić skutecznie czoło burzy zrywającej się nad krajem? Zaostrzone antagonizmy klasowe, do bezprzykładnej namiętności pobudzone i rozwydrzone serca i umysły w walce narodowościowej, podminowane życie rodzinne i tradycyjne stosunki społeczne w kraju, hasła przewrotu zapalnym ogniem przebiegające wzdłuż i wszerz; wielka, krwawa łuna rewolucyi, która świeci od północy, i bucha z posad ościennego państwa z żarem, jakby z czeluści olbrzymiego wulkanu! Czy to wszystko spłynie lawą gorącą i odsłoni świeżą, młodą, rodzącą się jutrzenkę swobody w nadpromieniach dwudziestego wieku, czy też wstrząśnie tylko starą budową, da ujście gorącej krwi, zalewającej serce i mózgi, a potem powrotną falą położy na wszystkiem na długie lata tajemniczą pieczęć milczenia?

Syn zaś podziwiał delikatność uczuć i pojęcie obowiązkowości u oja, uprzytomniał sobie te wszystkie chwili walk jego rozpacznych i zawodów w życiu, tę długą i ciągłą, bo przez dziesiątki lat wlokącą się krwawą pracę nad utrzymaniem ojcowizny; teraz dopiero widział i pojmował to szlachetne serce, które choć kurczyło się nieraz z bólu, nie pozwoliło jednak by najmniejszy choćby cień padł na sztandar jego życia. Teraz rozumiał, dlaczego jego ojca tak szanowano, niemal czczono w po-

wiecie, dlaczego ofiarowywano mu i prezesostwo w Radzie powiatowej i poselstwo do Sejmu, ale wiedział też już dlaczego ojciec stanowczo wszystkie godności ofiarowywane mu przez sąsiadów odrzucał. On rozumiał inaczej niż przeciętnie obowiązek, czuł, że pracując dła rodziny i Dębowca, nie stać go na nic więcej w dzisiejszych warunkach; oddał się przeto cały temu, co uważał jako najdroższe i najpierwsze.

Nie chciał iść gościńcem blagi i obiecanek nigdy nie ziszczonych, bo rozumiał co to praca, bo miał subtelne poczucie honoru i tak rzadkie dziś niestety... czyste ręce.

I on, syn — mógł na tak długo oderwać się od pnia rodzinnego, nie czuć wspólności bolów i radości, — studyować i kochać zimne kamienie, zamiast nauczyć się miłości życia w oświetleniu tych promieni, kt re nad Dębowcem gorzały?

Ależ tak dłużej być nie może; i on ma obowiązki, wynikające ze wspólności pnia rodzinnego, i on musi sobie nareszcie powiedzieć, że jego słońce nauki — dla niego — doszło już do zenitu.

— Niechże się już stanie tak, jak sobie życzysz — pierwszy odezwał się ojciec — choć Bóg jeden widzi, jak mi ciężko przyjmywać twoją ofiarę.

— Nie krzywdź mię ojcze; żadna to ofiara, jeno najprzyjemniejszy obowiązek, jaki kiedykolwiek spełniłem w życiu.

— Kosztem dalszych twoich studyów naukowych i podróży; pierwsze mógłbyś pogłębić a drugie rozszerzyć, mając taki kapitał do dyspozycyi.

— Zupełnie nic na tem nie tracę; — i tak myślałem niebawem w kraju zużytkować wiadomości zdobyte; przyspieszę tylko spełnienie zamiaru i już w tym roku będę się habilitował na jednym z uniwersytetów krajowych. Proszę cię zresztą, nie mówmy teraz o mnie; mówmy tylko o tobie i Dębowcu.

I zaczęli najdokładniej i wszechstronnie rozstrząsać stan majątku, stosunki dworu do wsi, jak się zachować wobec idących prądów i haseł wywrotowych, co i jak zrobić, ażeby w tych ciężkich społecznych i ekonomicznych czasach utrzymać się na powierzchni.

Julian radził, ażeby wobec wrogiego stanowiska ludu, zwijać stopniowo gospodarstwo rolne, powiększać natomiast chów bydła i skierować należytą, a stateczną uwagę na te gałęzie przemysłu domowego, które w tej okolicy miałyby przyszłość przed sobą. Zaznaczył przy tem, że urządzenie wzorowej i wielkiej mleczarni byłoby może najstosowniejszem. Przedsiębiorstwu Wandzi zapowiadał również piękną przyszłość, zwłaszcza, że brak w kraju dobrze renomowanych tego rodzaju dostawców, może skierować zapotrzebowania do Dębowca. Należy tylko rzecz należycie zorganizować, z czasem rozszerzyć i zaokrąglić. Zmyślna głowa, zapał, odpowiedni kapitał, a przedewszystkiem dusza, którą siostra włożyła w przedsiębiorstwo, daje rękojmię dobrej przyszłości.

Gdy zeszli na temat stosunku dworu do gminy odezwał się p. Dębowski:

— Przecież i ty pamiętasz i prawdzie świadectwo dać możesz, jak po ojcowsku, powiem więcej — po bratersku postępywaliśmy zawsze z gminą. Wychodzi-

łem zawsze z zasady, że dwór bez gminy — a gmina bez dworu, to jak ręka prawa bez lewej, lub naodwrót; że źle się tam dziać musi, gdzie to, co ręka prawa tworzy, ręka lewa niszczy; gdy każda z nich czego innego chce. Dwór ma za sobą wiek, doświadczenie, wielki obszar, więcej zasobów, gmina więcej rąk i siły fizycznej. Jakie piękne połączenie tych czynników! Niewiara ich jednak silniejszą jest, niż jasność promieni słonecznych.

Chciałem im założyć kółko rolnicze — nie uwierzyli w uczciwe moje chęci. Kasę Reiffeisenowską nazywali z początku bankiem, który będzie łupił skórę z chłopów; a przecież należeli do jej zarządu i ja byłem ich wójtem przez całych pięć lat, więc mieli czas poznać moje zamiary. Dla charakterystyki stanu, w jakim ich umysły znajdują się, opowiem ci, co mi się przed strejkiem, kilka tygodni temu wydarzyło.

Było mi za wiele już tych agitacyj i warcholenia rozmaitych przybłędów, którzy w biały dzień lud tumanili, że nas wyżenią za San i zabiorą nasze grunta i lasy; więc żal mi się ich zrobiło, że marnują czas, dają się tumanić, i połykają haczyk do niecnej roboty jakiejś. Zebranych ludzi, tu u mnie na podwórru pouczyłem w stosowny sposób i wytłumaczyłem im, że tak, jak żaden z nich — nie oddałby i kryszki ziemi swojej, czego dowodem, że o miedzę latami się procesują, tak samo i my szlachta — nie damy nic nigdy nikomu z naszej własności pod przymusem, że ztąd się nie ruszymy, bo to ziemia nasza, krwią i potem naszym przesiąkła. Więc niechże nie wierzą tym, którzy ich tu

tumanić przychodzą, którzy ich burzą przeciw nam i naszej własności, którzy judzą do rabunku i kradzieży.

Wysłuchali mię cierpliwie — pokiwali głowami, kilku, co poważniejszych poskrobało się w głowy — aż najstarszy Grzegorz przystąpił do mnie i tak powiedział:

— To wszystko piękna prawda, co wielmożny pan nam powiedział, i pewnie, że tak być musi, a nie inaczej; tylko proszę wielmożnego pana, jeżeli ci, co przychodzą tu do nas, pouczają nas i namawiają do złego, rabunku i kradzieży, to czemu ich żandarm nie zaprowadzi do aresztu?

Zbity tem zapytaniem z tropu, pozdrowiłem ich po chrześcijańsku i odszedłem do pokoju.

Oni zaś rozeszli się spokojnie — a w dwa dni później miałem strejk służby folwarcznej i domowej, w trzy tygodni strejk żniwiarzy i kosiarzy, a teraz ciągają mię po sądach w procesie o zbrodnię gwałtu i zaburzenia, wytoczonym naczelnikom ruchu strejkowego i agitatorom. Ot i dziś w tym celu jeździłem do miasta.

Julian słuchał ździwiony, a potem z oburzeniem zawołał:

— U nas zawsze tak, po austryacku; dwulicowość wszędzie na każdym kroku, — a każdy krok w dodatku chwiejny i niezdecydowany. Oj! dużo, dużo błędów — widzę zrobiono tutaj, i lata miną — a one będą się mściły jeszcze na drugiem pokoleniu.

Niema innej rady; trzeba lud zostawić jakiś czas swojemu losowi — a zdaleka tylko czuwać nad tem,

by go fala przewrotu nie zalała. Zresztą jest to kwestya tak ważna, że tylko we wspólnej naradzie i wspólną uchwałą, obowiązującą wszystkich ziemian, można wyznaczyć sobie wytyczną postępowania.

— Mieliśmy już takie zgromadzenie, była narada, ale . . . . .

— Skończyło się na gadaniu; było kilka pięknych i patryotycznych mówek i dużo szczytnych projektów — zaśmiał się Julian.

— A ty skąd wiesz o tem? — ździwił się ojciec — przecież żaden dziennik nic nie wspominał.

— Znam drogi ojcze swoich — znam ich dobrze — odpowiedział z ironią gorżką.

Służący wniósł lampę i oznajmił, że ekonom czeka na dyspozycye.

Julian podniósł się i pożegnał. Miał już wychodzić, gdy przypomniał sobie pogorzelisko w Jarkowie.

— Mój ojcze — zapytał — co to za Sokulski mieszkał w Jarkowie — tam, gdzie ten folwark spalony?

— Skąd Jarków przyszedł ci na myśl?

— Widziałem dziś z daleka pogorzelisko, przypomniałem sobie tego starego odludka — a leśny, którego spotkałem, opowiadał mi jakąś straszną historyę z piorunem, a także i o tem, że ty ojcze przed śmiercią byłeś u Sokulskiego.

— Długa to i przykra dla mnie historya. Jeżeliś ciekawy, masz tu pismo nieboszczyka Sokulskiego, które mi wręczył przed śmiercią — przeczytaj je. I o tem musimy jeszcze pomówić.

To rzekłszy, wyjął z biórka grubą kopertę i wręczył ją Julianowi.

Potem się rozeszli; — ojciec do wieczornych zajęć, syn do siebie do oficyn, gdzie nie zwlekając, rozłożył pożółkły zeszyt przed sobą i zaczął czytać z coraz to bardziej rosnącem zajęciem.

VI.

. . . .

Moja spowiedź!

Było nas dwoje sierot. Nie mieliśmy żadnych bliższych krewnych. Po rodzicach został nam niewielki mająteczek, ale wystarczający na skromne utrzymanie. Ja byłem starszy od niej o lat dziesięć. Miałem już pełnych lat 24, gdy mi przyszło samemu gospodarzyć, na tych kilkudziesięciu morgach. Pochowałem dobrą mateczkę — a ją — oddałem na wychowanie do panien Urszulanek w Krakowie. Była bardzo biedna, bardzo blada i wątła; gdy odjeżdżała płakała rzewnie. I mnie żal przejął do głębi, postanowiłem być dla niej najlepszym ojcem i najczulszą matką.

Odtąd pracowałem jak wół roboczy; odmawiałem sobie wszystkiego, byle tylko jej na niczem nie brakło. Przez całe cztery lata nie brałem jej do domu, bo i cóżby tu samo biedactwo robiło, wśród tych pustych i zimnych ścian. Dziś widzę, że źle czyniłem, bo te na pozór puste i głuche ściany domu rodzicielskiego, budzą

nawet w najtwardszem i najzimniejszem sercu jakieś dawne echa, od których taje zamroź życia i stosunków ze światem. Trzy razy do roku tylko odwiedzałem ją w klasztorze. I patrzałem wtedy na nią jak na święty obrazek; tak się rozwijała pięknie, tak rosła i ładniała. Nie mogłem do niej mówić ze wzruszenia, tylko głaskałem ją, po ślicznych, złotych splotach włosów. Wszak ona jedna, ona jedna tylko była na świecie, moja, jedyna, najdroższa, moja serdecznie ukochana. Była wesołą. Smutek prędko uleciał z jej duszy, śmiały się jej figlarne oczka, targała mię za czuprynę i wąsy i pokazując zdrowe ząbki, chrupała ciastka i słodyczy, które jej ze sobą przywoziłem.

W czwartym roku zacząłem się nie na żarty troszczyć, co ja z tym skarbem zrobię na wsi w domu, gdy mi przyjdzie zabrać ją z klasztoru. I troszcząc się coraz bardziej, ze zbytku troski, nic nie obmyśliłem. Przyszedł wreszcie ten dzień, w którym ściany naszego dworku zabrzmiały serdecznym a donośnym jej śmiechem.

Cieszyła się i fruwała po wszystkich kątach, jak jaskółka z wiosną, gdy wróci w swe rodzinne, ojczyste strony, do gniazdka, które odlatując na łasce losu zostawiła, a teraz znalazła i całe i mocne. Patrząc na nią, zapomniałem o całym świecie, zapomniałem o wszystkich troskach życia i o tem nawet, że taką słodką ptaszynę nie zostawią długo w gniazdku w spokoju, że jastrzębi, łakomych na drobne kosteczki i wątłe skrzydełka, jest dużo na świecie. Cieszyłem się, że ją mam koło siebie, że słoneczko zeszło i na mojem czarnem

dotąd niebie, że wesoła moja pieszczotka, z taką miłą chęcią objęła zarząd całego domu przy pomocy tylko jednej starej, a w spadku po rodzicach odziedziczonej służki, która była i moją i jej ongiś nianką.

Więc z czasem rozłożyła się praca tak — samo z siebie. Ona z Marychną w domu, ja z Józefem w polu. I było nam dobrze, tak dobrze, że aż nieraz bałem się czegoś tego mojego szczęścia. A tymczasem rzeczywiście chmura szła; czarna, groźna, ale niewidoczna jeszcze, ukryta gdzieś za gąszczem lasu, za drzewami naszego rozległego sadu. I miał z niej piorun uderzyć, w samo serce uderzyć i zabić je na wieki.

Posmutniała czegoś. Myślałem że chora, że przepracowana, że nudzi ją to codzienne, jednostajne zajęcie. Zapewniała mię — że nic jej nie brakuje, że jej dobrze, że szczęśliwa. Uwierzyłem, bo któżby jej był nie uwierzył?

Czas mijał, nie przynosząc żadnej zmiany. A tymczasem chmura wypełzała coraz bardziej; czarne jej macki dosięgały już białych ścian naszego dworku, a ja nie widziałem nic, zapatrzony w szarą ziemię, którą uprawiałem na chleb dla niej i dla siebie; nie widziałem nawet jej łez, które musiała skrycie przedemną wylewać, lecz zapatrzony w jej niebieskie, smutne oczęta i przybladłą nieco twarzyczkę, sypiać nie mogłem po nocach, bijąc się z myślami, jakby jej życie umilić, jaką zmianę zaprowadzić, by wróciła jej dawna wesołość i dawne życie. Myślałem, że jest znudzoną, że jej może Marychna dokucza gderaniem swojem, że może ja mało dobry i uważający dla niej, że może

jej trzeba strojów, książek, klejnotów, albo zresztą wiem już czego.

Nie przyszło mi tylko ani razu do głowy, że jej potrzeba ludzi, ruchu, powietrza, słońca, życia, że ona ma w piersiach serce, że ma krew, że to serce uderza gorącą falą młodej krwi, że to już kobieta, której nie wystarcza, choćby najczulsza miłość braterska.

Nie wiem jak to się stało, tak jak dotąd nie wiem, któremi drogami, to co przyszło się stało i kirem żałoby oblekło mój dom.

Szalona burza, ta straszna, jaką jedną tylko można w życiu przetrzymać, wstrząsnęła mną w całem jestestwie, a piorun rozdarł moje serce na zawsze. Dziwiłem się, że słońce ciągle jeszcze wschodzi, że woda płynie, że ludzie sieją, orzą, że zbierają plony, że troszczą się o chleb codzienny, o odzież, że chodzą do kościoła i modlą się, że proszą Boga o łaskę lub zmiłowanie, — gdy jej już nie było więcej.

Ach! gdyby jej rzeczywiście nie było! Gdyby zimna mogiła zakryła była jej bladą twarzyczkę, a piasek przysypał jej cudne oczy na zawsze! Byłbym może zawył z bólu, wszystką krew najserdeczniejszą wylał ze serca; ale byłbym szedł złamany i powalony tragiczną ręką losu na grób jej i stroił go kwiatami i modlił się i płakał do tej przeczystej mojej, do tego kochania, które mi Bóg zabrał.

Ale ona poszła odemnie bez łzy żalu, bez jednego głosu skargi i rzuciła czarną zasłonę na całą przeszłość swoją, rozdzierając ziemię po której stąpała w bezdenną przepaść, która na zawsze nas rozdzielała, a do której

nie zachodził ani ciepły powiew serca, ani choćby najmniejszy promień słonecznego jutra.

Na dnie tej przepaści leżałem bez zmysłów.

Gdy mię uratowano z ciężkiego zapalenia mózgu, i gdy już przyszedłem nieco do sił, podał mi Józef list z Monachium.

Przeczytałem i zawyłem; ale nowy grom nie uderzył już w moją głową. To pierwsze, to, co minęło niby, co przeżyłem już, było takie rodem z piekła, tak przechodzące siłą druzgocącą miarę pojęcia i myśli ludzkiej, że wiadomość, jako wyszła za mąż za Niemca, że jest w Monachium i że prosi o przebaczenie, zerwała tylko ostatnie nitki, jakie mogły mię jeszcze z nią łączyć. Wymazałem jej imię z pamięci, przywaliłem kamieniem grobowym całą przeszłość, kładąc na nim pieczęć milczenia. Nie było jej więcej dla mnie — nie było nic — tylko wieczne milczenie.

Sprzedałem ojcowiznę, sprzedałem nawet sprzęty, jednem słowem wszystko, coby mi ją mogło przypominać. Pochowałem nawet Marychną i przeniosłem się z Józefem, — do Jarkowa.

Tu wśród tych jarów i lasów, śród kamieni i skał, nie znając świata i ludzi, żyję już lat 60. Mam dwa psy, które mię strzegą przed złością ludzką — mam Józefa, który mię nie opuścił i mam kamień grobowy, pod którym spoczywa całe życie moje.

Przychodzi mój kres. Ta zasłona, którą rzuciła ona na światło dnia mego, wnet się rozedrze, pęknie przed progiem wieczności.

Więc zdejmuję pieczęć milczenia z mego kamienia grobowego, podnoszę drżącemi rękami ten ciężki głaz, grzebię z suchym okiem i wystygłą piersią w tych pamiątkach dawno zeschłych, pożółkłych lub startych na proch. Z tego grobu wieje zimny, odległy smutek, słychać jakiś głuchy jęk, błąkają się w nim dziwne jakieś mary, wystraszone światłem dnia, który do tych ciemnych czeluści wpuściłem na chwilę. Tyle lat, tyle lat przeszło nad tem wszystkiem co umarło, zastygło, co stanęło nieruchomie, strzaskane uderzeniem piorunu! A jednak, jednak, tam na dnie, pod tem strasznem rumowiskiem całego życia, widzę biedne, małe zródełko, takie ledwie sączące się srebrną nitką. I poznaję je, to niewygasła kropla wspomnienia, która wzbiera, podnosi się, przeciska przez wszystkie złomy i szczeliny, zalewa starcze moje piersi i wielką łzą pamięci zawisa na moich rzęsach!

Każe mi przebaczyć! Więc przebaczam ci Jadwigo, przebaczam ci złamane życie, roztargane na strzępy nadzieje — przebaczam ci dla tej wielkiej miłości mojej ku tobie, za te chwile krótkiego szczęścia, jakieś mi użyczyła — siostrzana moja duszo!

Przebaczam ci jeszcze i za to, żem już później nigdy twojego głosu niesłyszał, ani twej tęsknoty, ani twego płakania.

Nie mogę jednak umrzeć bez tej pociechy jedynej a ostatniej, żeś choć cię jak ten kwiat, brutalną siłą wyrwano i przesadzono na inny grunt, nie zatraciła jednak woni rodzinnych pól, i że wrócisz kiedyś ty sama, czy też dzieci twoje, pod słońce ziemi ojczystej".

. . . .

Julian skończył czytać i zamyślił się głęboko. Cóż to za bolesna tajemnica odsłaniała się z tych kartek, drzącą ręką spisanych, jaka pustka życia zmarnowanego szumiała zwiędłym liściem w tych wierszach nierównych tej smutnej spowiedzi?!

Więc ta Jadwiga to babka Lizy i Jana? Tak, niezawodnie, to ona, to ta, która chciała wrócić po śmierci męża do kraju, która całe życie tęskniła do brata i nie przestała być szczerą Polką aż po ostatek życia. A córka? Córka już zniemczona, zatraca w sobie pierwiastek rodzinny; wychowana w dobrobycie i niemieckich, wojskowych kołach, zapomina nawet mówić po polsku; za to w Lizie krew babki grać zaczyna, zamarła w matce nuta polska, odzywa się w niej całą siłą uczuć.

Idzie powrotna fala!

Dziwny — dziwny zbieg okoliczności, że on właśnie ten dom poznał w Monachium, że się doń zbliżył i nawiązał nieco bliższe stosunki.

Spojrzał znowu na zeszyt, i teraz dopiero zauważył, że z koperty wyziera jeszcze jakaś kartka. Wyjął ją i przeczytał:

— Moja ostatnia wola. Mająteczek mój, zwany Jarkowem, ze wszystkiem co się w nim znajduje, tak, jak jest, zapisuję siostrze swojej Jadwidze Sokulskiej, zamężnej Wenda, która w roku 1845 przeniosła się do Monachium, lub jej dzieciom, ewentualnie wnukom. Gdyby rzeczona siostra moja nie żyła i nie zostawiła żadnego potomstwa, jest wolą moją, ażeby Jarków przeszedł na własność Imci Pana Andrzeja Dębowskiego

właściciela Dębowca, któremu wolno będzie tym mająteczkiem rozporządzać wedle upodobania. Ponadto zostawiam w gotówce 25 tysięcy złotych, które w obligach kredytowych składam do rąk tegoż Imci Pana Andrzeja Dębowskiego, z prośbą o wydanie dypozytu spadkobiercom wyżej wymienionym t. j. mojej siostrze Jadwidze z Sokulskich Wendowej, lub jej potomstwu prawnemu. Gdyby spadkobierców upoważnionych do dziedziczenia Jarkowa nie było, lub nie można ich było odszukać w przeciągu pięciu lat od dnia mojej śmierci, zechce Imci Pan Andrzej Dębowski, rozporządzać oddanym mu w depozyt kapitałem wedle najlepszego swego widzenia rzeczy; przedewszystkiem zaś byłoby mojem życzeniem, by za te pieniądze założono w Jarkowie hutę cynkową. Galmanu jest tu podostatkiem, o tem jeszcze nikt prawie nie wie, znalazłem go na złomie górskim, w tem miejscu, gdzie się znajduje wysoki kopiec od granicy majdańskiej. Zdaje się, że się nie mylę, co do obfitej zawartości w nim cynku, zresztą trzeba będzie zbadać to przez ludzi fachowych.

Nie proszę o pogrzeb, wystarczy mi dół i prosty krzyż — zresztą obojętne mi to, wszak wiem, że spocznę w ziemi krwią męczeńską uświęconej i łzami niewoli zroszonej. Mam jedną tylko modlitwę; aby tej ziemi inny świt błysnął, aby nad nią słońce wyzwolin zajaśniało. Dlatego to proszę Imci pana Andrzeja Dębowskiego, niech się nie wzdryga przyjąć mego zapisu, bo jemu właściwie go nie czynię, ale tej ziemi, którą tak trudno dzisiaj w rękach polskich utrzymać.

Znam go i wierzę mu. Więc cokolwiek się stanie z tem, co zostawiam, wiem, że się stanie dobrze, bo będzie w tem ręka i serce jego.

— Prawda jakie dziwne i jakie przykre — odezwał się teraz za plecami Juliana ojciec, który już od chwili, niespostrzeżenie wszedł był. Potrzebny mi był jeszcze ten ciężar do wszystkich innych!

— Co jednak nie przeszkadza, że wszystko nadspodziewanie łatwo i bez żadnych zwłok a przeszkód rozwiązać się może. Są spadkobiercy i znam ich osobiście.

— A toś mi z nieba spadł — ucieszył się pan Dębowski, mówże jak, kto i co? Prawdziwa łaska Boża.

Więc Julian zaczął szczegółowo opowiadać, jako poznał Jana Plitza — a potem jego rodzinę, gdzie się dowiedział, że babka ich była Jądwiga Sokulska z domu, a za mężem Wendowa; że u nich bywał; że z Janem łączyła go przyjaźń, a z domem zażyłość; że we wnukach Sokulskiej jest dużo jeszcze polskości, że mają szlachetne serce i umysł niepośledni.

— Więc napiszże mój drogi synu — do tego Jana — rzekł p. Dębowski, wysłuchawszy wszystkiego z uwagą, niech się zjawi co rychlej u mnie, wylegitymuje i niech sobie zabiera ten ciężar, który mię na dobre przygniatać już zaczyna. Coś tragicznego było w życiu tego Sokulskiego, Panie świeć nad jego duszą; w tej spowiedzi jego, brzmi coś niedopowiedzianego, jakaś ukryta nuta pełna grozy. Czy wiesz, co się stało na drugi dzień po jego śmierci?

— Słyszałem, podobno piorun uderzył w domostwo.

— Gdyby tylko. Ale od pioruna powstał pożar, w którym nieboszczyk spalił się prawie na popiół. Pozbieraliśmy tylko resztki i pochowali nawet nie na cmentarzu tylko obok pod wysoką jodłą. Na cmentarz nie było co przenosić. Strach pomyśleć.

— Rozmawiałeś z nim ojcze przed śmiercią?

— Nie wiele. Nie mógł już mówić. Podał mi papiery i gotówkę z taką niemą prośbą w oczach, i z takim szlachetnym wyrazem na twarzy zoranej zmarszczkami, że nie mogłem odmówić przyjęcia.

— I co ten człowiek robił całe życie?

— Nikt nie wie. Nie siał, nie orał; żył samotnie z Józefem swoim, którego po tej strasznej katastrofie z piorunem odszukać nigdzie nie można. Dwa razy do roku wyjeżdżał do miasta. Co robił, nikt nie wie. Chłopa z furą zostawiał przed rogatką, a sam z Józefem załatwiał w mieście przez cały dzień jakieś interesa. Dwa razy także do roku przychodził do niego żyd z miasta i kupował miód, wosk, suszone grzyby i owoce.

— Że też się taki dziwak dochował jeszcze u nas do dwudziestego wieku, wzruszył ramionami Julian; i ja powiem za ojcem, że strach pomyśleć!

— Ale do Jana Plitza napiszesz?

— Naturalnie — zaraz dzisiaj!

— No — to chodźmy na kolacyą, — zakończył rozmowę ojciec, zabierając papiery. Dzień dzisiejszy dobrześmy przeżyli.

I wyszli. A na niebo wschodził wielki księżyc; wiatr szumiał stuletniemi lipami, co strzegły wjazdu na dziedziniec dworski; przynosił ze sobą dalekie echo ujadania psów wioskowych i bliższy stukut kół młyna, co czerniał wyraźnie nad strugą, błyszczącą teraz w srebrne i tęczowe łuski.

VII.

Większą część nocy spędził Julian na pisaniu listów. Janowi dokładną przesłał wiadomość o spadku jaki w Galicyi przypadł im w udziale, wyjaśnił i wytłumaczył wiele rzeczy; a nie dotykając powodów rozterki swojej duchowej, zaznaczył mimochodem, że może nie tak rychło, jak myśli, powróci do Monachium, i, że gdy nawet powróci, to już nie nadługo, bo w kraju, czeka go poważna praca, której dłużej odkładać nie można. Obiecał mu również, że zbada, jak ma się sprawa z tym galmanem w Jarkowie, tudzież, że gdyby istotnie było co na rzeczy, nieomieszka dodatkowo donieść mu o tem. Radził przytem, ażeby sprawy spadku nie lekceważył, lecz przyspieszył zebranie potrzebnych dokumentów i przyjeżdżał do Dębowca po schedę, gdzie go oczekuje z niezmiennem uczuciem przyjaźni.

Następne dwa listy poświęcone były sprawie tak szczęśliwie zapoczątkowanego przedsiębiorstwa Wandzi. W jednym prosił znajomego sobie z dawnych lat dy-

rektora Ligi przemysłowej we Lwowie, o wypowiedzenie fachowego zdania o tej gałęzi przemysłu domowego: czy ma przyszłość przed sobą, czy i w jakiej mierze może liczyć na zbyt swych wyrobów w kraju, ewentualnie; czy krajowa komisya przemysłowa nie chciałaby w tym względzie także wypowiedzieć swego zdania. W drugim liście prosił międzynarodowe biuro dla interesów drobnego przemysłu we Wiedniu o podanie warunków, pod jakimi wyroby i przetwory dębowieckie zareklamować by chciało.

Sądził, że na początek wystarczy. Był ogromnie ciekawy co mu odpowiedzą — na tak poważne zapytanie i takie postawienie kwestyi — tu, u nas w kraju i tam za granicą.

Spojrzał na zegarek. Była druga godzina. Ocknął się. I on nie nad Reinhardem Braunsen, albo Grothem, nie w krainie barw cudnych kryształów i zakamieniałych światów, lecz w kurniku, piwnicy i chłodzarni; myśli nad drogami zbytu wyrobów gospodarstwa domowego i nad tem, czy więcej się opłacą konserwy, czy buliony? Co się z nim dzieje? Co się stało od 48 godzin, od chwili gdy przekroczył próg rodzicielskiego domu i gdy owionęły go tchnienia tej czarnej dębowieckiej ziemi?

Coś nieznanego dotąd odsłoniło się w jego duszy, jakiś zdrój uczuć wytrysnął w sercu, wezbrał raptownie, wylał się na zewnątrz nieokreślonem, gwałtownem pragnieniem zatrzymania tej ziemi w rękach swoich za każdą cenę, choćby nawet przyszło jej ofiarować błyszczący w dali słonecznej wawrzyn sławy i wyrzec się słodkiej rozkoszy zdobywcy tajników wiedzy! Co za

siła spoczywa w łonie tej ziemi? Nibyto obojętna na pozór — taka szara, zwykła, codzienna; taka — rodząca sobie zboże, owoce i jarzyny, z rybnemi rzekami i szumiącymi lasami, na wiosnę zielona, w lecie dojrzała — w jesieni żółta, a w zimie biała — piastunka, matka karmicielka, towarzyszka! Człowiek patrzy na nią a nie widzi jej dobrze, żywi się jej owocami, a nie zdaje sobie sprawy z tego, że to jej ręka utrzymuje go; ma ją codzień jako towarzyszkę swoją — aż miękką dłonią przysłoni mu oczy na zawsze; i nie czuje tego prawie, że ona jedna tutaj prawdziwą mu przyjaciółką i powiernicą!

Ale niechno cudza ręka wysunie ku niej swoje zaborcze palce; niech obce oko rzuci chciwe spojrzenie na te pola i niwy; niech ciemna chmura przysłoni to słońce, co się do niej uśmiecha rankiem, a smuci wieczorem; niech chytry wróg zarzuci sieć na jej kochaną twarz; o! jakżesz inaczej ona do nas przemawia wtenczas! Jak tętni jej łono i wylewa ze siebie falę niezgłębionych uczuć, co wnikają w pierś naszą i rozsadzają wielkim żalem i wielką tęsknicą! O jakżesz inna jej twarz wówczas: jak droga, jedyna, ukochana! Jak inaczej szumią jej lasy, szemrzą strumyki, jakiem westchnieniem faluje łan żyta lub pszenicy, jak skarzą się jej mogiły, a krzyże — jak serdecznie wyciagają ramiona do uścisku!

Nie dałbyś jej wtenczas za wszystkie skarby świata; ona twojem ukochaniem najdroższem, twoją matką najmilszą — ona twojem jutrem — twojem życiem — ona — ta prawie obojętna wczoraj jeszcze — dziś pod grozą utraty pani twoja serdeczna — wszechwładna! I po-

tężnym łańcuchem przykuwa cię do siebie, i każe słuchać tych szeptów i drgnień co idą z jej łona, i każe wszystką krew wylać w swej obronie! Bo taką jest moc jej cudowna, taką siła tych niewidocznych za dnia powszedniego węzłów, którymi przykuwa, trzyma i nie puszcza od siebie!

Julian przekonywał się, jak drogim był mu ten Dębowiec — teraz dopiero, kiedy mógł go utracić, i jak kochane były te ręce, które strzegły i utrzymywały kolebkę jego i jego przodków, jak umiłowani byli ci wszyscy, co żyli i pracowali tutaj.

Pod gwałtownym naporem wezbranych uczuć, rwały się na strzępy siecie rozumowań i misterne tkaniny tych niedostępnych światów, zbudowanych na stopniach nauki; rysowały się i waliły zdobyte gmachy wiedzy; a zimny rozsądek i silna dotąd jego wola, cofały się smutne przed tą wielką powodzią, co zalewała jego serce.

Ratować, uratować Dębowiec! wlać weń świeże soki żywotne, dźwignąć tę starą ziemię, kazać nowem życiem bić sercu Dębowskich, widzieć, jak rozorane skiby tchną nową wiosną—wielką, potężną, rodzącą, jak sady mają się i kwiecą na urodzajne lato — oto głos, co rwie się z jego duszy i płynie daleko przez otwarte okno, ponad te pola i niwy, mgłą nocy osłonięte, niepewne jutrzejszego i słońca i dnia.

Mimowoli zwrócił wzrok w stronę otwartego okna. Cóż to, świt różowieje już? Wstał, podszedł bliżej i wpatrzył się w czerwone, krwawe blaski, co przez sad przedzierały się, migając złowróżbnie. Zrozumiał w jednej chwili. To pożar — i niedaleki!

Jak stał, wyskoczył lekko oknem i znaną sobie ścieżką, tą, którą rano szedł do kąpieli, dostał się wnet na koniec ogrodu. Tu ujrzał, że, wzniesiona dzień przedtem sterta owsa — gorzała na środku łanu jak ogromna pochodnia, tryskając w niebo tysiącem iskier i ścieląc po ziemi czarne smugi dymu. Było tak cicho w powietrzu, że mógł najdokładniej słyszeć szelest ognia, pożerającego słomę i trzask pękających z gorąca ziarn.

Krwawy blask padał na całą okolicę. Brzozy i olchy nad strugą, jakby przerażone tem, co widziały, drżały lekko migocąc listkami, wstęga wody różowiła się, po całej łące pełzały jakieś fale światła brudno czerwonego, to podnosząc się i zniżając, to rozpierzchając i zlewając znowu; szły tak przez dąbrowę, oświecały sągi, które wyglądały teraz, jak okrwawione zęby z ogromnej rozwartej paszczy jakiegoś wielkoluda, aż przedarłszy się dalej, gubiły się wśród chat i drzew wioski. Wszędzie spokój i cisza.

Nie namyślał się długo; wrócił, zbudził Szymka i kazał mu dzwonić na gwałt. Ocknął się folwark, wstała służba, wybiegł ojciec, rzucono się na ratunek. Niestety, nie było już co ratować! Wielka sterta się dopalala — a że stała samotna w polu, więc dogorywała, nie zagrażając rozszerzeniem pożaru.

Pomimo tego, jak zwykle, przy ogniu w nocy wybuchłym — panowało zamieszanie. Krzyczano, poszturkiwano się, nawoływano, a co najgorsza, pokazało się, że sikawka, dopiero co sprowadzona z fabryki krajowej, źle funkcyonuje — a właściwie wcale nie może funkcyonować, bo nie dają się do niej węże przytwierdzić.

Więc dano jej spokój, odstawiono napowrót na skład, a później już patrzano tylko, jak zwolna płomienie przygasały, zamieniając się w brudny i gryzący dym.

Ojciec z synem powracali przez sad do domu.

— I cóż ty na to? zapytał p. Dębowski.

— Przypadek, nieostrożność lub podpalenie, jedno z tych trzech.

— Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że to trzecie. Ciche groźby chodziły już po wsi od dni kilku. Mówiłem o tem wczoraj staroście. Zapewniał mię, że mogę spać spokojnie, że tu żandarmerya czuwa. Masz czujność i opiekę. Z dymem nas puszczą.

— Cóż im z tego przyjdzie?

— Myślą, że może wykurzą za San, że mię zrujnują do reszty. Powodem może być także zemsta za aresztowania i toczący się proces z powodu gwałtów dokonanych podczas strejku rolnego. Jedna tu ręka zbrodnicza działa od początku — a ręką tą kieruje ślepa nienawiść!

Smutek, wielki smutek zalewa serce na widok tej przepaści, rozkopywanej między dworem a chatą! — Bronić się trzeba i to skutecznie. Ponieśliśmy dotkliwą stratę. Tej sterty nie miałem jeszcze czasu ubezpieczyć.

Julian słuchał i tężał jak stal.

— No — sądzę — rzekł z przyciskiem, że dłużej tak rzeczy nie można zostawiać, że trzeba pomyśleć o samoobronie, jeżeli władze nie mają dość silnej ręki i czujnego oka. Trzeba się zorganizować i zabezpieczyć na wszystkie ewentualności.

Ani jednej grudki ziemi, ani jednego zdźbla słomy nie damy. Na wzburzoną falę, która nas chce zmieść,

musimy znaleźć falę odporną w nas samych. Rośliśmy tu wieki i wrośli w tę ziemię zanadto głęboko, by hasła przewrotu i robota tajemnych wrogów zachwiać nami mogła. Są prawa, które muszą być uszanowane; sądzę, mój ojcze — że Dębowiec oprze się zakusom wrogiej ręki i odeprze falę, która chce go zalać!

Ojciec uścisnął gorąco rękę syna.

— Możesz być pewny, że uczynię wszystko, co tylko jest w mocy ludzkiej, ażeby kres położyć podobnym niespodziankom jak dzisiejsza. Słuchając cię, wiara we mnie wstępuje napowrót, że może wysiłek życia nie pójdzie na marne i uda nam się Dębowiec zachować dla Dębowskich.

Trzeba jednak roztropnie poczynać, wedle obmyślonego planu i z żelazną konsekwencyą; bo przyszedłem do przekonania, że dotychczas szliśmy po omacku, szukając dopiero dróg, i dlatego wszędzie spotkaliśmy niespodzianki. Lekceważyliśmy ruch ludowy, patrzaliśmy przez palce na rozpaloną pochodnię antagonizmu narodowościowego i religijnego, staliśmy bierni w obec prądów socyalistycznych, które wszelkiemi szczelinami do chat się wciskały, uśmiechaliśmy się pogardliwie na wszystkie zatrute pociski i zakusy na sferę naszego posiadania i naszych wpływów; czasem dobrodusznie kokietowaliśmy przeciwnika, aż doszliśmy wreszcie do punktu, z którego wcale się nieprzyjemny widok roztacza. I powiem ci otwarcie, że z dzisiejszego stanowiska walka nierównie będzie cięższą; stracimy wiele ze znaczenia, z wpływów, sfera naszego posiadania znacznie się uszczupli, ale — jeżeli uratujemy ziemię, jeżeli tej

ziemi nie strwonimy, lecz przeciwnie przysporzymy jej polskim rękom, jeżeli z konserwatyzmu naszego dobrowolnie poświęcimy znaczną część na rzecz zdrowego postępu i rozszerzonych praw ludu, — to sądzę, że musi nastąpić jakieś wyrównanie stosunków, a wówczas już od nas samych zależeć będzie, czy będziemy na górze, czy na dole.

— Na górze — ojcze — przerwał Julian z zapałem, Dębowscy mogą być tylko na górze; z takiemi zasadami, nie schodzi się z widowni życia. Obok nas znajdą się, powinni się znaleść wszyscy.

— Powinni — ale czy znajdą! Czy myślisz, że ja im tego, co rzekłem przed chwilą, nie powiedziałem przed czterma laty jeszcze na naszem poufnem zebraniu; że nie przedstawiałem na dalszą metę obliczonej przyszłości?? Pierwszy raz, że prawie nie chcieli mię słuchać, wprost gorszyli się niektórzy moją mową, a w końcu zakrzyczeli: że nie ustąpią, że dobrowolnie nie oddadzą nic z tego, co posiadają i nie podzielą się z nikim prawami swojemi!

Żądali wzmocnionej ochrony, ustanowienia jakichś praw nadzwyczajnych, szczególniejszej opieki władz sądowych i politycznych; traktowali sprawę jako chwilowe niebezpieczeństwo, które usunąć można bagnetem żandarma lub karabinem żołnierza, chcieli mieć zapewnione dzisiaj, nie troszcząc się o to jutro, które przyjść musiało. I przyszło. A przyszło falą tak nagłą, tak groźną i niespodziewaną—a ta fala wypłynęła z takich dotąd zawsze cichych wód, że władze straciły jasny sąd o rzeczy, że zakotłowało w kraju jakby kipiątkiem, że

na powierzchnię wypłynęły najgorsze instynkta i wszystkie szumowiny społeczne; że staroście zdawało się jakoby spadł ze stołka, że sędzia stanął bezradny, a żandarm stał się wprost nieobliczalny.

Najgorsze jednak tkwi w tem, że chwila ta, zastała nas nieprzygotowanych, choć o różnych ewentualnościach ciągle dyskutowaliśmy, choć nasypaliśmy projektów bez liku i miary, i niby ciągle do walki przygotowywali.

Dziś stoimy bezradni, ustępujemy krok za krokiem, a nie rzadko spotkasz się ze zdaniem: „nie wytrzymam, to sprzedam ziemię. Kupca zawsze znajdę — a z pieniądzmi dam sobie na świecie radę".

Przeszli przez furtkę ogrodową i zbliżali się do werandy. Blady świt kładł się szaremi smugami na wilgotne dachy; łamał się w ostrych kantach na ścianach budynków gospodarczych, pełzał po mokrych listkach dzikiego wina, otrząsając z nich z szelestem krople rosy na kamienne stopnie, prowadzące na ganek.

— Ach! to chyba odosobniony wypadek — usiłował usprawiedliwiać Julian - choć gorycz czuć było w jego głosie.

— Niechże ręka Boża broni, potwierdził ojciec, by kiedykolwiek sąd taki padł na ogół ziemian; do tego nigdy nie przyjdzie, —ale te jednostki, które nie mają odwagi stawić czoła niebezpieczeństwu i stanąć do walki, nie dodają chyba blasku klejnotowi naszemu szlacheckiemu.

— Zwłaszcza, że szlachta prawdziwa, dokończył Julian, która stanowiła w dziejach czoło pochodu cywi-

lizacyjnego, powinna była zrozumieć, że równouprawniony przemysłowiec i światły lud zapragną jej wydrzeć kiedyś przywileje, które zdobyła krwią i mieniem; że zechcą ją zepchnąć ze stanowiska uprzywilejowanego, jakie zajęła we wszystkich sprawach krajowych. Więc przywidując przyszłość, powinna była należycie przygotować się do walki z tym nowym elementem, który od stu lat z górą coraz szersze kręgi zatacza; powinna nie dozwolić się zepchnąć z zajmywanego stanowiska, lecz mądrze i w czas usunąć się nieco i zrobić miejsce koło siebie tym uświadomionym, jeżeli nie miało być frazesem pustym zdanie od wieku głoszone:

Z polską szlachtą polski lud!

— Przyznaję ci zupełną słuszność, lecz przyznasz i ty, że władzą nikt się dotąd chętnie nie dzielił.

— Otóż właśnie padło słowo, podchwycił Julian, które kulą ciężką toczy się u nóg naszych zakutych w kajdany niewoli. My nigdy nie szliśmy szczerze i otwarcie z duchem czasu, z postępem, za ideą prawdziwej wolności i równouprawnienia; głosiliśmy zawsze szczytne hasła, lecz staliśmy w miejscu, chyba nas od czasu do czasu gwałtem wyciągnięto z błota naszej szlacheckiej grobli na szerszy gościniec postępu.

I wówczas właśnie krzyczeliśmy najgłośniej „gwałtu“ „ratunku“ i oglądaliśmy się za kochanem naszem konserwatywnem błotkiem na grobli.

— Koloryzujesz — krzywdzisz sam siebie, tak źle nigdy nie było, szlachta polska nigdy nie była tak zacofaną, bronił ojciec.

— Ale nigdy nie była przewidującą, nigdy nie umiała obliczać korzyści dalej jak na tydzień, lub miesiąc; dla chwilowego sukcesu zaprzepaszczała nieraz największe zwycięstwa, możliwe dopiero w dalszej przyszłości.

Ot i teraz, słyszała dobrze, boć przecie głuchą nie jest, że socyalizm puka we wszystkie wiązadła naszej budowy, że ruch ten żywiołowo idący od zachodu, dziś czy jutro rozerwie tamę i zaleje kraj wszerz i wzdłuż; więc zamiast przeciwstawić jego śliskim mackom, potężną pięść zdrowej oświaty, zamiast przygotować grunt należycie na przyjęcie tej fali nieuniknionej, tak, jak to się stało w Ameryce; my straszyliśmy siebie socyalną kwestyą, jak dzieci wilkołakiem, broniliśmy temu gościowi to starostą, to żandarmem na wszelki możliwy sposób przystępu, aż wsparty, po macoszemu traktowaną sprawą oświaty, antagonizmem narodowościowym i religijnym, porwał masy — a nas odepchnął, stawiając naprzeciw siebie dwa groźne, znienawidzone obozy. W Ameryce mój ojcze — socyalizm nie jest wrogiem ziemi i kapitału, lecz ma je w poszanowaniu, bo wie, że wywalczyć może u nich dla siebie możliwie najlepszą egzystencyą! A u nas? U nas jest socyalizm nieprzyjacielem wszelkiego dobrobytu, wszelkiej powagi i wszystkich praw.

— Więc trzeba mu chyba było na oścież drzwi otworzyć? obruszył się ojciec.

— Przeciw ospie, zaszczepia się jad ospy -- zaznaczył z przyciskiem syn, organizm przeboleje i będzie zdrów. Trzeba było dawno rozsądną ręką wybrać co

najlepszego z idei socyalistycznej i zaszczepić w organizm narodowy; przebolałoby się, przepłakało trochę, ale społeczeństwo byłoby zdrowe i odporne na zarazę epidemiczną, która zatrutym oddechem tchnie w jego serce i duszę. A to serce — ta dusza chore dzisiaj — i niestety — przepadło już — my ich lekarzami nie będziemy. Jedna z najważniejszych chwil w dziejach nowoczesnych rozegra się bez naszego współdziałania, a właśnie dlatego, żeśmy się z ludem dobrowolnie władzą podzielić nie chcieli.

— Więc trudno — rzekł ojciec, wstępując na kamienne stopnie, — będziemy widzami, będziemy zresztą jakiś czas społeczeństwem w społeczeństwie, zaczekamy cierpliwie, aż się stosunki wyrównają; ziemia ma przecież odwieczne prawa, nad któremi żadna idea, żadna władza do porządku dziennego przejść nie mogą.

— Ale mogą prawa wielkiego obszaru ziemi podporządkować innym prawom; wielka jednostka, może być pochłonięta przez tysiąc małych jednostek.

— Nie zawsze...

— Zapewne. Rozum, takt, zręczność, cierpliwość, uczciwość w postępywaniu, a przedewszystkiem prawdziwa miłość ziemi ojczystej wybiją nas znów na czoło pochodu, tylko . . .

— Tylko co? — przerwał ojciec, wszak dotychczas tak postępywali Dębowscy, a mają za to strejki i podpalania?

— Tylko wśród ludu — dokończył Julian, muszą się znaleść dzielni i rozumni ludzie, którzyby zrozumieli i umieli natchnąć swoich żywą wiarą, że:

Tylko z szlachtą polski lud
Wymarzony stworzy cud!

— Ale skąd wziąć tych ludzi — skąd? — obracając się nagle ku blaskom, płynącym z nieba, i patrząc bystro synowi w oczy — zapytał p. Dębowski.

— My ich stworzyć musimy, my, odrodzona — odmłodzona szlachta dwudziestego wieku, o sercu Kościuszkowskiem, rozmodlona w chwale Jagielonów, zakuta w pancerz grunwaldzki — powiedział zwolna a dobitnie syn, odwzajemniając się gorącem spojrzeniem w szlachetną twarz ojca.

Chwilę patrzali na siebie, potem w silnym uścisku spletli dłonie i rozeszli się.

Zrozumieli się. Między synem a ojcem zawarte zostało ciche przymierze.

Z pomiędzy liści dzikiego wina wyleciała teraz chyża jaskółka i z wesołym szczebiotem frunęła w świat ku wstającemu dniu, jakby łowiąc echo przebrzmiałych dopieroco słów, a na kamienną posadzkę, w miejsce, gdzie przed chwilą stali ojciec i syn, posypał się brylantowy deszcz rosy.

. . . .

W kilka godzin później prowadził żandarm skutego wyrostka do sądu. Miał to być domniemany podpalacz. Szymek przypatrzył mu się bliżej i poznał w nim młodego Porębalskiego, o którym wspominał Julianowi, że chodzi po żebrach, bo ojciec jego przepiwszy cały majątek, za jakąś krwawą awanturę dostał się do więzienia. Później rozpoczęło się śledztwo, zamknięto jeszcze

kilka osób, natrafiono bowiem na ślad zorganizowanej szajki podpalaczy, która rozniecając to tu, to tam pożary zbrodniczą ręką, zaczynała być postrachem całej okolicy. Szajka ta działała pod pewnym kierunkiem i wedle obmyślanego z góry planu; najlepszym zaś tego dowodem było to, że ogień powstawał zawsze tylko na tych obszarach dworskich, które objęte były strejkiem, i gdzie strejk ten doprowadził był do awantur.

Z końcem sierpnia uspokoiło się jednak wszystko. Procesa o gwałty pokończyły się, a łagodny wymiar kary podziałał kojąco na ranę, zadaną zbrodniczą ręką. Lud zaczynał nabierać powoli przekonania, że chyba nie wiele w tem prawdy było, co mu prawili gołowąse surdutowcy z miasta i jacyś przyjaciele, nasłani Bóg wie skąd, z czerwonemi krawatkami i wykrzywionymi obcasami u butów. Pan orał dalej ziemię i siał ziarno, geometrzy nie przyjeżdżali, ażeby mierzyć lasy, pastwiska i dzielić je między lud, szkodników w polu i lesie karano tak jak i przedtem, o powszechnem prawie wyborczem przestano mówić, bo Radę państwa odroczono aż do jesieni. A choć zaszczepiona i rozdmuchana w pożar nienawiść narodowościowa i religijna nie tylko nie przygasała, lecz przy lada sposobności sypała płomiennemi iskrami; to jednak ten i ów, nawet najzagorzalszy wiecowicz, co pół Galicyi schodził od wsi do wsi i radził przez dwa miesiące nad sposobem odebrania ziemi panom, rozkoszując się mowami apostołów wywrotu, splunął wreszcie raz i drugi w garść, popatrzył kilkakrotnie na słońce, a obaczywszy, że coraz bardziej zniża swój łuk, co jest niechybną oznaką, że zima i w tym

roku, pomimo projektowanej reformy wyborczej, nadejdzie; chwytał za sierp, kosę lub siekierę, i imał się pracy, by bodaj jako tako przygotować się na przyjście tego gościa, o którem wiedziano, że tak samo nie żartuje — jak i egzekutor podatkowy. Wprawdzie gadali tam coś o odpisaniu podatków, ale że woźni, tak jak i dawniej, papiery z orzełkiem roznosili po chatach, więc jakoś więcej zaczęli wierzyć tym kartom upominającym i temu, że płacić będzie potrzeba, niż szumnym i gołosłownym obietnicom ludzi, którzy nie mogli się nawet wykazać żadną pieczątką urzędową.

Łatwiej więc zaczęło być o robotnika, a choć robotnik ten chmurny był i patrzał na pana z pod oka, z którego strzelała źle tajona nienawiści, to jednak jesienne pracy w Dębowcu szły raźniej i otucha jakaś wstępywała w serca, a nadzieja zaczynała wlewać się do duszy, że może nadejdzie chwila opamiętania. Pan Dębowski, załatwiwszy się z towarzystwem kredytowem nadspodziewanie prędko i pomyślnie, mógł jeszcze spłacić niektóre długi krótkoterminowe, a następnie pozbywszy się tego, gniotącego jak zmora ciężaru, zabierał się do wielkiej pracy nad odrodzeniem i odmłodzeniem Dębowca. Przedewszystkiem postanowił uprościć zarząd majątkiem i zakontraktować od jesieni tylko pewną, wypróbowaną i doborową służbę, któraby nie dała się wziąść w przyszłości na lep pięknych słówek, lub przestraszyć terrorem. Nie szło to jednak tak łatwo; pomimo najskrzętniejszych poszukiwań osobistych i starań przez najlepiej renomowane biura i ajencye, wybór był nadzwyczaj trudny. Zgłoszeń było bardzo wiele, ale

już pierwszy rzut oka na podaż podaną upewniał, że to jest ptactwo niebieskie, które ciągnie pod zimę do ciepłych oficyn folwarku, by następnie za lada pierwszym podmuchem wiosny, wyfrunąć znowu na szerokie pole agitacyj wszelkiego rodzaju i niezadowolenia społecznego z powodu braku pracy, lub źle wynagradzanej krwawicy. Dębowscy wiedzieli, że w tym kierunku niejeden spotka ich zawód, bo służba folwarczna wszędzie jest popsutą, bo wymagania są niemożliwe, a jakość i ilość pracy bardzo problematycznej wartości; ale to, co zobaczyli i usłyszeli, przechodziło najśmielsze przypuszczenia, a zarazem wskazywało, z jaką siłą działał ferment społeczny. Każdy chciał dużo jeść, pić i spać, dwie trzecie doby odpoczywać, brać porządną zapłatę, a w zamian dawać jaknajmniejszą ilość pracy, i to jeszcze z najrozmaitszemi zastrzeżeniami. Wyglądało to prawie tak: dasz mi pan pomieszkanie, wikt, odzież, płacę dobrą, dasz mi dużo wolnego czasu dla siebie, będziesz dbał o moje przyjemności i zdrowie, a ja w zamian, jeżeli mi się podobasz i jeżeli mi się zechce, pilnować będę twego dobra.

A jakie to wszystko było harde, jak głowę do góry zadzierało, jak czapki na bakier nosiło a papierosy smaliło — puszczając dym prawie pod nos?! A jak to potem jeden i drugi, nieprzyjęty i grzecznie odprawiony, rezonował w karczmie przy kieliszku, jakie wykłady pouczające trzymał przed gośćmi Szmula i przypowiadał czas, w którym oni (służba) będą panowali, a panowie czekać będą ich rozkazów?

Z tego powodu było nawet kilka zajść, które się

raz skończyły aż w areszcie gminnym, gdzie krewkiego nadto kandydata na fornala, trzeba było przenocować.

Biadał więc ojciec, niecierpliwił się syn; — dotychczas przyjęli tylko kilku fornali i gumiennego, a tego ostatniego dlatego, że był inny, niż wszyscy.

Stanął raz rano przed p. Dębowskim na ganku człowiek w sile wieku, skromnie bardzo odziany, blady i znękany i pokłonił się grzecznie, ale nie uniżenie i rzekł:

— Panie, szukam pracy?

— Jakiego rodzaju? spytał p. Dębowski patrząc nań bystro.

— Nic nie umiem, ale wszystkiego mogę się nauczyć — odpowiedział szczerze, wytrzymując spojrzenie.

— Jak się pan nazywasz, i czem się trudniłeś dotąd?

— Nazywam się Józef Rogowski, byłem dwadzieścia lat konduktorem pocztowym, zginął worek z pieniężnymi listami, straciłem służbę, rzekł cicho i jakby z wysiłkiem.

P. Dębowski zamyślił się.

— Masz pan jakie listy polecające?

Spojrzał nań zamglonym wzrokiem i zaprzeczył smutnie.

— Poszlakowanemu o kradzież — nie dają listów polecających.

— A... a... wykrztusił p. Dębowski a potem przypomniał sobie, że coś czytał o procesie Rogowskiego.

Przejrzał się jeszcze raz uważnie postaci przyby-

łego; bladość twarzy i zmęczenie, czy ból, błąkający się koło ust, tknęły struną litości w sercu jego.

— Masz pan żonę, dzieci? zapytał.

— Sam jestem. Mam syna, który kończy szkoły, i ten właśnie wchodzi w rachunek mego życia i muszę mu pomóc; dla niego pragnę pracować.

Zachwiał się przy tych słowach.

— Chory jest, albo osłabiony; pomyślał p. Dębowski, — a głośno dodał: — idź pan do oficyn — dadzą panu posiłek. Popołudniu zawiadomię pana o mojem postanowieniu.

Poszedł Rogowski chwiejnym krokiem i został już. Przyjęto go na dozorcę gumien; — dano mu pracę dla jego szczerości i otwartości.

W następnym dopiero tygodniu uregulowano pracę, stosunek służbowy i obowiązki fornali. Zakontraktowano ich piętnastu. Każdy fornal, oprócz stosownie podwyższonej płacy, otrzymywał nadto — gdy był żonaty i dodatek w naturaliach, a równocześnie na każdego nazwisko złożył dwór w dniu podpisaniu umowy kwotę 300 K na książeczkę kasy Reiffaisena pod następującemi zastrzeżeniami: Po pięciu latach służby, w razie niezawinionej niezdolności do pracy, otrzymywał obdarowany, lub w razie śmierci jego rodzina, ową kwotę z procentami. Prawo do tych pieniędzy tracił jednak bezwarunkowo, jeżeli opuścił służbę, lub został wydalony za naganne zachowanie się.

Po trzydziestu latach spędzonej służby na folwarku dębowieckim cała ta kwota wraz z narosłymi odsetkami stawała się wyłączną jego własnością; każdy

mógł ją podjąć i dowolnie nią rozporządzać. Obliczono, że wartość książeczki wynosić będzie wówczas pełnych 1000 K.

Przez podobne unormowanie stosunków i zabezpieczenie służby na starość, spodziewano się usunąć w przyszłości wszelką przyczynę do interwencyi socyalistycznej. Wychodzono ze słusznej zasady, że sprawę należy polubownie załatwić, że trzeba poczynić ustępstwa z dobrej woli, usunąć wiele słusznych powodów rozgoryczenia i zamarkować szczerze troskę, nie tylko o lepszy byt służby, ale zarazem o słuszne zaopatrzenie na starość.

Julian pewny był, że w ślad za tem, z upływem czasu—inne ułożą się stosunki między dworem a służbą, że zasada sprawiedliwości społecznej, wprowadzona na obszarze dworskim z własnej inicyatywy dworu, a nie pod groźbą i przymusem, zabliźni niedawno zadane rany, i będzie ziarnem rozrodczem na nowej glebie, z którego powinno urosnąć drzewo spokoju i ufności wzajemnej.

Wśród tej gorączkowej pracy zapomniał, że projektowane dwa tygodnie czasu na pobyt w Dębowcu, dawno już minęły.

Szymek z początku dziwił się, że nie odjeżdżają, potem zaczął się lękać — że wyjazd nastąpi tak nagle jak przyjazd, w końcu jednak widząc, czem pan doktor zajęty, promieniał z dnia na dzień coraz większą radością. Zaczął przypuszczać do serca najśmielsze nadzieje. O! te nadzieje jego złote a nieuchwytne, te sny

cudowne, co oplatały duszę jego siecią tęczową, co jaśniały przedziwnym blaskiem jakiegoś wielkiego i tak rażącego słońca, że aż się nań patrzeć lękał; za którego blaskami jednak widział siebie w siermiędze na zagonie, za pługiem, zaprzężonym w dwa srokate wołki, jak pochylony, kraje czarną ziemię na skiby, takie pulchne i świeże, że aż zapach, idący z nich, udurza go. Hej! a tam z boku nowa chata, czysta, biała, przestronna, śmieje się wesoło dużemi szybami, o które uderzają gałęzie grusz i jabłoni. Na obejściu i stodółka i stajnia i chlewek, para koników rży przy żłobie, krówki wracają do domu z pastwiska. Poczciwa matka krząta się na podwórku, zdrowa, wesoła, odmłodzona. On wraca z pola. Potem uznojone czoło obciera rękawem koszuli, siada na przyzbie, patrzy na złote blaski, płynące z czystego zachodu nieba i wróży na jutro pogodę. Wiatr chłodzi jego czoło; matka stawia przed nim garnek zsiadłego mleka i kromkę chleba i mówi, patrząc mu z miłością w oczy:

— Naści synku, posil się mój chłopcze!

— Ej! gdyby to, gdyby, budząc się z zadumy, szepce do siebie ze łzami w oczach, gdyby takiego szczęścia zaznać choć raz w życiu — i nie widzieć już więcej tych wielkich miast, i mrowia ludzkiego, i krajów dalekich, i mórz głębokich.

Gdyby można tak paść twarzą do tej rodzonej, świętej matki ziemi i pić z niej i wchłaniać do duszy ciągle a ciągle słodycz jej żywota, tu, blisko koło nich, koło mego zbawcy!

Tak roił, i takim nadziejom dawał przystęp do serca, spoglądając na swego pana, coraz bardziej zajętego interesami gospodarczymi Dębowca.

Nie wiedział, jak bliskim był przemiany snów swoich na jawę, jak niebawem miały one przystroić się w ponętną sercu jego szatę rzeczywistości.

VIII.

Otrzymawszy list Juliana — cichy, poważny i zamknięty w sobie Jan, przeczytał go dwa razy, potem złożył starannie, schował do bocznej kieszeni surduta, przetarł następnie okulary tak starannie, jakby nigdy nic lepszego nie miał do roboty i zapalił krótką fajeczkę. Twarz jego pozostała nieruchoma, nikt byłby na niej nie odczytał wrażenia, jakie list sprawił, tylko te dwie bruzdy zwykłe, codzienne między oczyma pogłębiły się i jasne oko pociemniało nieco.

Kto jednak znał bliżej Jana, byłby zauważył po sposobie nałożenia, zaćmienia i palenia fajki, że w spokojną tę duszę wniknęło jakieś nieproszone, niespodziewane uczucie, że się w niej coś targnęło, zaburzyło i rozpłynęło nierytmicznemi falami, jakby na wodzie jeziora, w którego spokojną toń wpadło ruchome jakieś ciało. Dym tytuniowy w wielkich kłębach wzbijał się w powietrze — unosił aż pod sufit jego laboratoryum, a potem opadał, ciągnąc się długiemi smugami tuż nad podłogą. On się nie ruszał z krzesła, spokojny, zapa-

trzony w wielką wagę aptekarską, zdawał się liczyć granaty, rozsypane na jej talerzu.

— Tacy oni wszyscy, myślał — nieuchwytni, nieobliczalni. Zdaje ci się, żeś zbadał do głębi ich duszę, że patrzysz w nią, jak w otwartą księgę, że nie masz tam żadnych tajników, bo się prawie sama otwiera przed tobą i okazuje swe skarby, i zaprasza cię do siebie, i mówi: bierz, czerpaj pełną garścią, podzielę z tobą wszystko, pójdę z tobą wszędzie, gdzie mię tylko zaprowadzi twoja ręka i twój rozum krytyczny!

I bratamy się, łączymy, idziemy razem w daleką krainę wiedzy i prawdy, zataczamy koła o coraz szerszych, jaśniejszych promieniach, wspinamy się coraz mozolniej na wielką wyżynę nauki, zdobywamy coraz ważniejsze posterunki — aż tu raptem pokazuje się, że na dnie tej duszy i tego serca, jest sobie taka maleńka jakaś kryjówka, prawie niewidzialna, która raptownie otwiera się i bucha taką gorącą ulewą, że zrywa przed sobą i za sobą wszystkie drogi, słowem sprawia istny potop — nad którego wzburzonemi falami błyszczy rażącem światłem jedno tylko: ich wielkie słońce miłości ziemi ojczystej.

Zdawało ci się, że masz towarzysza rozumnego, przyjaciela wypróbowanego, że kroczysz z dzielnym pionierem, że idziecie drogą zimnego rozsądku; a tu tymczasem ten rozumny towarzysz wyrzuca koziołka w powietrze, z wypróbowanego przyjaciela zostaje tylko zawiedziona próba, zimny pionier przeobraża się w gorącego patryotę, a cały rozsądek rozpływa się w szumie drzew zielonych, nad omszałą strzechą domku rodzinnego.

Zaśmiał się cicho — ironicznie. Odłożył fajkę, a potem ciągnął dalej rozpoczęte pasmo myśli.

— Stracony, bezwzględnie stracony, choć misternie argumentuje i nie odsłania całego stanu duszy i serca. Szkoda go! — szkoda, że się nasze drogi rozchodzą! A może, może to nie tak źle, jak myślę. Może tacy ludzie jak on właśnie potrzebni tam teraz!? Trzebaby być na miejscu i zbliska spojrzeć na wszystko. Albo znowu ta sukcesya, która spada na nas, a o której nigdy nie słyszeliśmy, ani jej się spodziewaliśmy? Dziwnie tam wszystko nieobliczalne; nawet ten wujaszek, czy dziadek, który sobie o nas dopiero w trzeciem pokoleniu przypomniał. Jak mi się zdaje — będzie to brat naszej babki, zresztą znajdę rozwiązanie zagadki z pewnością w naszych papierach familijnych.

Tu znowu cicho zaśmiał się.

— Każe mi szukać i zbierać dokumenty. Dobrze wyszedłbym z tem czekaniem, łowiłbym dzisiaj wiatr w polu. On nie wie, że u nas w dokumentach rodzinnych musi być zawsze jak największy porządek. Po ślubie, bierze się zaraz metrykę ślubu — po każdej śmierci, urodzinach — natychmiast kompletuje się zbiór papierów. I tak idzie z ojca na syna, z pokolenia w pokolenie i po mieczu i po kądzieli. My jesteśmy narodem systematycznym, przewidującym, obliczającym wszystkie możliwe ewentualności. My długo rachujemy, długo składamy nawet drobiazgi w największym porządku — ażeby módz potem w danym razie w jednej chwili zdecydować się i działać na pewne.

Dwunasta uderzyła. Wstał, wziął kapelusz i laskę, i, nie spiesząc się, codziennym, miarowym krokiem poszedł do domu.

Gdy się znalazł u siebie, otworzył wielką szufladę biurka, wyjął gruby plik pożółkłych już papierów, rozwiązał taśmę i zwolna rozłożył. Na samym wierzchu była metryka śmierci ojca. Popatrzył na nią, pokiwał głową i policzył.

— Czternaście lat już minęło — powiedział półgłosem.

Położył ją z uszanowaniem i spojrzał znowu na następny dokument.

— Metryka Lizy, mówił—odsuwając na bok arkusz za arkuszem — tu moja — tu zaślubin rodziców, metryka matki, ojca, świadectwo śmierci babki, akt zejścia dziadka, metryka zaślubin babki — aha — jest. A więc czytajmy.

Pokazało się, że babka ślub brała w Brzesku, że ojciec jej nazywał się Konstanty Sokulski, matka zaś Anna Gadomska, że byli właścicielami posiadłości ziemskiej, która nazywała się Cygi.

Jan zaczął dalej szukać, przerzucił papiery aż do końca i schmurzył się; metryki babki nie było. Przybywała trudność. Uspokoił się jednak wnet, gdyż zdawało mu się, że słusznie wnioskował w następujący sposób.

— Jeżeli rodzice babki byli właścicielami posiadłości ziemskiej, to pewnie tam porodzili się, pomarli i tam przedtem chrzcili dzieci.

Więc wyszukać, do której parafii należą Cygi, i z tego urzędu wydobyć dodatkowo metryki babki i brata jej, po którym spadek dziedziczą.

Odsunął potrzebne dokumenta na bok — resztę zaś starannie znowu złożył, zawiązał taśmą i schował do biurka.

W tej chwili poproszono go do objadu.

— Mam list od Juliana — rzekł spokojnie, zjadłszy zupę i odkładając łyżkę.

— Wan kommt er? co napisał? zapytała matka.

— Wcale nie myśli o powrocie i prawdopodobnie zostanie już w kraju.

Widelec Lizy stuknął głośno o talerz. Jan spojrzał z pod okularów długo i badawczo w stronę siostry. Miała oczy spuszczone nisko, z długich rzęs jej padały cienie na twarz. Cienie te drżały, lecz twarz była spokojna, nieruchoma prawie i zimna.

Zanadto zimna. Jakby przeszedł po niej raptem powiew mroźnego powietrza.

W kątach ust błąkały się jeszcze a w oczach łamały dawno już zgasłe blaski słoneczne.

— Jakto? zdziwiła się matka. Liza, czy ty słyszysz?

Podniosła zwolna powieki, spojrzała na matkę trochę zdziwiona i odpowiedziała zapytaniem:

— A cóż to mię tak bardzo obchodzić może?

Te cienie jednak, które z rzęs spłynęły były przed chwilą na twarz jej, nie zniknęły, lecz zsunęły się teraz jeszcze niżej po białej szyi na piękny biust i, z lekko przyspieszonym jego ruchem, zniknęły w ledwie dosłyszalnem westchnieniu.

Jan zagłębił mocniej nóż w soczysty kawałek polędwicy i ciągnął dalej dobitnie.

— Myślałem, przyznaję się do tego, że on trochę inny, niż wszyscy Polacy; pomyliłem się jednak. Niema wyjątków między nimi, wszyscy są nieobliczalni. A szkoda, bo to dobry materyał na ludzi. Ale mniejsza o to. Ważniejsze, że w tym ich kraju, w Galicyi, zrobiliśmy podobno spadek.

— Wir? My? zapytały równocześnie matka i siostra.

— Tak, my — a właściwie ty matko, po jakimś Sokulskim.

— Przepraszam cię Janie — przerwała Liza spokojnie — ale z lekkim rumieńcem na twarzy, twoja babka była także Sokulską.

— Więc właśnie dlatego dziedziczymy.

— Więc właśnie dlatego nie nazywaj go „jakimś“ Sokulskim, dokończyła.

Zamienili ze sobą spojrzenia. W tych spojrzeniach zarysowały się zdaleka dwa przeciwne światy.

— Powiedziałem — „zrobiliśmy podobno spadek“, a na podstawie rachunku prawdopodobieństwa, nie mogę przyjmywać nikogo do rodziny. Tak długo będzie ten „ktoś“ dla mnie „jakimś“ — jak długo nie będę miał czarne na białem, że to brat pani Jadwigi Sokulskiej a syn pana Konstantego i Anny z Gadomskich.

— Babka nasza miała tylko jednego brata, a nazywał się tak samo Konstanty, jak i ojciec jego — objaśniła siostra, na której twarz występywały coraz silniejsze rumieńce.

— *Ja — ja! so — so!* brat matki był Konstantin. Moja mama *und ihre Grossmutter hat sehr oft geweint.*

— Gdy tylko kiedy wspomiała o bracie, — wtrąciła Liza. Pamiętam dobrze, opowiadała mi nieraz o nim, że miał to być straszny człowiek, który jednak bardzo babcię kochał.

— I to jeszcze niczego nie dowodzi — przerwał zimno Jan, że brat babki nazywał się Konstanty, tak, jak nie daje tytułu do pokrewieństwa, że Sokulski, który umarł teraz w Galicyi, nazywał się także Konstanty.

— Jeżeli się nazywał Konstanty, dowodziła przekonywująco Liza, to jest bezwarunkowo naszym dziadkiem; babka miała tylko jednego brata i Sokulskich niema więcej.

— Kto ci to powiedział? zwracając się do niej żywo, zapytał obcesowo Jan.

— Kto? powiedzieć ci — dobrze! A więc słuchaj Janie — serce moje mi mówi, że Konstanty Sokulski, to ten brat, opłakiwany przez naszą babkę.

Pierś jej podniosła się wezbranem nagle uczuciem, z pięknej, szlachetnej twarzy biła jasność i szczerość.

Jan spochmurniał i odważył się rzucić.

— Może to serce twoje niepotrzebnie tak głośno i tak szczerze mówi. A jeżeli się mylisz?

— Mogę się mylić, może nie zrobiliśmy żadnego spadku, nie mniej jednak droga osoba babki, będzie i dla mnie drogą — odcięła się.

— *Also?* co będzie? przerwała zatarg matka.

Jan sapnął, złożył serwetę, poprawił okulary.

— Brakuje nam metryki pani Jadwigi Sokulskiej i trzeba się postarać o świadectwo chrztu Konstantego. Czy mama słyszała co kiedy o jakich Cygach?

— *Was ist das?* co to jest? Twój ojciec miał więcej niż cugi — niż batalion, miał cały pułk, *ja* — *ein ganzes Regiment!*

— To nie to, uśmiechnął się Jan.

— Ja cię objaśnię, powiedziała Liza, ja coś wiem.

— Ty wiesz? zdziwił się brat — a to skąd znowu?

— Skąd miejsza o to — ale wiedz, że ja wiem z tamtych stron wiele rzeczy, o których ci się nawet może nie śniło.

Mnie przecież kilka lat chowała babka, niestety zbyt krótkie były te lata.

I rzeczywiście wszyscy o tem w domu zapomnieli, że Liza była najdroższem okiem w głowie babki, i że ta babka Polka dała podkład jej całemu wychowaniu.

Jan zamyślił się głęboko, zaczynał dopiero teraz jaśniej pojmywać, na co dawniej nie zwracał uwagi. On był pod wyłącznym kierunkiem ojca, a babka niecierpiała Plitzów, choć ich znosić musiała.

— Więc? zapytał po chwili milczenia.

— Cygi, to majątek ziemski w Galicyi, koło Tarnowa położony. Był on własnością rodziców babki. Tam babka się urodziła i tam mieszkała z bratem Konstantym, po ukończeniu nauk w Krakowie, a po śmierci rodzlców.

— I ja sobie przypominam, dodała pani Albertyna, żem nawet z matką raz tam jeździła, ale brata już nie było w Sygach — *ja* — *ja* — *er war schon weg* —

verschwunden! Pamiętam tylko — że było tam dużo psów i dużo żydów — *so* — *so*, *viele Hunde und Juden!*

Jan wstał i pożegnał się; wiedział, co wiedzieć potrzebywał. Postanowił po metryki napisać do Tarnowa.

— Ależ my właściwie nic nie wiemy, on nam nic nie powiedział — odezwała się gorąco Liza po wyjściu brata.

— Prawda — my nic nie wiemy — *wunderbar*, a on już poszedł, potwierdziła matka — może to jakie wielkie pieniądze.

I jak stała pobiegła za synem.

Za chwilę wróciła jednak, bo właśnie w przedpokoju spotkała się z oczekiwaną cały ranek krawcową. Przyniosła nową suknię.

Więc już nie było mowy o spadku. Sokulscy przestali dla niej istnieć, utonęła cała w koronkach, falbanach i dżetach. Liza, acz z niechęcią, musiala także czynić spostrzeżenia nad nową suknią matki. Po pół godzinie jednak zdołała się uwolnić od tej męki.

Znalazła się wreszcie sama.

Ścisnęła dłońmi rozpaloną głowę, potem przyłożyła czoło do zimnej szyby i patrzała długo przed siebie, sztywna i nieruchoma. Na pryncypalnej ulicy, choć to było zaledwie w pierwszych godzinach popołudniowych, panował ruch bardzo ożywiony. Pojazdy, wózki, automobile, posuwały się z szaloną szybkością, dudniąc, dzwoniąc i turkocąc w najrozmaitszy sposób. Setki przechodniów przechodziło dołem po chodniku, mijając się szybko, potrącając, zatrzymując; gwar roz-

mowy i odgłos kroków, całą chaotyczną gamą rozlewał się w przestrzeni. Powiewne i strojne szaty pań uderzały oczy falą blasków fioletowych, wśród których migały jakby złudą drobne ich nóżki, obute w kolorowe pantofelki. Elegancko podtrzymywane treny otwierały się ogromnymi wachlarzami koronek, z pośród których przybłyskiwały od czasu do czasu szamowe, ażurowe pończoszki.

Za paniami posuwali się lekko panowie w czarnych cylindrach i jasnych ubraniach; tu przemknął express w niebieskiej bluzie, tam rzemieślnik, opóźniający się do pracy, za nimi kilku oficerów hałaśliwie brzękało pałaszami i t. d., coraz to nowy obraz, nowa zmiana, a wszystko pełne ruchu, życia, wszystko zdążające dokądś, w jakimś celu.

Liza nic z tego wszystkiego nie widziała. Szum, który słyszała w głowie, przegłuszał wrzawę uliczną; widma, jakie odtwarzały się i goniły w jej mózgu, przyćmiewały żywe obrazy chodnika monachijskiego. Gdyby ją był kto zapytał, o czem myśli i co widzi temi nieruchomemi oczyma, nieumiałaby chyba odpowiedzieć; myśli te były bowiem takie rozpierzchnięte i tak bezładnie gdzieś gnały, jak chmury po burzy pędzone wichrem w mglistą dal; widziała wszyskie, rozumiała je dokładnie, lecz żadnej nie umiałaby określić, a tembardziej nazwać po imieniu. W jej duszy coś jęczało, w sercu tłukło się, rwało, podnosiło, opadało, chciało uciec daleko, aż tam gdzie jej babka przeżyła młode lata, po których tak często płakała, a do których nigdy już nie wróciła.

Jakaś nieprzeparta, nieznana dotąd siła, ciągnęła Lizę w tę dal zakrytą tajemną osłoną; w te okolice, w których — słyszała to wyraźnie — szumi jakieś spienione, perliste a ożywcze źródło, skąd płynie dziwne tchnienie, takie niecodzienne, żywe, gorące, bezgraniczne, a wstrząsające całą jej istotą aż do głębi.

Nadszedł pogrzeb z tem wszystkiem, co towarzyszy temu smutnemu obrzędowi. Przed oczyma Lizy przesunął się czarny krzyż, zatrzepotały kirem okryte chorągwie, jarzące świece zachwiały się dymiącymi płomieńmi. Spostrzegła wielki wóz kwiatów i wieńców, posuwający się zwolna przed oszklonym karawanem.

Dziwne kwiaty! Smutne kwiaty! Od progu życia, aż do bram śmierci towarzyszą człowiekowi. Są przy jego ślubie z życiem, zdobią skroń jego i wonią swoją upajają mu serce, gdy się łączy z drugą istotą na drogę życia — ciernistą drogę walki i czynów; prowadzą go także do wrót śmierci, do ślubów jego z wiecznością.

Dziwne kwiaty! To śmieją się, to płaczą; — raz opasane wstęgą białą, drugi raz związane kirem, po którym spływają łzy żalu i rozpaczy.

Dziwne kwiaty — z wesela idą na pogrzeb, z sali balowej, z objęć rwącej roskoszy na ciche pole cmentarne!

Smutna ich dola.

Ona tak kochała kwiaty.

W tej chwili posłyszała żałobny śpiew; za karawanem w ciężkiej niemocy szła wdowa, może matka.

Serce Lizy zadrżało silniej! Uderzyło jak ptak spłoszony skrzydłami; pochyliła się, usunęła jakby podcięta na bliską sofkę, zakryła twarz dłońmi!

A potem zaszlochała!

Ciężki był paroksyzm. Głuche łkanie targało nią, niby podmuchy nagłej burzy, co uderzyła w młodą, pnącą się do życia i słońca roślinę.

Roślina nie miała punktu oparcia, grunt, na którym wyrosła, był jej obcym!

Matka — ta matka strojna, błyszcząca jeszcze dzisiaj jaskrawem światłem zachodzącego dnia — nie rozumiała jej, nie mogła nawet rozumieć, wychowana w zbytku i roskoszy, jak ptak, który nic więcej nie widział prócz nieba swej złotej klatki i swych pięknych piórek; który nie wiedział, że na świecie jest życie i walka, jest boleść i roskosz, są cienie i światła, są słoneczne, wielkie obszary nieba i przepaście bezdenne, są gorycze, smutki i cierpienia, które wchodzą do duszy, gospodarując w niej ręką brutalną. Ta matka była jej prawie obcą; w jej objęciu nigdy nie znalazła ukojenia; ona nie mogła być dla niej oparciem, a tembardziej drogowskazem, ani w ciemnościach życia promieniem, ani nadzieją w zwątpieniu, ani pociechą w smutku. Nie miała z kim dzielić swych myśli, uczuć, nie miała kogo wprowadzać w swe wymarzone światy, nie miała przed kim otworzyć kielicha kwiatu swego serca i błysnąć blaskami ukrytymi! Pamiętała dobrze jak nagle pociemniało w jej duszy, gdy babki nie stało, jak czuła się obcą, wprowadzona w świat matki i brata, jak powoli zacierały się ale nie zatarły w sercu piękne obrazy jej dzieciństwa. I kto wie jakiej przemianie byłaby uległa, gdyby, oddana do konwiktu, nie natrafiła była na gorącą duszę jednej z nauczycielek, sieroty, Polki, wyrzuconej w świat

między obcych na tułactwo. Ta, gdy Lizę poznała, otoczyła ją siostrzanemi ramionami, przygarnęła do serca i tchnęła w młodą duszę wszystko, co najgorętszego i najszlachetniejszego jej dusza zawierała. Świat babki odżył, rósł, promieniał, potężniał, aż stał się treścią jej istoty.

— Niestety — westchnęła głęboko Liza wśród łkań, i tę twarz ukochaną przysłoniły kwiaty.

Smutne, żałobne kwiaty! I znowu szare, monotonne dnie. Pustka na zewnątrz, udrapowana szychem i blichtrem, życie bez celu, bez jutra, choć w dostatku i w wygodach. Więc zamknęła się w sobie; w sobie i dla siebie dojrzewała, promieniała. Aż raz w koło tych promieni zaglądnęły ciekawie duże, niebieskie oczy.

Oczy człowieka, mężczyzny.

Którędy promień tych oczu dostał się i wniknął w jej serce, daremnieby ją kto pytał, dość, że wchłonęła go, że pozwoliła mu błysnąć i paść w serce siłą rozrodczą, że stał się potrzebą jej życia, istnienia.

I w tej chwili patrzą na nią te oczy rozumne, — duże, niebieskie oczy, ale patrzą z daleka, z poza całego deszczu kwiatów, spadających z obłoków.

Smutnych kwiatów!

— Nie wróci! czemu nie wróci? pytała się po raz setny może, patrząc przez łzy w jakieś dalekie światy i opuszczając ręce wzdłuż kolan, czyż mojem przeznaczeniem na to poznawać słoneczne krainy, by je czemprędzej utracić?

Czyż mam się ciągle tylko błąkać, szarpać w sobie, łamać i patrzeć jak kwiaty smutku i rozłąki zasy-

pują ścieżkę mego życia? A przecież on nie był takim jak wszyscy inni; nie był przelotnym meteorem, chwilą, frazesem. I może właśnie dlatego nie wróci, że był myślą, że był życiem i czynem? Kto wie, co on zastał w ojczyźnie? Tam takie ciemne teraz, takie straszne dnie...

Tu myśli jej przeszły na brata.

— Czemu on nie przeczytał llstu jego, dlaczego nic bliższego ani o nim, ani o spadku nie powiedział, dlaczego był tak dziwny, podrażniony, szorstki?

Więc zaczęła szukać powodów tego wszystkiego, analizować każdą drobnostkę. W pogmatwanym kłębku chciała znaleść i schwycić nić przewodnią. Daremnie jednak siliła się. Już odjazd nagły Juliana był osłonięty tajemnicą; co się poza tą osłoną dalej działo, mógł on sam tylko powiedzieć, a powiedział pewnie w liście do brata.

Więc przezwyciężyła się, ściągnęła rozluźnione muskuły serca, postanowiła czekać.

I doczekała się.

Wieczorem Jan, jakby dopiero teraz przypomniał sobie, objaśnił matkę i siostrę, jaki to spadek czeka na nich w Galicyi, śród jakich warunków dziedziczą; że ojciec Juliana jest egzekutorem testamentu, i, że ostatecznie, ten Jarków z tymi tysiącami, to rzecz wcale nie do pogardzenia. Gdyby zaś rzeczywiście prawdą było, że są tam takie obfite pokłady galmanu — to kto wie jeszcze, co z tego mogłoby wyniknąć.

— Gdy zbiorę potrzebne papiery, kończył, popijając bawara, pojadę do Dębowca, trzeba wszystko wła-

snemi oczyma oglądnąć, na własnej dłoni zważyć; to najlepsza zasada w życiu. Wypada wreszcie także staremu Dębowskiemu osobiście podziękować — no — a przytem i Julianowi należy się cośkolwiek.

Liza nie mogła mu dotąd przebaczyć lekceważącego odezwania się przy obiedzie o Sokulskich, więc zapytała z przekąsem, choć cała była w słuch zamieniona:

— Więc już wierzysz w to, że to był nasz Sokulski?

— Cóż mam robić, gdy ty tak chcesz, muszę wierzyć.

I pogłaskał piękną swoją, blond brodę, patrząc z pod oka na Lizę i uśmiechając się lekko.

Zapłoniła się i odwróciła cokolwiek.

— Drwi sobie, pomyślała, nie chce się przyznać, żem go przekonała.

On tymczasem skończył swoje piwo i życzył im dobranoc. Matce jak zwykle ucałował rękę. Liza wstała zakłopotana. Odchodził już, a ona chciała go jeszcze zapytać — zapytać o coś, co się prawie krzykiem z jej duszy rwało. Żałowała teraz, że go znowu podrażniła.

— Dobranoc ci Lizo, zwrócił się do siostry.

Nie odpowiadała.

— Dobra noc, powtórzył i przystąpił bliżej, o czemże tak myślisz, o dziadku Sokulskim i Jarkowie?

Spojrzała nań z wyrzutem, ale tak jakoś głęboko i tak niezwykle, że zawahał się chwilę — a potem sięgnął ręką do bocznej kieszeni surduta i, wyjmując list Juliana, rzekł zwolna a ciepło, podając jej papier:

— Masz, przeczytaj, znajdziesz tam niejedno i dostroisz do twoich myśli. — No — dobranoc ci jeszcze raz. Wyciągnął rękę.

Uścisnęła go gorąco — może zagorąco nawet a fala krwi zalała nietylko jej twarz ale i szyję.

Spojrzał na nią zdumiony. Wiedział już wszystko, teraz więc się cofnął znowu w koło swoich dogmatów i szepnął lodowem tchnieniem:

— Mniej rozum Lizo — dokąd ty idziesz?

Lecz ona za całą odpowiedź uścisnęła jeszcze raz jego rękę i popatrzała mu tak w oczy, że wyczytał w nich najwyraźniej.

— Dziękuję ci, bracie — ale nie obawiaj się — ja wiem dokąd idę.

Pokiwał głową, pomyślał chwilę, lecz gdy znowu zasiadł przy biurku u siebie, z najzimniejszą krwią zaczął studyować rozliczne sposoby fabrykacyi cynku.

A Liza?

Liza wprawdzie nad ranem dopiero usnęła — ale usnęła z jakąś otuchą, co spokojnem skrzydłem otuliła jej serce. Przyszła nie wiedzieć skąd na nią, jak ta rosa na kwiaty przed wschodem słońca. Wprawdzie czytała: „może nie wrócę już do was, bo tu czeka mię poważna praca w kraju“ — ale właśnie ta „poważna praca“ takim jaśniała jakimś blaskiem, takim ogromem jakiejś szlachetnej siły tętniła, że kwiaty smutku, które w jej duszy przysłaniały dotąd twarz Juliana, rozsunęły się, rozpłynęły w mgłę, aż znowu zajaśniały jego promienne oczy, jak dwie gwiazdy przewodnie.

W te gwiazdy zapatrzona — usnęła.

. . . .

Minął tydzień. Metryk nie przysłano, natomiast nadeszła z Dębowca paczka z kamieniami.

Jan był teraz w swoim żywiole. Pracował dniem i nocą. Kilka razy spóźnił się nawet na obiad. Był coraz weselszy, czoło jego promieniało, oko jaśniało. Niecierpliwił się tylko, że nie było żadnej odpowiedzi z Tarnowa.

Aż raz, już prawie w połowie września wszedł żywo do jadalni i rzekł wesoło do siostry:

— Chodź Liza, niech cię pocałuję, twój dziadek Konstanty — jest już i moim dziadkiem.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że przyszły papiery z Tarnowa, i jadę do Dębowca. Najpierw jednak niech mama to podpisze. Jestto pełnomocnictwo dla mnie do podjęcia spadku. Jak długo zabawię, nie wiem. Może tydzień, może dwa. Mam dużo do roboty, kto wie co z tego jeszcze wyniknie. Zaczynam wierzyć w dobrą gwiazdę Sokulskich.

— Ta gwiazda jest już dawno moją gwiazdą — dodała Liza, jedź i wracaj szczęśliwy.

A potem uścisnęła go serdecznie i ucałowała w oba policzki.

IX.

W czasie, kiedy analiza chemiczna rud wydobytych w Jarkowie, wykazała Janowi prawie 60% zawartości czystego cynku w galmanie, a 30% żelaza w pirycie, kiedy, oczekując na papiery z Tarnowa, przejmywał się coraz bardziej chęcią, naocznego przekonania się, jak obszerne pokłady, względnie jak wielkie gniazda tych rud znajdują się w Jarkowie; kiedy Liza w gorącej swojej duszy, odtwarzała całe, nieznane jej dotąd światy, w których babka przeżyła młode swoje lata; kiedy myślą biegła do tego Jarkowa, zawadzając mimochodem o Dębowiec i siląc się odgadnąć powody, które zatrzymywały Juliana; kiedy rojne i krzykliwe miasto, tętniące i szumiące życiem prześlicznej jesieni, rozstrajało jej tylko coraz więcej nerwy i budziło ogromną tęsknotę do ciszy obszernych pól i ukojenia, które spływa do serca z gwarą szumiących lasów: w Dębowcu przygotowywała się tymczasem dalsza zmiana.

Międzynarodowe biuro dla interesów przemysłu domowego we Wiedniu, w odpowiedzi na list Juliana, za-

żądało próbek bulionu, konserw, przetworów owocowych i w ogóle wszystkich tych artykułów, którychby Dębowiec mógł w większej ilości dostarczać; równocześnie zapytywano także, ile par drobiu tygodniowo mogłaby wylęgarnia do Wiednia wysyłać. Biuro oświadczało dalej wszelką gotowość pośredniczenia w zbycie artykułów, jeżeli jakość tychże odpowie wymaganiom, a ilo' choć częściowemu zaspokojeniu zapotrzebowania. Zwrócono przy tem uwagę, że bardzo jest poszukiwany bulion pierwszej jakości, tudzież, że każda ilość drobiu zakupioną będzie.

Naturalnie, że Wanda zastosowała się zaraz do życzenia i czwartego dnia kilka paczek próbek odesłano do Wiednia.

Między paczkami była jedna z bitym drobiem, zabezpieczonym od zepsucia się w sposób, będący specyalnym wynalazkiem panny Dębowskiej.

Julian ogromnie się zdziwił, przeglądając towar do wysyłki przeznaczony, że jakkolwiek był on dobry pod każdym względem i mógł śmiało konkurować o pierwszeństwo choćby na zagranicznym targu, nie był jednak tą najlepszą sortą, wybierającą się zawsze na okaz.

Wanda spostrzegła jego zdziwienie i zapytała:

— Niepodoba ci się?

— Nie to; ale powiedz mi, dlaczego nie robisz tak, jak wszyscy inni, i nie wysyłasz na próbę, najlepszych i najpiękniejszych okazów.

— Mam w tem swoje wyrachowanie. Ponieważ nie jestem jeszcze w stanie każdym razem wytworzyć towaru jednakowej jakości i to jakości najlepszej, przeto

wolę być na początek skromną, dotrzymać zawsze słowa, i dać nawet lepszy towar, niż raz jeden tylko gorszy, i narazić się przez to na utratę zaufania. Zaufanie zaś, mojem zdaniem, jest dźwignią tak największego jak i najmniejszego przemysłu, raz straconego nie kupię już nawet na wagę złota. A ja chcę iść do góry, nie na dół. Nie mam czasu, pieniędzy i życia na nieudałe próby, na ogień słomiany, na zabawki, na których tyle już stracił nasz kraj i materyalnie i moralnie.

Julian, usłyszawszy to, zdziwił się jeszcze bardziej, a potem spojrzał z uszanowaniem na siostrę i pomyślał:

— Tak może mówić i działać tylko ten, kto życie i walkę jego rozumie, kto się wiele zastanawiał nad szarzyzną tego kraju — i wadami jego społeczeństwa.

Więc zapytał dalej:

— A jeżeli—właśnie z powodu tej twojej, jak ją nazywasz, skromności, odrzucą ci towar.

— Nie boję się — odpowiedziała z przekonaniem, nie odrzucą; wiem, co posyłam; zresztą, mój braciszku, ja siebie bardzo szanuję — dodała z prześlicznym uśmiechem.

— To znaczy?

— To znaczy, że nie dopuściłabym żadną miarą, do tego, by mię spotkał despekt ze strony Niemców na punkcie dobroci moich wyrobów; możemy na cenę się nie zgodzić i z tego powodu nie zawiązać stosunków — ale o jakości towaru nie może być dwóch zdań.

Przyznawał jej zupełną słuszność, lecz postanowił nie poprzestać na tem.

Ta piękna dusza zaczynała go zachwycać swojemi blaskami. Więc powiedział na przekór i jakby od niechcenia:

— Widzisz — ale to z Niemcami sprawa...

— No i cóż z tego — mój drogi! — zaprzeczyła gorąco — alboż to nie ludzie, co mają olej w głowie, a przy podniebieniu język, którym przecież nie lepiej smakują, niż my.

— Kto wie?

Spojrzała nań uważnie, a potem pokręciła znacząco główką.

— Widzę, że chciałbyś mię koniecznie namówić do tego, bym im same nadzwyczajności posłała, a ja przecież tego nie uczynię, choćby mi złote góry obiecywano. Bo i cóż właściwie jest podstawą każdego interesu?

— Mnie pytasz?

— Tak!

— Dwie rzeczy — rachunek i uczciwość.

— A widzisz. Jak tam jest z moim rachunkiem, czy nie okażą się jeszcze jakie błędy, tego nie wiem; — lecz może uwierzysz, że Dębowska nie mogłaby być nieuczciwą. Wolę z czasem dać lepszy towar, niż gorszy, i do nieodosobionych krzyków na nierzetelność i nieuczciwość polską, nie dostrajać jeszcze jednego głosu oburzenia i narzekania w tym kierunku.

Mam zresztą jeszcze jeden powód pośredni — dodała po chwili, patrząc mu z powagą w oczy.

— Jakiż to?

— Chciałabym wzniecić w tobie choćby jedną iskierkę wiary w powodzenie naszego przemysłu.

— Ależ ja tylko w ludzi naszych nie wierzę — bronił się.

— Więc chciałabym, ażebyś uwierzył, że są ludzie i u nas.

— Że są jednostki, nie przeczę, nawet jak brylant błyszczące; ale, przygłuszone wybujałymi chwastami, świecą w ukryciu, a często i gasną przedwcześnie. Jeżeli zaś czasem uda im się wystrzelić jasnym promieniem, to wnet przyćmiewa je zawiść i zazdrość, i giną z braku soków odżywczych.

— Sejm przecież przeznacza na ten cel krocie; mamy krajową komisyą przemysłową, wtrąciła.

Julian zaśmiał się.

— Prawda że mamy i komisyą i dotacyą, podobno półmilionową; ale komisya składa się coś z trzydziestu członków, a każdy członek ma swoich trzydziestu protegowanych przemysłowców, którym egzystencyą trzeba przedłużyć, bez względu na to, czy dają rękojmię, ścisłością rachunku i bezwzględną uczciwością, tudzież czy chwycili się dlatego przemysłu, ażeby żyć, czy, — ażeby odżyć w przemyśle.

Wieleby o tem mówić — więc dajmy lepiej spokój. Jak długo u nas wszystko będzie się robić tylko dla ludzi i stosunków, a nie dla samej rzeczy i jej rzeczywistej wartości — tak długo będzie zawsze tak, jak z tą naszą sikawką, sprowadzoną z fabryki krajowej.

— Cóż to nowego znowu? zapytała.

— A cóżby; nie chciała funkcyonować przy ogniu. Byłem ciekawy przyczyny i zajrzałem jej w buzię.

— I.... ?

— Ni mniej, ni więcej, tylko ma w pudle dziurę, a wężów nie można do niej przyśrubować — bo holendry są za duże.

— Żartujesz?

— Moja droga, czyż ja w tej chwili usposobiony jestem do żartów. Bardzo to smutne, nie mniej jednak prawdziwe. A wieleż takich przykładów. Wiele znów innych jeszcze smutniejszych, gdzie ze wzrastającym zbytem daje się coraz lichszy towar, bez względu, że się tem dyskredytuje cały przemysł krajowy i ubezwładnia najszlachetniejsze nieraz wysiłki!

Gdy kończył mówić, Wanda patrzała nań jak w tęczę i promieniała.

— Więc ja przecież dobrze robię! zawołała.

— Ależ naturalnie — potwierdził, i nie wiem, co w tobie więcej podziwiać, zapał, energię, czy tę mądrą i daleko przewidującą główkę.

Pokraśniała z zadowolenia, że ją pochwalił. A on dodał jeszcze:

— Kto też ciebie tego wszystkiego nauczył? Tak jesteś inną, niż te twoje siostry dwudziestego wieku, przeczulone, przenicowane we fabryce nadludzi — tak często wynaturzone.

Błysnęły jej oczy, ujęła gorąco rękę brata.

— Miałam jedną, jedyną nauczycielkę — a była nią gorąca miłość tej ziemi i nieprzeparta chęć — i żelazna wola służenia jej wedle sił. Chciałam mieć także prawo do Dębowca takie, jak ojciec, matka i ty. Więc

na tej miłości oparlszy się, stawiałam fundamenta mego rozumowania, uczyłam się — wnioskowałam!

Teraz wierzę, że dopnę swego.

Biło z niej życie, kipiała młodość, tchnęla wiara, szło rodzące cieplo!

Na białem czole jaśniała szlachetna myśl.

Koło ust błąkał się uśmiech zwycięski.

Julian podniósł tę rękę drobną, która ściskała jego dłoń i gorąco ją ucałował.

Cofnęła się, jakby przestraszona, a potem nagle zwilgotniały jej oczy.

— Co robisz? szepnęła z wyrzutem.

— To pocałunek przymierza, powiedział bardzo poważnie. Nie mam ja jeszcze prawa do Dębowca — nie — lecz będę się starał zdobyć je. Połączymy wszyscy nasze usiłowania. Z miłości ziemi rodzinnej wydobyty pierwiastek, musi mieć siłę rozrodczą!

Zarzuciła mu ręce na szyję. Płakała cicho. Nie bronił jej, ani siebie, ani łez; był bardzo wzruszony; czuł — że targają się w nim na strzępy, jakieś resztki obcych nici i że żywe, rwące, przedziwnie słodkie uczucie zalewa mu serce.

. . . .

A tymczasem wzburzona fala społeczna podnosiła się coraz wyżej, zataczała coraz szersze kręgi. Im bliższy był termin zwołania rady państwa i ponownych posiedzeń komisyi dla reformy wyborczej, tem mocniej wrzało i kotłowało w kraju. Agitacya za czteroprzymiotnikowem prawem głosowania przybierała niesły-

chane rozmiary, a często nawet i formę taką, która w innym czasie i w innych warunkach byłaby wprost niemożliwą. Dzisiaj tolerowano ją, bo projekt reformy wniósł sam rząd, bo mu pośrednio zależało nawet na tem, ażeby, wniósłszy projekt reformy, krzywdzący Galicyę i Polaków, nie pozwolić tym ostatnim skonsolidować się na zewnątrz. Użyto i teraz tylekroć wypróbowanego i niezawodnego środka, który po dziś dzień świeci krwawemi i przeklętemi kartkami w historyi roku 1848, a który wywołał w kraju kwestyę ruską. Na szczęście jednak wichrzenia w kraju i walka za reformą wyborczą — jakkolwiek ciężkie zadawały rany społeczeństwu naszemu, nie pochłonęły jednak wszystkich sił narodu. Zrozumiano taktykę odrazu; środek wypróbowany zawiódł, a zamiar wyrządzenia krzywdy Polakom spotkał się z należytem ocenieniem rzeczy. Nie irytowano się zbytnio siejbą nienawiści klasowej i stanowej, ani szczuciem obu narodowości na siebie; nie przestraszono się nawet łun pożarowych i krwi rozlewu, lecz z całą powagą i rozsądkiem politycznym starano się sparaliżować zakusy przeciwko Polakom zwrócone.

Padł więc jeden gabinet; padł drugi; natomiast trzeci począł się już liczyć z tymi, których odsądzić chciano od głosu, których pozbawić chciano stanowiska i praw, jakie im się należały w przyszłej Radzie państwa z historycznego i kulturalnego punktu widzenia rzeczy.

Ze wzrostem jednak powagi i znaczenia Koła polskiego i Reprezentacyi polskiej we Wiedniu, którą nierozsądnie i po dziecinnemu dwa poprzednie rządy zignorować chciały, z chwilą, gdy przeciw zalewowi grożą-

cemu krajowi, zaczęto energicznie i ze skutkiem wznosić tamy i obwarowania, — wszyscy ci, dla których masa była podstawą i fundamentem daleko i szeroko zakrojonych dalszych reform społecznych — rzucili się znowu w wir walki agitacyjnej, z chęcią wywołania z tłumu tak donośnego i groźnego krzyku, by nim aż zteroryzować tych, co o losach reformy wyborczej stanowić mieli. Więc szły dziwne hasła po kraju, za niemi ciągnęły się groźby, czasem nawet śmieszne i dziecinne, a za groźbami tu i ówdzie pojawiał się czyn nikczemny, brutalny, czasem nawet dziki, przypominający pierwotne instynkta narodu, który chce odrzucić pieluchy, choć nie stać go jeszcze nawet na krótkie spodenki.

Tłum dał się porywać, masa toczyła się zwolna, na szczęście jednak nie siłą żywiołową i wybuchową!

Apostołowie nowego porządku rzeczy przebiegali kraj, budząc brudne chuci, szczując jedną narodowość na drugą, jeden obrządek przeciw drugiemu; grożąc pożarami i zgliszczami — a nawet krwi rozlewem, jeżeli prawa pełne i równe nie będą ludowi przyznane, i jeżeli mniejszość kraju wschodniego nie będzie oddaną na łup, na łaskę lub niełaskę większości siermiężnej, nieokrzesanej, ciemnej! A jaką arcypiękną przyszłość wróżono tej miejszości, jak ponętnie uśmiechała się ona — dowodem tego pozostanie na wieki w dziejach tej chwili przełomowej fakt, że dla mniejszości tej starano się przygotować losy tych, co pod nożami Gonty i Żeleźniaka życie oddali, i znaczyli drugiemi pochodniami Nerona — ruch wolnościowy zbudzonej Ukrainy.

Apostoł taki zjawił się i w Dębowcu i urządził sobie poufne zebranie za zaproszeniami w pustej stodole u jednego z agitatorów wioskowych, który straciwszy część dobytku wskutek rozpolitykowania się, a resztę przepiwszy i przehulawszy, miał nadzieję, że chuligańskim sposobem odbije wszystko z naddatkiem.

Zgromadzenie było cichutko zaaranżowane — nie wiedziała o niem szkoła, dwór nawet nie spodziewał się. Zaproszono tylko pewnych i tych, którzy tym pewnym powodować się musieli, w skutek stosunku zależności.

Jakim cudem Rogowski i Szymek dowiedzieli się dzień naprzód o tem zebraniu, pozostanie to na zawsze ich tajemnicą — a zwłaszcza Rogowskiego, który aczkolwiek dni kilkanaście dopiero był zajęty na folwarku, oryentował się w sytuacyi znakomicie i tak pewnie chodził, a dobrze widział wszystko — jak gdyby tu przynajmniej lat kilka już przebywał.

Mówił bardzo mało, nigdy się nie uśmiechał, nie zaczepił nikogo, o nic nie pytał, ale oczy miał takie jakieś dziwnie przenikliwe, takie świdrujące, takie aż w głąb duszy zaglądające, że gdy popatrzył na kogo, to go w lot przejrzał, a następnie budował swe wnioski, prawie zawsze trafnie.

Więc tego dnia, w którym Wanda próbną posyłkę nadawała do Wiednia, zjawił się rano Rogowski w kancelaryi dworskiej z doniesieniem, że między fornalami znowu agitować rozpoczęto — i że jeden z nich otrzymał nawet zaproszenie na zgromadzenie poufne, które nazajutrz w Dębowcu na wsi odbyć się miało.

Więcej nie chciał powiedzieć. Pytany, skąd o tem wie, i kto dostał wezwanie, wzruszył tylko ramionami i milcząco wyszedł.

P. Dębowski nie wiele przykładał wagi do wyjawień Rogowskiego, nie bardzo im i wierzył, i byłby pewnie przeszedł nad wszystkiem do porządku dziennego, gdyby około południa nie był mu Julian wręczył kartkę zapraszającą na to zebranie, a którą Szymek mu przyniósł.

— Więc miał zdaje się dobre wiadomości, ze zmarszczonem czołem, przeglądając zaproszenie, powiedział jakby do siebie p. Dębowski.

— Kto taki? podchwycił syn.

— Rogowski. On wszytko wie. Coś jest na rzeczy, zaczynają znowu zakradać się na folwark.

I opowiedział synowi to, co mu gumienny rano doniósl.

Postanowiono w południe zwołać wszystkich fornali do kancelaryi i stanowczo im przypomnąć warunki przyjęcia i przypisy kontraktu.

Zeszli się. Kancelarya była tak pełna, że musiano drzwi do sieni otworzyć.

Starszy Dębowski w obecności syna krótko a stanowczo przypomniał im ich obowiązki, ugodę zawartą, prawo do zaopatrzenia — przyczem zaznaczył dobitnie, że czyni to dlatego — albowiem wie, że wrogowie znowu zabiegają, ażeby ich zbałamucić i odwieść z drogi obowiązku, pracy i uczciwości.

Przestrzegał przed agitacyą i jej skutkami i zakończył w sposób następujący:

— Naturalnie, że waszej wolnej woli krępować nie chcę, bo niechcę mieć u siebie niewolników, lecz ludzi, którzy razem ze mną na kawałek chleba uczciwie pracować pragną, którzy w pracy i w spełnionym obowiązku widzą podstawę życia i przyszłość swoją. Komu się układ zawarty z dworem dębowieckim nie podoba, może w legalny sposób odejść i szukać szczęścia gdzie indziej; zatrzymywać go nie będę. Stanowczo jednak zapowiadam, że żadnych agitacyi i żadnych wichrzeń obcych na folwarku nie zniosę. Który z was dostał zaproszenie na jutrzejsze zebranie u Mikołaja?

Cisza zaległa w kancelaryi. Jedni przyglądali się drugim. Milczenia nikt nie przerwał.

— Więc żaden? powtórzył zapytanie.

Cisza. Tylko odedrzwi przeciskać się teraz zaczął Rogowski, aż za małą chwilę wysunął się naprzód. Spojrzał dokoła, a potem wświdrował się oczyma w twarz jednego młodego fornala, stojącego na samym przodzie.

Ten pokręcił głową, okazał pewien niepokój, i chciał się cofnąć w tył. Lecz Rogowski trzymał go oczyma swemi jak na uwięzi, wżerał się w niego coraz głębiej, przykuwał do miejsca, ściskał, palił, gniótł, aż chłop zaczął się trząść i blednąć. A kiedy już i inni dostrzegli jego zmieszanie, rozpaczliwym ruchem wyjął z zanadrza kartkę i położył na stole.

Teraz Rogowski cofnął się i znikł jak kamfora.

P. Dębowski oddał kartkę fornalowi:

— Możesz zrobić, co ci się podoba, iść, albo nie iść — powiedział zimno.

Fornal położył znowu kartkę na stole i mruknął:

— Nie pójdę!

I nie poszedł. Ale Rogowskiego od tej chwili unikał i bał się go jak nieczystej duszy.

Wieść jednak o konferencyi z fornalami przedostała się na wieś, a co gorsza, że robotę kontragitacyjną na folwarku przypisywano Szymkowi, o którym wiedziano, że całą duszą oddany jest dworowi.

Narady były burzliwe. O wszystkiem mówiono, tylko nie o reformie wyborczej; Dębowscy, Szymek, dwór, las, pastwiska, Lach, San, były na ustach większości.

Chciano natychmiast napaść na dwór, splondrować, a potem spalić do szczętu, obu panów Dębowskich powiesić, a Szymka kołem łamać i szczypcami rozpalonemi ciągnąć za język. Rozsądniejsi radzili czekać lepszej, dogodniejszej sposobności, przedstawiali w perspektywie kryminał i inne gorsze jeszcze rzeczy; ci jednak, co nie mieli nic do stracenia, bo nawet i duszę swą już dawno piekłu zapisali, porwali się na to i z okrzykiem:

— Na pohybel! Smert lacham! i rzucili się naprzód.

Powstrzymano ich. W stodole zakotłowało. Nie mieli Szymka i Dębowskich pod ręką, zaczęli swoich okładać pięstukami i rachować im zęby. Niektórzy wyciągali koły ze ścian, inni chwytali jak ryzuny za koziki. I byłaby się spewnością polała zacna krew bratnia, byłaby uderzyła kurzem swym o szczerniałą i dziurawą strzechę stodoły ze skargą na niewolę wiekową i prośbą o równe prawa obywatelskie, gdyby nie żandarmi, którzy wkroczyli w ten rozjuszony tłum i zawezwali do rozejścia się.

Podziałało to jak strumień zimnej wody i natychmiast zmieniło sytuacyę.

Jeden z przewódców wylazł na stół i zaprotestował przeciwko mieszaniu się władzy bezpieczeństwa w sprawy domowego porządku, nazwał to pogwałceniem wolności osobistej, obywatelskiej, zbezczeszczeniem domowego ogniska i postawił rezolucyę, że zgromadzeni żądają: tajnego, równego, powszechnego i bezpośredniego prawa głosowania. Rezolucyę uchwalono wśród takiego wrzasku, jakby stado dzikich zwierząt darło się nad ciepłem i żywem jeszcze mięsem.

Potem rozeszli się z pogróżkami — a następnie część jedna — w karczmie już — uchwaliła donieść telegraficznie posłowi Romańczukowi o pogwałceniu przez żandarmeryę swobody domowej na poufnem zgromadzeniu u Mikołaja.

Było jednak trzech takich, którzy postanowili bądź co bądź godnie w historyi Dębowca zapisać dzień i wieczór dzisiejszy.

A wyuczeni byli dobrze na wzorach hajdamaczyzny.

Wódka gorzała im we łbie.

Bestyalstwo pławiło się w czarnej krwi ich serca.

Nie mieli nic do stracenia prócz życia — a życie nie miało u nich wartości, bo po za niem nic nie widzieli — nie zostawiali żadnego dorobku. Smutne to, więcej — straszne to. Straszne nie nicością swoją — lecz tem, że nicość dobijała się równości praw z życiem, że żądała dla siebie ołtarza i świątyni.

Był późny już wieczór, mglisty, deszczowy. Nad wzburzonym krajem płakała tego roku jesień; mało było

słońca, mało tych złotych, malowanych promieni, co przetkane zwykle o tej porze przędzą pajęczą, niwy i pola stroją barwą tęczy i długimi sznurami nanizanych brylantów rosy.

Ludzie mówili i rozprawiali o jutrzence swobody, o słońcu wolności, o wielkiem tchnieniu życia, które wniknie w stosunki społeczne i wstrząśnie organizmem kraju; gorączkowali się, zapalali, roili najśmielsze nadzieje, lub powątpiewali — a szare niebiosa wylewały ciągle na ziemię masę dżdżu. Wzbierały rzeki i potoki jak na wiosnę, rankami pociągał od północy zimny wiatr, wieczorem kładły się dookoła gęste, ciężkie, żółte jakieś opary, a mgły wilgotne tamowały oddech w piersi.

W taki to wieczór trzej parobcy, uzbrojeni w tęgie koły, człapali przez błotną ulicę wioski, zdążając ku chacie matki Szymka. Wiedzieli oni dobrze, że syn odwiedzał matkę co wieczora, że przesiadywał tu po kilka godzin i dopiero pod noc wracał do dworu.

Gdy Julian, po kolacyi i pogawędce w gronie rodzinnem, wracał około dziesiątej godziny do siebie do oficyn, zastawał już zawsze Szymka przy samowarze.

Chłopiec pilnował dokładnie tej pory i nigdy się nie spóźnił, wiedział bowiem, że Julian lubiał wypijać jeszcze u siebie regularnie dnia każdego trzy szklanki herbaty, które co pół godziny trzeba mu było podawać.

Więc i dzisiaj, gdy zbliżała się dziewiąta godzina, pożegnał matkę i — choć bardzo było ciemno i mglisto na dworze — nie poszedł groblą na most koło młyna — lecz skierował się ku kładce na strudze, skąd przez pola i sad skracał prawie o połowę odległość do oficyn.

Ci trzej, którzy obiecali mu porachunek i poczęstunek, ukryli się koło kładki za grubym pniem brzozy, ściskając w gorących dłoniach potężne kostury.

Szymek, nie przeczuwając nic złego i niespodziewając się zasadzki, szedł wesoło, raźnym krokiem, pogwistując. Ponieważ ścieżka była oślizłą — i prowadziła z lekkiej wyniosłości na dół — więc wziął ze sobą kawałek sękatego kija — którym miejscami podpierał się.

Tak doszedł do kładki i minął brzozę, nie widząc zbirów ukrytych. Zanim wstąpił na deskę, która łączyła oba brzegi strugi, mając liche tylko oparcie z jednej strony, stuknął naprzód dwa razy kijem o kładkę.

W tej chwili jednak usłyszał za plecyma głośny szmer, a potem głuchy, niski świst przerzynanego gwałtownie powietrza. Równocześnie prawie poczuł silny ból w lewem ramieniu, a ostry krzyk rozdarł powietrze:

— Bij! zabij! psiawiarę — chrunia!

Jednym skokiem znalazł się na środku kładki, która zachwiała się niebezpiecznie.

Napastnicy rzucili się za nim z ochrypłym krzykiem przekleństwa. Pod ciężarem czterech ciał ludzkich kładka mocno się ugięła i zatrzeszczała.

Szymek zrozumiał sytuacyę. Wiedział, że to napad, że trzeba się bronić; wiedział czyja ręka godzi nań — nie znał tylko ilości tych rąk i nie znał uzbrojenia napastników. W jednej chwili zdał sobie także sprawę i z tego, że bolesne uderzenie, które otrzymał w ramię chybiło celu, że było ono przeznaczone dla jego głowy i że tylko ciemności nocy zawdzięczał swoje ocalenie.

Więc zgrzytnął zębami, syknął z bolu, w oczach zamigotał mu niedobry płomień. Odwrócił się i czekał na środku kładki napastników, ściskając sękatą laskę w prawej ręce.

Ci, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, uderzyli nań z impetem. Na jedno mgnienie oka związały się ze sobą dwa kije, potem broń napastnika furknęła w powietrzu, kładka mocniej się zachwiała i trzasnęła. Z przeraźliwym okrzykiem strachu i zgrozy, jedno ciało chlupnęło w wodę. Pod naporem jednak walczących złamana deska zanużała się coraz głębiej w mętne nurty wezbranej rzeczki.

Szymek pojął, że niema ani chwili czasu do stracenia, więc skoczył i jednym susem dostał się na przeciwny brzeg.

Pozostali dwaj napastnicy poszli w jego ślady i w szalonym rzucie, z piekielnym krzykiem wnet go dopadli.

Szymek mógł uciekać; noc była ciemna, choć oko wykol — on znał tu każdy kamyk — każdą grudkę ziemi — był trzeźwy, a od tamtych buchała wódka.

Szymek jednak był dzieckiem ludu; bolało go ramię, czuł krzywdę, rozumiał, że pragną go ubić jak psa, że radziby pochleptać jego krwi, więc zerwała się w nim dzikość jak huragan jaki, zalała mu mózg, wykrzywiła twarz i świstem wyrywała się z dyszącej piersi.

On będzie się teraz bronił; będzie bronił — ażeby módz samemu atakować i albo zginąć, albo ubić swych wrogów. Będzie się bronił, będzie wył, kąsał, choć lewe ramię straszliwie go boli, a ręka jedna prawie bezwładna.

Uderzyl więc na przeciwników swoich — i odrazu jednego tak dobrze kijem pogłaskał, że z wrzaskiem wypuścił swój drąg na ziemię, chwycił się rękami za głowę, potem zachwiał się i runął bez przytomności w błoto.

Widząc to trzeci i miarkując, że Szymkowi sam nie zdzierzy, jeżeli fortelu jakiego nie użyje, zgiął się w pół, chwycił drąg swój oburącz jak lance i w chwili, gdy raz miał paść na jego plecy — z całej siły pchnął Szymka ostrym końcem w okolicę żołądka. Nie ustrzegł się przezto przed uderzeniem, lecz zato Szymek jęknął, skurczył się konwulsyjnie, a usiłując daremnie schwycić w płuca powietrze, potoczył się i padł wreszcie jakby piorunem rażony twarzą do ziemi.

Teraz napastnik wyprostował się, a widząc wroga leżącego u stóp swoich, ze wściekłością hyjeny począł go okładać razami, pod którymi trzeszczały gruchotane kości.

Nie wytrzymał jednak długo w tej robocie, uderzenie, które otrzymał w plecy choć słabsze było, wnet go jednak ubezwładniło.

Więc stęknął i zatrzymał się. Powiódł okiem dokoła. Ciemno było na niebie i na ziemi, tylko wiatr jęczał dziwnie jakoś, rzeka wezbrana szumiała, od rzeki szedł ku niemu jakiś coraz bardziej oddalony i coraz słabszy głos, wołający ratunku, a na brzozie za strugą wrzeszczał puszczyk.

Więc zatrząsł się ze strachu, włosy zjeżyły mu się na głowie, rzucił drąg daleko od siebie i jakby gnany

jakiemi furyami, począł brzegiem strugi uciekać w stronę wsi, ku mostowi i grobli.

A za nim płynęło łkanie wiatru, przerywane coraz słabszem echem dalekiego okrzyku rozpaczy.

Później zaczął deszcz padać i tylko puszczyk, ukryty w gałęziach brzozy wołał raz po raz:

— Uhu! Uhu!

Odpowiadało mu wycie psów dworskich.

X.

— Co za szkaradny czas, jaka przykra noc... — skarżyła się Wanda, odprowadzając Juliana po skończonej wieczerzy i pogawędce przez salon do przedpokoju. Ten dźwięk głuchy, jaki wydają szyby pod uderzeniem kropel deszczu, przypomina późną jesień... a to dopiero początek września.

— Słyszysz, jak psy wyją? — zauważył Julian.

— Gdybym była zabobonną, nie zjawiłby się u mnie sen tej nocy. Że jednak to nieprzyjemne — przyznasz?

— Na szczęście żyjemy w dwudziestem stuleciu i wiemy, że komu zimno, mokro, a może i głodno, ten wyje.

— A jednak głos ten dziwnie nastraja i budzi uczucie jakby jakiegoś niewyraźnego lęku.

— Przypominają ci się bajki niańczyne o strachach, wilkołakach...

— Nie — przerwała Wanda — przypomina mi się zawsze to, co mówili dawniej starzy ludzie.

— Że to wróży nieszczęście...

— Tak.

Julian zaśmiał się głośno, lecz jakby w odpowiedzi, tuż prawie pod gankiem zawtórzyło mu przeciągłe wycie.

— Dobranoc ci — krótko pożegnała go Wanda — i jakby zmieszana cofnęła się do pokoju.

Wzruszył ramionami, wyszedł, zatrzasnął drzwi za sobą i począł nawoływać psy.

Zawsze biegły ku niemu na ten głos i łasiły się, dziś widocznie nie słyszały go, albo uciekły — bo za małą chwilę przeciągłe ich wycie słyszał już gdzieś koło ogrodu.

Nie zastanawiał się nad tem dłużej i wszedł do siebie. Zdziwiło go to, że w sypialnym pokoju było ciemno. Zawołał kilka razy na Szymka — a gdy mu nie odpowiadał, pomyślał, że jeszcze ze wsi nie wrócił. Zapalił sam lampę i czekał.

Mijał kwadrans za kwadransem — uderzyła dziesiąta — nareszcie pół do jedenastej.

Zadzwonił na chłopca kredensowego, zły, że Szymek, nie opowiedziawszy się, tak go bez herbaty i usługi zostawił. Chłopak nie zaraz nadszedł, — a Julian obaczywszy zaspanego i ziewającego, kazał mu pościelić łóżko i zaraz potem odprawił.

Wcześniej, niż zwykle, położył się i zgasił światło.

Deszcz ciągle dzwonił o szyby, czasem wiatr jęknął koło okapu, a w chwilach ciszy dolatywał daleki głos puhacza i niewyraźne echo krótkiego naszczekiwania i skomlenia psów.

Był czegoś rozdrażniony; nie mógł usnąć — on — co skłaniając głową do poduszki zwykł był zawsze zasypiać kamieniem.

Myślał o Dębowcu, o ojcu, o Wandzi, o tych nowych drogach, wytyczonych dla przyszłego życia. Cieszył się, że wielkie dzieło odrodzenia już zapoczątkowane, że nowy porządek rzeczy w kraju zastanie ich także odpowiednio przygotowanych. Obiecywał sobie bardzo wiele z akcyi, którą ojciec miał rozwinąć między obywatelstwem, celem skłonienia ziemian do wprowadzenia u siebie zasady ubezpieczenia służby na starość i w razie niezawinionej nieudolności do pracy. Czuł, że jest to dźwignia, która pociągnie masy ku dworowi.

Potem zamigotały mu przed oczyma sylwetki Jana i Lizy.

Co oni zrobią z Jarkowem? Czy nie zechce Jan eksploatować cynku i żelaza? W tych dniach powinien nadjechać, zapowiedział swój przyjazd.

Czy przyjedzie i Liza? Tyle razy zapewniała go, że musi odwiedzić Polskę, a zwłaszcza rodzinne strony babki.

A jak ona patrzała temi niebieskiemi oczyma w chwili, gdy o tem mówiła!... Piękne ma oczy... takie słodkie... takie łagodne... takie głębokie...

Zasypiał... a zasypiał już po raz drugi w życiu zapatrzony w te oczy. Śnił.

Lecz niebo, które widział, wkrótce zasnuło się chmurami. Oczy łagodne zniknęły, rozwiały się, i zobaczył, że stoi sam jeden, samotny na obszernem polu.

Pole było puste; nie widać było żadnej wyniosłości, żadnego krzaczka; jak daleko okiem mógł zasięgnąć, wszędzie rozciągała się równa płaszczyzna, pokryta rdzawą, spaloną trawą. Słyszał tylko, że gdzieś w oddali szumiała jakaś wielka rzeka, lecz wód jej widać nie było, tylko brudno czerwone chmury, kłębiły się w tej stronie, blaskiem dalekiego pożaru oświecone.

Im dłużej stał na tem polu i im dłużej wsłuchiwał się w ten szum, tem głębszy smutek padał cieniem na jego duszę i przygniatał go swoim ciężarem. Po chwili zauważył, że owe skłębione chmury posuwają się ku niemu, — że szum ów głuchy zmienia się powoli w jakieś płacze i jęki, że nad głową jego zrywa się szalona burza, że błyskawice przerzynają powietrze — i uderza piorun.

Zbudził się. Odetchnął ciężko. Lecz cóż to? Przecież nie spi już — a jęki i płacze nie ustają.

Słyszy wyraźnie — to pod drzwiami jego — to jęk ludzki i dziwne jakieś skomlenie psa.

Więc zerwał się, zaświecił i tak, jak stał — otworzył drzwi do sieni.

— Przebóg! — cofnął się przerażony na widok tego, co obaczył.

Pod progiem leżała jakaś bezkształtna, okrwawiona i obłocona masa ciała ludzkiego, wydająca ciche jęki ze siebie.

Stary Bekas lizał krew płynącą i skomlał żałośnie.

— Co to jest? — krzyknął.

Odpowiedział mu głośniejszy jęk i zawodzenie psa.

— Kto to — dla Boga? — powtórzył, schylając się.

Teraz spotkał straszny, lecz błagalny zarazem i niewysłowienie cierpiący wzrok człowieka.

Poznał ten wzrok i, stawiając świecę na ziemi, rzucił się z krzykiem naprzód:

— Szymku — to ty!? dla Boga! — co to się stało?

I porwał jęczącego na ręce — nie zważając na nic — ani na błoto, ani na krew ociekającą, zaniósł jak małe dziecię do pokoju i złożył bezkształtną masę na swojem łóżku.

Poczem z całej siły zaczął targać dzwonkiem, alarmując kredens a pośrednio i wszystkich we dworze.

Widział przed sobą nieszczęście, czuł, że się stało coś strasznego.

Ubrał się szybko. Nim służba z kredensu nadbiegła, on wyleciał już naprzeciw nich i krzyczał:

— Natychmiast niech Stefan zaprzęga do wózka i goni do miasta po lekarza, co konie mogą wyskoczyć. Jędrzej niech osiodła kasztanka i niech natychmiast przychodzi po rozkaz.

Na folwarku wszczął się ruch. Zaczęły światła migać, ludzie się nawoływali, dopytywali ciekawie, co się stało. Błysnęło także w pokoju ojca, a na chodniku, łączącym dwór z oficyną, zamigotała jakaś postać w bieli.

Była to Wanda, która pierwsza nadbiegła, bez tchu prawie, blada jak płótno, z przerażeniem w oczach.

Nie puścił jej Julian do nieszczęśliwego Szymka.

— Wróć się Wandziu — prosił, tuląc jej dygocące i zimne rączki w swych gorących dłoniach —

wróć się — zanadto przykry widok byłby dla ciebie. Biedny mój Szymek...

— Więc to Szymek... — z ulgą w głosie szepnęła.

— Tak, Szymek, cały połamany i we krwi — dokończył.

Zasłoniła twarz rękami.

— Co się stało?

— Nieszczęście. Więcej nic nie wiem.

Nadszedł ojciec. Wanda powróciła do siebie, dziękując Bogu z gorącej duszy, że to nieszczęście, jakie się stało, ominęło brata.

P. Dębowski mocno się zasępił na widok biednego Szymka.

— Posłałeś po lekarza?

— Tak — przed chwilą pojechał. Prócz tego czeka konny posłaniec.

— Sądzisz więc?...

— Że trzeba dać znać żandarmeryi...

— A więc twojem zdaniem — to nowa zbrodnia? — ponuro spytał ojciec.

— Nie wiem na pewne; lecz wiele danych za tem przemawia. Wczoraj było zebranie na wsi... na Szymka dawno już mieli oko niechętne.

— A cóż chory?

— Przywlókł się pod drzwi moje i jęczał. Zbudziłem się i wniosłem go tutaj. Teraz jest nieprzytomny. Trzeba czekać na lekarza.

Jakoż nad ranem dopiero przybył tak niecierpliwie oczekiwany lekarz.

Sprawdził złamanie trzech żeber i obojczyka, zgruchotanie lewej nogi poniżej kolana i niezliczoną moc sińców i guzów.

Zażądał pomocy drugiego lekarza — specyalisty. Zatelegrafowano do Lwowa.

Tymczasem przybyły zrobił, co mógł zrobić; rozebrał, oczyścił i ułożył chorego, kazał kłaść zimne okłady, przytomność jednak Szymkowi nie powracała i dziwnie ciężki a urywany miał oddech.

— Co pan wnioskujesz? — spytał Julian.

— Wypadek bardzo ciężki; że jednak głowa nienaruszona, więc może będzie żył, jeżeli wewnątrz niema jakich poważniejszych obrażeń. Niepokoi mię tylko oddech chorego.

— Czego może być objawem?

— Wewnętrznego obrażenia. Otrzymał bowiem, jak świadczy siniec i opuchnięcie, silny uraz w okolicę żołądka. Uderzono go tępem jakimś narzędziem, i to tak silnie, że gdyby nie klamra mosiężna paska — na której cios się zatrzymał, byłby zginął na miejscu.

— Więc pan się obawiasz...?

— Czy nie pękła przepona.

Tymczasem rano już ze wsi przyszły wieści, że pod mostem koło młyna woda wyrzuciła topielca, że koło zerwanej kładki na strudze, na zrytem, stłoczonem a okrwawionem miejscu znaleziono bezprzytomnego parobka z rozwaloną głową.

Żandarm był właśnie na wsi, więc zaczął na własną rękę czynić dochodzenia; zjawił się wkrótce i we dworze, a zebrawszy wszystkie dane, wpadł łatwo na trop trze-

ciego uczestnika wyprawy na Szymka, odszukał go wnet między sągami w lesie i aresztował. Gdy popołudniu przybyła komisya śledcza, sprawa całego napadu była już dokładnie w ogólnych zarysach znaną. Aresztowany wyspiewał wszystko, składając naturalnie całą, a przynajmiej największą część winy na topielca i tego drugiego, który dogorywał.

Z Szymkiem także nie było dobrze. Przybyły pod wieczór ze Lwowa specyalista — ogipsował nogę — złożył złamane żebra i obojczyk; skonstatował jednak zarazem silne przekrwienie żołądka i ogólne nadzwyczajne osłabienie, wskutek ogromnego wybuchu krwi, spowodowanego uderzeniem w brzuch.

Chory w nocy dopiero odzyskał przytomność.

Julian nieodstępował go na krok jeden. Gdy obaczył, że kochany jego chłopiec otworzył oczy i patrzy przytomnie, nachylił się nad nim i spojrzał nań głęboko i nad wyraz życzliwie.

Szymkowi w jednej chwili oczy zwilgotniały, chciał się poruszyć, lecz stęknął tylko — i dwie wielkie, gorące łzy stoczyły się po bladej jego twarzy.

— Cicho Szymku! Cyt! Nie można się ruszać — nie wolno płakać, ani myśleć o tem, co było. Wyobraź sobie, że jesteś tym małym chłopcem, którego wyniosłem przed laty z topieli i uratowałem. Bądź dobrej myśli — i cyt! Uratuję cię drugi raz — przysięgam!

I mocno wzruszony pogłaskał go po twarzy; potem odwrócił się i odszedł, oddając chorego w opiekę sprowadzonej siostrze miłosierdzia.

Dotrzymał przysięgi — a dopomogła mu w tem silna i zdrowa natura chorego.

W tydzień później orzekli lekarze, że Szymek żyć będzie. Dzień ten był dniem ogólnej radości we dworze dębowieckim, a skończył się chwilą prawdziwego tryumfu.

Oto wieczorem, po skończonej robocie, cała służba dworska pod przewodnictwem Rogowskiego zebrała się koło ganku pod oknami kancelaryi pańskiej.

Nikt ich nie ciągnął, nikt nie przywoływał; przyszli sami z własnego popędu, patrząc przez cały tydzień na to, co dwór czynił, ażeby uratować życie jednego z nich. Widzieli przyjeżdżających i odjeżdżających lekarzy, zwozili stosy całe opatrunków, dwie siostry miłosierdzia na przemian czuwały u łoża chorego, i pan i panicz, pani i panienka, po kilkanaście razy dziennie zaglądali do oficyn; dawano dwa razy na mszę świętą, widzieli jaką poczciwą radością zajaśniały wszystkim twarze — gdy wreszcie lekarze powiedzieli: uratowany.

Przez ten tydzień coś powoli ale statecznie tajało w tych twardych sercach, pękała lodowa skorupa, — do duszy przedostawało się jakieś ciepłe i ożywcze tchnienie, ludziska serdeczniej zaczęli patrzeć sobie w oczy, przed panami ze dworu usuwali się z dziwnem jakimś uszanowaniem, z wyrazem skruchy i jakiejś tajonej wdzięczności. Szeptano coś między sobą, dziwiono się, kiwano głowami, przytakiwano. Praca na folwarku szła cicho, regularnie, bez przynagleń, z jakąś ochotą i z nieznaną dotąd siłą naprzód. Nie było skarg, zażaleń; nie było szkody lub krzywdy.

Gdy nareszcie rozeszła się wieść, że Szymko żyć będzie, taka radość błysnęła u wszystkich w oczach, że aż jakby na pociechę i niebo się pogodą zaśmiało, i po tygodniu szargi, złote promienie słońca znowu oblały przemokłą ziemię.

— A co mi powiecie — wychodząc na ganek — spytał zebranych p. Dębowski.

Wystąpił naprzód najstarszy fornal, bywalec w świecie i człek nie dzisiejszy — i tak się odezwał:

— Przychodzimy ci podziękować wielmożny dziedzicu — za twoje dobre serce, za twoją łaskę i zmiłowanie nad dolą naszą. Mówią, że służbie źle u panów, że dzieje jej się krzywda, że panowie wyssaliby z niej wszystką krew i duszę nawet zaprzedali, ażeby tylko wykorzystać pracę jej rąk. Może tak gdzie jest na świecie, ale nie u ciebie wielmożny dziedzicu, nie u ciebie nasz dobry panie i ojcze. My tu widzimy co innego, i dlatego przychodzimy ci powiedzieć, że z tobą chcemy żyć i umierać, że z tobą chcemy pracować na zawsze; bo coś ty, wielmożny dziedzicu, uczynił dla jednego z nas, to tak, jakbyś dla nas wszystkich już uczynił.

Z łaski twojej Szymon będzie zdrów, więc dziękujemy ci, wielmożny dziedzicu, i za niego i za siebie. Żyj i ty nam jaknajdłużej.

Cisza zaległa; tylko czerwone liście wina lekko drżały i krople dżdżu z szelestem padały na kamienną posadzkę.

Pan Dębowski był bardzo wzruszony i bardzo blady; czerwone powieki drgały mu tak silnie, że nie mógł

niemi zasłonić ognia, co gorzał młodzieńczym blaskiem w starych jego oczach.

W otwartych drzwiach ganku stała Wanda i płakała.

Zmógł się wreszcie stary, odetchnął głęboko i rzekł z powagą:

— Nie moja to łaska — lecz tego Stwórcy Najwyższego, który kieruje nietylko losami całego świata, ale i życiem każdego człowieka — że Szymon uratowany, i—da Bóg, że zdrów będzie .Robiłem, co mogłem i co mi mój obowiązek nakazywał, a środki materyalne pozwalały.

Tak jak jego — ratowałbym i każdego z was, gdyby broń Boże niezasłużone nieszczęście spadło na niego. Możecie być pewni, że zawsze będę ojcem tym, którzy, synowskim sercem przywiązani do tej ziemi, zechcą ze mną razem pracować na kawałek chleba.

Wierzę, że będziecie chodzić zawsze prawą drogą, i że odtąd żyć będziemy w zgodzie. Dziękuję wam serdecznie za tę przyjemną chwilę.

Cisnęli się teraz tłumnie, ażeby ucałować jego starą i poczciwą rękę.

A gdy odeszli, a on zwrócił się ku drzwiom, spotkał drżącą i nad wyraz wzruszoną córkę, która ocierała łzy.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Ach! ojcze mój — drogi, serdeczny, ukochany, tuląc się do jego piersi — szeptała, widziałam cud, widziałam i słyszałam coś takiego, czego się nigdy nie zapomina. Bóg nam błogosławi. Szkoda, że jego tu niebyło.

— A jednak — dziecię moje — on to był z nimi — ten mój syn ukochany. On pokierował tą wzburzoną falą! Chodźmy do matki; dzień dzisiejszy, to jeden

z najpiękniejszych dni naszego życia, to wielki, słoneczny dzień Dębowca, to początek nowego porządku rzeczy.

I ręka w rękę poszli przez pokoje w głąb domu.

. . . .

To, co się działo we dworze, echem silnem odbiło się także i na wsi, a zwłaszcza poruszyło głęboko tych, którzy dotąd nie dali się obałamucić i nie ulękli rozkładczej agitacyi.

Z jednej strony namacalny dowód dzikości, jaki się objawił w napadzie na Szymka, który dotąd tak jak nic, albo bardzo mało co mieszał się do roboty prowadzonej wśród ludu; z drugiej zaś strony ciągłe aresztowania, procesy i wywołany tem stan gorączkowy w gminie, która kosztem jutra i chleba powszedniego, traciła czas na szamotanie się z jakiemiś marami — natchnęły odwagą miejszość dotąd spokojną. Postanowiła ona sprawę poruszyć na radzie gminnej — i bądź co bądź koniec raz położyć bezkarnemu warcholeniu, judzeniu i agitacyi, która dotychczas tylko szkodę gminie i jej mieszkańcom przynosiła.

Dzięki też energii i przytoczonym dowodom przez tę miejszość, która zimno a rozsądnie wskazywała na wszystkie straty materyalne, na biedę a nawet i nędzę, jaka grozi wielu członkom gminy, wskutek tego, że całe lato stracili na politykowaniu zamiast przy pracy; uznano wreszcie prawdziwość zasady: *nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje*", i postanowiono odtąd nie dawać tak łatwego przystępu różnym agitatorom i nie skłaniać ucha do lada jakich podszeptów, zwłaszcza, że do wyborów na pod-

stawie nowego prawa było jeszcze daleko, i to tak daleko, że sto innych bied i nieszczęść mogło sobie przedtem szczęśliwie we wsi pohulać. Praktyczni, zaczęli obliczać, co gmina straciła wskutek strejku, procesów, terminów i ciągania się świadków po sądach — ile wydali na gazety, broszury i różne pisma, ile poszło na różne składki do rozmaitych funduszów — a z tego wszystkiego co? Ot — nowy proces — jeden topielec — dwóch ciężko pokaleczonych — a jeden z nich całkiem niewinnie w dodatku. Zresztą nic więcej! Pan jak siedział we dworze, tak siedzi, a nawet mówią, że teraz lepiej siedzi; u chłopa jak była bieda, tak i dalej jest, a tylko za jego pieniądze, agitatorzy dobrze przez całe lato jedli i pili — a nawet podobno za broszury tyle pieniędzy nazbierali, że sobie ładne kamienicy budują.

— Przecież i ten panisko nie taki zły, jak się zdaje, mówili niektórzy, kiwając głowami; — czego on nie robił, ażeby ratować tego Szymona. Każdemu z nas dawnoby już byli ziemią oczy przysypali — a on się wylizał i żyć będzie.

A taki on chłop, jak i my wszyscy.

Inni znów zaczęli przypominać, że taki to lepiej gminie było, gdy z dworem dobrze i w zgodzie żyła, i gdy dziedzic był wójtem. Był spokój, porządek, bieda nie zaglądała do wrót, można było się poratować. Wprawdzie pan był ostry, a czasem przykry nawet, i nie darował nigdy przestępstwa, a zwłaszcza kradzieży lub szachrajstwa—ale co sprawiedliwy był, to sprawiedliwy.

Więc zwolna zaczęła się oczyszczać atmosfera; powracał rozsądek na swoje miejsce do głowy, a jak-

kolwiek młodsze pokolenie, jako gorętsze i burzliwsze, to tu, to tam zrywało się jeszcze z krzykiem, jak to ptactwo, co obsiadło żerowisko, to jednak porywy te były coraz rzadsze i zaczęły w końcu przechodzić bez wrażenia silniejszego—zwłaszcza, gdy los reformy wyborczej uważać można było jako zdecydowany i—gdy wiedziano już prawie na pewne — że z wiosną odbędą się powszechne wybory.

Przed wiosną była jednak zima.

Zima ma także swoje prawa.

Dyktuje je czasem strasznie i nieubłaganie.

Nim wiosna ludu przyjdzie — trzeba ją przyjąć, i przeżyć z nią długich kilka miesięcy.

Zaczęto więc tłumnie krzątać się i spieszyć za zarobkiem, zwłaszcza, że dwór z własnego popędu ceny na korzyść pracowników uregulował i nowy cennik ogłosił.

XI.

Nareszcie niebo wyjaśniło się i nastała tak długo oczekiwana pogoda. Polska jesień, choć spóźniona, rozpostarła nad krajem swoje srebrne skrzydła.

Drogą z miasteczka od dworca kolejowego, w tumanach kurzu dudnił i podskakiwał na kamieniach wózek żydowski, zaprzężony w jednego jasnokościstego konia.

Na wózku siedział podróżny, ubrany w elegancki, popielaty prochownik, zapięty aż pod szyję. Na głowie miał kapelusz jasny z dużemi kresami, które nasunął i zgiął nad oczy, osłonięte szaremi okularami, chroniąc się od rażącego blasku południowego słońca.

Lekki wiatr igrał z jego długą, blond brodą — rozwiewając ją jakby wiechciami, to w tę, to w ową stronę.

Podróżny widocznie był nietutejszy, bo z ciekawością przeglądał się okolicy, zwracał głowę na boki i poza siebie, wypytując woźnicę o rozmaite szczegóły otoczenia.

— To jest Dębowiec, wskazując batem na lewo, mówił żydek, odpowiadając na pytanie, tam mieszka bardzo rarytny pan z młodym paniczem, co jest wielkim doktorem aż z zagranicy, ale chorych nie chce leczyć. Oni są bardzo dobre państwo — bardzo uczciwe; ale najlepsza to jest tam panienka, co ma swoją fabrykę.

— Jaką fabrykę?

— Nu — ja tego nie wiem jaką, ale ludzie mówią, że ma fabrykę — to ja to powtarzam, co ludzie mówią.

— Ależ przecie — co to jest takiego? powtórzył pytanie zaintrygowany podróżny.

— Przepraszam wielmożnego pana — ale pan pewnie nietutejszy — i pan będzie się śmiał.

— Z czego?

— Z tego, co panienka robi w tej fabryce?

— A to czemu?

— Nu — bo to jest śmieszne, że taka panienka ma taką fabrykę.

— Powiedzże raz wszystko — cóż ona wyrabia?

— Ona wyrabia kurczęta?

— Co takiego?

— Abym tak zdrów był, same kurczęta; może tysiąc, może więcej, wyrabia co tygodnia; i to wszystko idzie na kolej. To bardzo dobra panienka — ja na szabas zarabiam u niej zawsze dziesięć koron, bo ja zawsze w piątek cały dzień odwożę jej prózne paczki.

— Aha! to w Dębowcu jest sztuczna wylęgarnia — zaśmiał się podróżny.

— Ja nie wiem proszę pana—jak to się nazywa— ale ludzie nazywają to: fabryka. Zresztą pan sam zobaczy.

— Wio — wio — kaparnik — zwracając się dalej do konia, zakończył rozmowę żydek, bo wjeżdżali już na dziedziniec.

— Stój! zawołał podróżny.

Woźnica stanął i oglądnął się zdziwiony.

Przybyły wyskoczył z wózka, zrzucił szybko prochownik, przygładził brodę, poprawił okulary, odgiął krysę kapelusza, spojrzał dookoła i kazał czekać tutaj na siebie.

Następnie skierował się ku widniejącemu w dali dworowi.

Żydek patrzał za nim, a potem skręcił trochę na bok, dał koniowi siana i mruknął:

— Nu — to pewnie kupiec do fabryki.

Tymczasem podróżny w pół drogi do dworu natknął na Szybalską.

Zmierzyła go stara klucznica krytycznym wzrokiem, i widocznie osądziła, że to nie do dworu gość — lecz najniezawodniej klijent Wandy, bo wskazała ręką drogę do fabryki i powiedziała:

— Tędy panie — za ten budyneczek!

Podróżny chciał o coś zapytać — czy zaprotestować, bo zatrzymał się chwilę — i usta już otwierał — ale tymczasem stara zadzwoniła kluczami i znikła.

Rad więc nie rad, skierował się we wskazaną stronę.

Okrążył budyneczek i znalazł się przed drzwiami, nad któremi widniał napis: Kancelarya.

Zapukał i na zaproszenie wszedł.

Znalazł się w niedużym pokoju — w którym panował ład i porządek. Na środku był długi stół, na nim kilka książek i dużo papierów, z boku dwie szafy, przy stole kilka krzeseł. Na jednem siedziała Wanda, pochylona nad książką. Obaczywszy wchodzącego nieznajomego mężczyznę, odłożyła pióro i podniosła się.

W jasnej, wełnianej, obcisłej sukni z krótkimi rękawami, w białym fartuszku, z poważną twarzą o lekkiej bruździe na wyniosłem czole, o czarnych, pytających i głębokich oczach — stała tak w świetle srebrnych promieni słonecznych, wpatrzona przez chwilę w przybyłego.

On zatrzymał się w progu, jakby nagle olśniony zjawiskiem, które obaczył, potem chciał się cofnąć i już miał wyrzec słowa przeproszenia, gdy go uprzedziła pytaniem:

— Czem mogę panu służyć?

Na dźwięk jej głosu, poprawił szkła, postąpił naprzód i kłaniając się głęboko — powiedział z pewnem zakłopotaniem:

— Przepraszam panią najmocniej, lecz źle mię tutaj posłano. — Jestem Jan Plitz.

Ona usłyszawszy głos z akcentem niemieckim, lekko się z początku zchmurzyła, gdy jednak przybyły wypowiedział nazwisko swoje — pojaśniało jej oko.

Więc wskazując ujmująco krzesło, powiedziała:

— Pan Plitz! Jakaż to niespodzianka, brat mój codziennie z niecierpliwością oczekuje pana.

Ukłonił się poraz drugi głęboko, lecz miejsca nie zajął.

— W takim razie los poczciwy pozwolił mi złożyć najpierw swoje uszanowanie siostrze Juliana, pannie Wandzie Dębowskiej.

Zarumieniła się lekko.

— Przepraszam pana bardzo, że się nie przedstawiłam, lecz nie spodziewałam się obaczyć go tutaj, gdzie przyjmuję tylko interesantów. Pan pozwoli...

Otworzyła drzwi, wiodące do drugiej izby, zawołała służącą i zadysponowała:

— Zaprowadź pana do oficyn — do pana doktora.

Ukłonił się poraz trzeci.

— Jeszcze raz panią najmocniej przepraszam, że przerwałem pracę; lecz nie z mojej winy...

Uśmiechnęła się.

— To ja właściwie powinnam pana przeprosić, za tych, którzy ci mylną drogę wskazali. Czynię to niniejszem i proszę na obiad.

Podała mu rękę, którą on delikatnie ujął i czwarty raz się ukłonił.

Wyszedł i za chwilę był w objęciach Juliana.

— A niedobry — nic nie napisać, że przyjeżdżasz, a ja czekam i czekam! Gdzież twoje rzeczy — gdzie konie? Jak się tutaj dostałeś z dworca? A skaranie Boże z tym Niemcem! — krzyczał Julian, ściskając raz po raz Jana i sadowiąc go wreszcie w fotelu.

— No mówże — gadaj drogi mój! Cóż tam matka, siostra, co moje zbiory — jak się ma profesor? Ależ do licha, co ci jest, czemu nic nie odpowiadasz?

Jan tymczasem, zamiast odpowiadać na ten cały potok słów i zapytań, zdjął okulary i przecierał oczy białą i delikatną ręką.

— Poczekaj — wyrzekł wreszcie — mam lekko sparaliżowany nerw oczny; niech przyjdę do siebie. Macie bardzo niebezpieczne słońce w Polsce.

W progu pokazał się żydek.

— Proszę pana, jabym może odjechał? prosił.

Julian rzucił się.

— Co? ty jego wózkiem i jego koniem przyjechałeś? Ależ to wstyd doprawdy!

— Nic mi się przecież nie stało. Nie miałem czasu telegrafować — zresztą po co?

— Mogłeś kości połamać! Możesz się rozchorować!

— Kości, jak widzisz, nie połamałem; a czy chory nie będę — za to reczyć nie mogę. Nielitościwe bowiem macie tu słońce.

A potem rozkazał woźnicy znieść rzeczy i odprawił go.

— Czy ci doprawdy co dolega? — zapytał zaniepokojony Julian.

Jan się szczerze i wesoło roześmiał.

— Ależ żartowałem tylko; jestem zdrów jak ryba. Tylko musiałem nieco odetchnąć. Panie zasyłają ci pozdrowienie. Są w Krakowie.

Julian zrobił ogromne oczy.

— W Krakowie?

— Wiedziałem, że cię to zdziwi. Ale co było robić z Lizą; w ostatniej chwili uparła się zwidzić rodzinne strony babki i postawiła na swojem. Byliśmy w Tarnowie i w Cygach, a potem despotyczka kazała się odwieść do Krakowa, gdzie wraz z matką oczekuje mego powrotu z Dębowca.

Cóż ty porabiasz — kiedy wracasz?

Po czole Juliana przeszła jakby daleka chmura.

— Pomówimy o tem jeszcze; wrócę — ale po to, ażeby zabrać swoje zbiory.

— Więc postanowiłeś już?

— I to nie odwołalnie. Gdy się tylko ułatwię tu w Dębowcu, zaprzęgnę się w kraju do pracy. Zostawmy jednak o tem rozmowę na później. Teraz zaprowadzę cię do twoich pokoi. Czekają na ciebie. Może zechcesz się przebrać; wnet będzie obiad.

Zadzwonił; zjawił się chłopak, wziął rzeczy — a w pół godziny później, obaj panowie szli do dworu, gdzie już wiedziano o przybyciu gościa z zagranicy, i gdzie go oczekiwano.

Jan był bardzo mile zdziwiony uprzejmością państwa Dębowskich. Tyle się nasłuchał różnych wersyj o dumie i nieprzystępności Polaków, — tyle naczytał o ich arogancyi! Jakoż chwilami wprost wierzyć nie chciał, że znajduje się przy jednym stole z wysoko urodzoną rodziną szlachecką, że ten ujmująco grzeczny gospodarz domu, to karmazyn, któremuby nie zaimponowała i mitra książęca, że ta dobra i uśmiechnięta gospodyni domu, to matrona wielkiego serca, znana nietylko w całej okolicy ale i w kraju, że w końcu ta Wanda, lśniąca jak brylant w oprawie tego otoczenia, to ta — o której żydek mówił: że robi kurczęta, a której blask oczu poznał już i poczuł przed godziną.

Ożywioną rozmową i zajmującym sposobem opowiadania, starał się odwdzięczyć za tę uprzejmość, którą mu okazywano. Godzina zeszła nadzwyczaj prędko.

Panowie przeszli do pokoju gospodarza domu na czarną kawę i cygara.

Żywa i swobodna pogawędka przeniosła się teraz na temat reformy wyborczej, projektowanej w Austryi, a którą i w Niemczech bardzo się interesowano.

Jan objawił zdanie, że było wielkiem błędem taktycznym pod naciskiem ulicy przystępywać do tak poważnej roboty, że wskutek tego reforma, choćby i najlepsza — dzisiaj już nie zadowolni nikogo, a wielu będzie nią nawet głęboko pokrzywdzonych. Panowie Dębowscy trzymali się w rezerwie, nie wypowiadając w tym względzie stanowczego zdania, zgadzając się jednak w zupełności na to, że dzieło tak poważne jak reforma wyborcza, nie może być z rękawa wytrząśnięte.

Gdy się rozchodzili, rzekł p. Dębowski do Jana.

— Oddaję pana w opiekę memu synowi; w sprawie spadku po ś. p. Sokulskim poinformuje pana we wszystkiem, a ja jestem w każdej chwili do jego dyspozycyi.

Jan głęboko się skłonił i podziękował.

— Wiesz co — zagadnął go Julian, gdy schodzili z werandy, każę zaprządz i pojedziemy do Jarkowa?

— Zgoda -- potwierdził Jan.

W pół godziny potem siedzieli w wolancie, zdążając ku kamieniołomom jarkowieckim.

Tymczasem Wanda poszła odwiedzić Szymka — Chłopcu zajaśniały poczciwe oczyska prawdziwem szczęściem, gdy obaczył panienkę, wstępującą do jego izby.

— Jakżeż się czujesz dzisiaj? — zapytała.

— Och! tak dobrze — że się aż boję! — odpowiedział cicho.

— Będziesz wnet zdrów?

— Ja zdrów jestem, tylko wskutek tej nogi i ręki ruszyć się jeszcze nie mogę. A takbym już jutro chciał panience do nóg paść — dokończył i łzy mu błysnęły w oczach.

— Ani niech ci się śni o tem! Jeżeli nie będziesz posłuszny — to więcej tu nie przyjdę.

— Będę słuchał — szepnął.

— Pamiętaj — pogroziła mu. Przyjechał ten wasz Niemiec z Monachium — doktor Jan.

— Doprawdy! — zawołał Szymek. Ale to żaden Niemiec panienko; jego babka była Polką. To bardzo dobry pan; a jak on naszego pana doktora kocha!

— Tak?

— Przepada za nim, codzień do nas przychodził. Pan doktor często także bywał u państwa Plitzów.

— I ty tam także chodziłeś?

— Posyłał mię czasem.

— Czy oni w domu mówią po polsku?

— Pan Jan i panienka Liza mówią tylko po polsku, ale za to ich matka...

— Cóż ich matka?

— Przepraszam panienki, ale matka to tak mówi, że ja jej rozumieć nie mogę.

— Więc mówi po niemiecku.

— Nie to — bo ja przecież także po szwabsku gadam. Ona ma swoją własną mowę.

Wanda go zrozumiała; ona tak kaleczyła! A przecież to córka Polki! I smutno jej się czegoś na duszy zrobiło.

Z opowiadania brata znany jej był ten cały dramat rodzinny. Jan zrobił na niej dość sympatyczne wrażenie; teraz gdy się dowiedziała, że ze siostrą tylko po polsku rozmawia, wydał jej się jeszcze więcej pociągającym. Jan był zresztą bardzo przystojnym mężczyzną, a Wanda dotąd młodzieży prawie nie znała.

W okolicy jej nie było, z dalszych stron nikt się nie zjawiał. Dębowiec miał szarą hipotekę, którą rozjaśnić nie mógł choćby blask cudnych oczu panny Dębowskiej. Młodzież szlachecka goniła za złotem, za szelestem listów zastawnych, przyjmując krogulcze nosy lub zezowate oczy w rodzinne progi domowej pieleszy — byle tylko z prawdziwą i pełną kasą wertheimowską.

Nikt nie pytał kto, kiedy i w jaki sposób tę kasę napełnił Wystarczał zupełnie fakt, że była pełna. Papiery wartościowe mogły się pławić w brudzie, w błocie, choćby we krwi nawet — byle tylko były dobre i kurs miały wysoki. Reszta — fraszka.

Młodzież szlachecka porzucała także zagon ojcowski, brała odczepnego rentę i galopem goniła na posadzki przedpokojów rozmaitych biur prezydyalnych, chwytała się konwulsyjnie klamki urzędniczej, odgrywała poprawnie role karyerowiczów na tej nowej, wyścigowej arenie — i dobijała się złotych kołnierzy z taką pogardą tradycyj rodzinnych, przeszłości i ideałów narodowych, z takiem zaparciem się wszystkiego, co mogło przypominać Polskę lub Polaka, że w Wiedniu miano nadzieję wyłatać nią z czasem, zaczynający potrosze szwankować biurokratyzm austryacki. O wielu już naszych szlacheckich biuralistach mówiono, że to najtęższe

mózgi — no — i głowy, które najlepiej się nadają do brukowania wytyczonych dróg austryackiemu pochodowi cywilizacyjnemu.

Stare wilki szlacheckie siedziały jeszcze na wsi, wprawdzie nie w norach, ale w pałacach; wilczątka natomiast prawie z reguły chodziły już w złotej obroży i młode swoje, to najmłodsze pokolenie kształciły na prezydentów, hofratów, radców, a już cc najmniej na starostów.

Na wsi zostawały niedobitki, lub nieokiełzane natury. Nie dziw więc, że panna Dębowska młodzieży polskiej nie znała. Niedobitków w okolicy nie było; dla złotokołnierzowców zaś szlacheckich, były tu za wysokie progi — a za progiem nic — lub tak jak nic, boć panna w rachunek nie wchodziła.

Zanosiło się także na coś, co miało jeszcze bardziej odstraszyć ludzi od Dębowca; Dębowscy jednak o tem dotąd nie wiedzieli, a nawet nie przypuszczali.

Więc gdy pożegnawszy Szymka, szła ku swojej fabryczce, mimowoli myślą pobiegła w stronę Jarkowa, gdzie młodzi panowie, oglądając dziedzictwo, zajęci byli przedewszystkiem sprawdzaniem obfitości pokładów galmanu.

Julian wskazywał miejsca i rozciągłości terenów. Jan pragnął poznać głębokość pokładu. Więc zaprowadził go nad taką ubocz, gdzie była odkryta całkowicie jedna ściana. Jan aż klasnął w dłonie na ten widok.

— Skarby — nieprzebrane skarby! wykrzyknął. Dziękuję ci serdecznie za trud i za wszystko, coś mi dotychczas zrobił. Już postanowiłem!

I uścisnął silnie rękę przyjaciela.

— Co zamyślasz?

— Już postanowiłem! powtórzył Jan. Za rok będzie tutaj buchać dymem i ogniem huta cynkowa.

— Obliczyłeś wszystko? Opłaci się? z pewnem powątpiewaniem w głosie zapytał Julian.

— Czy się opłaci? Mój drogi, wiesz przecie, że nim co postanowię, to na zimno i z ołówkiem w ręce robię najpierw studya i liczę; a ponieważ ten rachunek powiedział mi: tak, więc będzie huta.

— Nie znasz ani stosunków tutejszych, ani warunków wśród których przyjdzie ci żyć i działać.

— Mam pieniądze, żelazną wolę — i energię potrzebną, rzekł zimno i z mocą, a to są trzy potęgi, przed których czarodziejską siłą korzyć się musi wszytko, przed których słowem ustępują wszystkie trudności i stosunki się naginają.

Julianowi, gdy go słuchał, rozjaśniała się zwolna twarz.

— Gdyby takich dziesięciu przynajmniej było w biednym naszym kraju, jakżebyśmy za lat kilka wyglądali, jakby się liczono z nami, jakie źródła bogactwa wytrysłyby z tej ziemi.

Poszli na pogorzelisko. Tu Jan dowiedział się o całej smutnej historyi śmierci Sokulskiego,. która na nim przykre uczyniła wrażenie.

— Gdzie jego prochy spoczywają? zapytał po długiej chwili milczenia.

— Widzisz ten krzyż czarny pod lasem?... Tam.

Julian myślał, że przyjaciel na mogiłę skieruje teraz kroki. On jednak, zamiast pójść naprzód, odstąpił

kilka kroków wstecz, potem się rozglądnął i wskazując ręką na znaczny obszar polany, rozciągający się po prawej stronie naprzeciw krzyża, powiedział:

— Tu wybuduję dom mieszkalny dla nas.

— Jakto dla nas?

— A cóż ty myślisz, że sam tu będę umierał, — lub co gorzej jeszcze gospodarzył przez pełnomocnika? Zlikwidujemy wszystko w Monachium i zniesiemy się tutaj. Dwom panom nie można służyć. A ponieważ tu jest dla mnie i dla mojej nauki pole do działania, więc tu wszyscy zamieszkamy.

— A matka?

— Popłacze, potęskni za swoją krawcową — lecz ręczę, że wnet się przyzwyczai do zmienionych warunków. Sądzę nawet, że będzie zdrowszą. Boję się tylko o Lizę.

— O siostrę się boisz? z ogromnym zdziwieniem zapytał Julian.

— Tak — ażeby dla niemieckiej swojej ojczyzny po ojcu na zawsze nie przepadła — z lekkim uśmiechem i powoli wyjaśnił Jan.

— Zdaje mi się, że i dzisiaj nie wiele już pociechy z niej ma. Więcej w twej siostrze krwi po kądzieli, niż po mieczu. Zostawiając jednak żart na boku, serdecznie się cieszę twojem postanowieniem i widzę już — jakie życie, jaką siłę i jakie dobroczynne światło wniesie wasz dom w szare nasze dzisiejsze stosunki społeczne tego zakątka.

— A jednak widziałem tu u was w Dębowcu coś—

co nie bardzo przemawia za szarzyzną waszą — starał się delikatnie zaprzeczyć Jan.

— Co masz na myśli?

— Rozwijający się przemysł domowy.

— Więc wiesz co o tem?

— Wiem dużo i widziałem nawet, bo najpierw byłem na terytoryum twej siostry.

I zaczął mu opowiadać to pierwsze spotkanie w kancelaryi na folwarczku Wandy.

Gdy rozmowa teraz zeszła na ten temat, Jan bardzo się ożywił, wypowiadał śmiało i jasno swoje zdanie w tym kierunku i rokował nadzwyczajne powodzenie w przyszłości.

Powrócili do domu. Tu Julian dał przyjacielowi do przeczytania spowiedź i ostatnią wolę nieboszczyka Sokulskiego i zostawił go z tymi papierami.

Sam siadł teraz na konia i pojechał do młyna nad strugę.

Był tam kawałek ogrodu dworskiego. Od tygodnia na ten ogród zwożono wiele materyału budulcowego, a cieśli obrabiali go z pospiechem, korzystając z pogodnego czasu. Już na pierwszy rzut oka można było poznać, że stanie tutaj porządny, wiejski dom o dwóch izbach, komorze i kuchni.

— A co, skończycie szkielet do soboty? zapytał Julian przewodnika majstra.

— Z pomocą Boską powinno się skończyć i wzniesiemy zrąb, byle tylko pogoda dopisała, odpowiedział. Potem to już pójdzie raz, dwa.

— Więc od poniedziałku przyszlę murarzy; gonty

przywiozą jutro. Pamiętajcie kochani, że do końca października musi być dom skończony i klucze do rąk moich oddane.

Potem oglądnął robotę szczegółowo, tu zganił, tam pochwalił i pożegnał pracujących. Skierował swe kroki ku młynowi.

Zastąpił mu drogę młynarz, który wyszedł był naprzeciw.

— Wielmożny panie, rzekł pokornie, zdejmując czapkę — czy to już musi być tak koniecznie? Czy pod żadnym warunkiem nie mogę dalej dzierżawić młyna?

— Nie mój Grzegorzu; — postanowienie zapadło nieodwołalnie. Pierwszych dni listopada musicie się wyprowadzić. Będziemy teraz na własny rachunek interes ten prowadzić.

— To możebym bodaj przez zimę tu został i na rachunek dworu pracował — prosił się Grzegorz. Taż to nie po ludzku, jak psa wyganiać człowieka pod zimę razem z żoną i dziećmi na chłód i głód.

Julian zmarszczył czoło. Grzegorz był jednym z najgorliwszych agitatorów w strejku. Warcholił tutaj już od dłuższego czasu, a mógł to czynić łatwo i bez rozgłosu. Do młyna miał każdy interes — a przy interesie i stuku kół można było niejedno załatwić, co nic wspólnego nie miało ani z mąką, ani z krupami. Nici prawie wszystkich intryg wiejskich schodziły się w młynie. Wiedzieli o tem we dworze i postanowili wrzód wyciąć.

— Nikt was przecie nie wyrzuca; kontrakt się kończy, a młyn jest nam potrzebny, powiedział, hamując się, ani my z wami ślubu nie braliśmy, ani wy na

wieki młyna w dzierżawę nie wzięliście. Taki człowiek jak wy, znajdzie wszędzie u swoich miejsce.

Podkreślił słowa: „u s w o i c h“, i spojrzał mu badawczo w oczy. I udało mu się podchwycić jedno jadowite spojrzenie, które sobie zapamiętał. Było ono tak wymowne, że wiedział wszystko.

Mielnik, jakby złapany na gorącym uczynku, skulił się, zwiesił głowę i powiedział jakby poskromiony i z żalem.

— Ha — to i co robić! Trzeba będzie pójść o żebranym chlebie. Niewola to nie rozkosz. Możeby wielmożny pan choć zlitował się i darował ostatnią ratę, zarobku nie było żadnego — rok taki ciężki!

— Z tem przyjdźcie do ojca do kancelaryi — to nie moja rzecz. Jak ojciec postanowi, tak będzie. Ale moją jest rzeczą — ażebyście jak najpewniej w terminie wyprowadzili się, bo młyn odbieram na siebie i ze mną wtenczas mielibyście do czynienia.

Chciałem wam to przypomnieć! Bądźcie zdrowi.

Siadł na konia i odjechał; a ciche przekleństwo poszło za nim. Ściśnięta pięść pogroziła mu z daleka.

Nie miał jednak jeszcze czasu spuścić ręki, gdy stał już koło niego Rogowski.

— Grozisz przechero! krzyknął mu nad uchem— grozisz! Pamiętaj synku, że gdyby się tutaj co niedobrego stało, gdyby się w młynie co popsuło, lub czasem niechcąc zaświeciło przed twoim odjazdem z tych stron — to pójdziesz braciszku w kajdanki. Teraz możesz sobie zdrów dalej grozić.

I zaśmiał się głośno a szyderczo.

Grzegorz spojrzał z podełba, skulił się we dwoje, zamarmotał coś pod nosem i znikł w młynie.

Ale Rogowski odtąd otoczył i jego i młyn jeszcze czujniejszem okiem.

XII.

Z pięciu dni, które Jan przepędził w Dębowcu, dwa pełne trzeba było poświęcić w mieście powiatowem sądowi, notaryuszowi i adwokatowi, któremu zastępstwo prawne w sprawie spadkowej oddano.

Że szczęśliwie wszystko i tak prędko pokończono, zawdzięczać należało temu, że papiery były w porządku i Jan grosza nie skąpił.

Wieczorem, piątego dnia pobytu, gdy przyszedł na herbatę, zagadnęła go Wanda:

— Więc powitać mogę w panu nowego sąsiada i współtowarzysza broni?

Pogładził brodę białą ręką i odpowiedział niskim głosem.

— W jednym szeregu z panią? Nigdy! — Wszak jestem dopiero rekrutem nowozaciężnym! Byłoby to już dla mnie wielką łaską, gdyby mi pani pozwoliła służyć pod swoim sztandarem.

Spojrzała nań zdziwiona.

— Nie wiem, czy byłby pan pod tym sztandarem ze służby zadowolony. Skromny jest.

— Nie mniej jednak potężny i trwały; jestem zaledwie dni kilka w Dębowcu, a widzę wszędzie nadzwyczajne zwycięstwo tego sztandaru. Zorganizowałaś pani swoje gospodarstwo jak najwytrawniejszy przemysłowiec.

— Nie wiem, co pan w tem widzisz nadzwyczajnego, robi się z ołówkiem w ręku i uczciwie — to i wszystko!

— Zapewne — dodawszy do tego spryt, zmysł spostrzegawczy, oko bystre, wolę silną—duszę gorącą...

— Przestań pan — bo utkniesz chyba na nieskończoności... zaśmiała się, a tymczasem to wszystko takie proste i naturalne.

— Niemniej jednak, łaskę mi pani wyświadczy, gdy pozwoli z wiosną bodaj zaglądnąć na swoje terytoryum.

— Z zaprzyjaźnionem mocarstwem trzeba żyć w zgodzie i czynić pewne ustępstwa; więc proszę — przybywaj pan sam, albo wyślij swego attaché — przyzwoliła łaskawie.

Był uradowany, więc odpowiedział tym samym tonem.

— Skorzystam z łaskawego przyzwolenia i nie ustąpię prędzej, aż poznam tajemnicę powodzenia.

— Nie tak to łatwo, jak panu się zdaje.

— Dołożę wszelkich starań, będę patrzał i słuchał za dziesięciu.

Zamyśliła się i spoważniała, a potem zapytała:

— Ale siostrę przywieziesz pan ze sobą?

— Bezwątpienia — jeżeli tylko matka zgodzi się na to i jeżeli nie nadużyję gościnności łaskawej.

— O! co to, to nie! Bądź pan zupełnie spokojny; zresztą Julian w mojem imieniu osobne zaproszenie zawiezie. Czy nieodwołalnie jutro odjeżdżacie?

— Tak pani. Depeszowałem już do Krakowa.

— Proszę mi brata nie zatrzymywać; on tu teraz bardzo potrzebny. Pan poznał przecie stosunki, wśród których żyjemy?

— Nie próżnowałem tych kilka dni i z łaski ojca i brata pani jestem prawie dokładnie poinformowany o wszystkiem. Rozwój stosunków tych będę śledził i dalej pilnie.

— Pan chce należycie poznać grunt?

— To konieczny warunek przyszłego powodzenia no... i... szczęścia, dokończył cicho. A jabym chciał być szczęśliwy.

Popatrzyła mu znów w oczy ciekawie.

— Pan bardzo szczery.

— A dlaczegoż miałbym być nie szczery? Zanadto przecie szanuję dom ten i panią. Zresztą szczerość moja dostraja się tylko do tonu tu panującego. Niezapomnę nigdy dobroci i łaskawości ojca, dowodów przyjaźni brata i cierpliwości pani.

— Mojej cierpliwości? Dlaczego?

— Że raczysz pani łaskawie mię słuchać! Od dni pięciu już kaleczę twe ucho moim akcentem, a to nieprzyjemna muzyka. Bieda z nienastrojonym instrumentem.

Zaśmiała się.

— W tym wypadku przyjmuje się chęć szczerą za uczynek, powiedziała wesoło. Gdy pan tu u nas zamieszka, nastroimy pana.

Wniesiono samowar. Zaczęła nalewać herbatę. Potem nadszedł ojciec, za nim za chwilę Julian. Wieczór zeszedł wesoło; ożywiona rozmowa przeciągnęła się do późna. Jan serdecznie jeszcze raz dziękował p. Dębowskiemu za trud, opiekę i wszystko, co uczynił w sprawie spadku.

— Niechże wam się jaknajlepiej szczęści z tym nowym dobytkiem, zakończył wieczór p. Dębowski, żegnając się z Janem. Cieszę się z przyszłego sąsiedztwa i wierzę w przyszłość Jarkowa.

Odjechali raniutko.

A nad Dębowcem świeciła cudną pogodą polska jesień; praca w polu — na folwareczku Wandy, robota około wzniesienia nowego domu nad strugą — wszystko szło raźnie i wesoło; jakiś duch nowy a lepszy wstępywał w całe otoczenie. Może to tchnienie pogodne niebios działało tak nastrojowo, a może szło już dalekie echo — tej przyszłej wiosny, co miała nad krajem zajaśnieć, a której tak wielu pożądało!

P. Dębowski zwijał się krzepko i raźnie; miał właśnie jutro przewodniczyć w mieście powiatowem na zjeździe ziemian, zwołanem, celem porozumienia się co do wspólnej i jednolitej akcyi w wielu sprawach dotyczących agraryuszy.

Wanda ze zdwojoną energią, jeżeli to być mogło, oddawała się swoim zajęciom. Pole działania rozszerzało się — zbyt był coraz większy. Czasem nie można było

nastarczyć zamówieniom. Wiedziała, że z wiosną będzie musiała przemysł swój rozszerzyć, a już teraz koniecznie potrzebywała ze dwie dobre pomocnice.

Ojciec miał się właśnie o nie w mieście postarać.

Szymon przychodził powoli do zdrowia; musiał jednak leżeć w łóżku — i męka ta miała trwać jeszcze długich pięć tygodni. Najgorszego nie wiedział jednak biedaczysko! Groziło mu kalectwo na całe życie. Lekarz obawiał się, że zerwane ścięgna u nogi spowodują sztywność; nie ulegało zaś najmniejszej wątpliwości, że będzie chodził pochylony na lewy bok.

Panie w Krakowie były mile żdziwione przybyciem Juliana. Zatrzymał się w tem mieście, raz dlatego, że sama grzeczność nakazywała złożyć tutaj pani Albertynie i Lizie wizytę — a nadto, że chciał poinformować się, względnie umówić, czy i pod jakimi warunkami uniwersytecki instytut mineralogiczny przyjąłby jego zbiory, znajdujące się dotąd w Monachium. Katalog tych zbiorów miał ze sobą; więc był przedmiot do dyskusyi. Nadto pragnął pomówić z profesorem o zamierzonej habilitacyi.

Pani Albertyna nudziła się okropnie i narzekała na wszystko, a najbardziej na Lizę, która ją tutaj chyba żywcem pogrzebać chce, prowadząc codzień po innych grobach i katakombach, ciągając po jakichś górach i kopcach, klasztorach i kościołach.

Odetchnęła głęboko, gdy obaczyła panów. Więc po pierwszem powitaniu i zwykłych pytaniach o zdrowie i odbytą podróż, nie ciekawa nawet na przebieg interesów — wyciągając drobną swą postać w fotelu — powiedziała tłumiąc ziewanie:

— *Also Gott sei dank — wir fahren schon nach Hause zurück!* Przecież pojedziemy raz!

— Pani zdaje się bardzo zmęczona? zauważył Julian.

— Okropnie; tu niema powietrza — *keine Luft — und so viele Juden!*

Zatrzęsła się febrycznie.

— Mamusiu! jeszcze jeden dzień; nie byliśmy na Bielanach, a pogoda taka piękna! prosiła Liza.

Matka złożyła ręce jak do modlitwy.

— *Mein Kind — du hast kein Herz!* ty nie masz serca i litości dla twojej matki. Ja nie mogę, *ich rühre mich nicht!*

— Ależ mamo, taki śliczny czas! prosiła Liza.

— Ja się kładnę *ins Bett;* a ty rób co chcesz! *Was du willst!*

Wreszcie po długich targach zadecydowano, że Bielany odpadną z programu, lecz natomiast jutro rano pójdą jeszcze raz zwiedzić groby królewskie na Wawelu. Wieczornym expressem mieli odjechać.

— Będzie pan łaskaw nam towarzyszyć? zapytała Liza Juliana.

— Z największą przyjemnością mogę państwu poświęcić dzień cały.

— O — to dobrze! zawołała ożywiona, pan mi niejedno objaśni i wytłumaczy. Paliłam się ze wstydu, gdyśmy tam z mamą pierwszy raz były. Jak ja nic nie umiem z naszej przeszłości!

Julian popatrzył w jej oczy. Jak ona to powiedziała: „z naszej przeszłości“, jak się przytem zapłoniła, jak jej głos zadrżał. Więc powiedział:

— Niechże pani siebie nie obmawia; jakżebyśmy dumni być mogli z tego, gdyby nas i przeszłość naszą wszyscy tak znali zagranicą, jak pani ją znasz.

Obrzuciła go pytającym wzrokiem a potem przybladła. Lecz on już zrozumiał, że ją dotknął boleśnie, więc przybliżył się, ujął jej rękę i rzekł tonem głębokim:

— Przepraszam panią bardzo — a bardzo.

Popatrzył jej przytem tak poczciwie w oczy i tak jakoś inaczej niż zwykle, że pod tym wzrokiem gorąca fala krwi pąsem oblała jej twarz. Wilgotne oczy przysłoniła powiekami, a z pod długich, czarnych rzęs migotały dwa najczystszej wody brylanty.

Julian patrzał na nią przez chwilę z prawdziwym zachwytem; serce mu głośniej w piersiach kilkakroć uderzyło, gorąco ścisnął drobną rączkę:

— Jeszcze raz panią przepraszam, szepnął.

Lekko odwzajemniła uścisk, a potem również szepnęła.

— Bardzo zabolało, ale już przeszło. Niech pan nigdy tej struny nie porusza, bo komplementu wystosowanego pod adresem panny von Plitz, mogłaby Sokulska nigdy nie przebaczyć.

— Z powodu gniewu panny Plitzównej mógłbym się rozchorować — ale umarłbym gdyby mi Sokulska nie przebaczyła — rzekł całkiem poważnie: a zaraz potem dodał głośno: Siostra moja zaprasza panią do Dębowca z wiosną — a rodzice przyłączają się do tej prośby.

Odezwaniem się tem, sprowadził rozmowę na ogólne tory. Jan zaczął opowiadać, co zastał w Jarkowie, co

postanowił na przyszłość — tak, że niebawem wtajemniczył matkę i siostrę we wszytkie swoje zamiary.

Pani Albertyna kiwała głową — krzywiła się, potem po cichu ziewała, aż wreszcie trzasnęła w palce i powiedziała:

— No — no! to dobrze, że do tej wiosny i do tego wszystkiego jeszcze tak daleko; — *ja! ja! noch sehr weit!*

Liza natomiast promieniała cała. Ten zimny dotąd brat wydawał sią jej teraz jakiś całkiem inny, jakby polskie słońce przepaliło go trochę i roztajało w nim dawniejsze lody a precz odegnało chłodne wiatry.

Słuchając go, miała uczucie, że deszcz kwiatów spada na nią.

Wesołych kwiatów.

Barwnych kwiatów.

Zdawało jej się, że gdzieś daleko, wstaje wielkie, promienne, spokojne słońce; że na niebie czyściutkiem ślizga się czyste jego światło, że to światło zagląda do jej duszy, że pod jego pocałunkiem rozstępuje się mgła, i całkiem blisko — niewysłowionem szczęściem — uśmiecha się do niej twarz babki. Ta dobra, niezapomniana twarz!

Liza była jakaś inna niż zwykle; Julian nie poznawał jej, brat się dziwił, a matka jeszcze więcej jej nie rozumiała.

Wszyscy jednak czuli, że idzie ku nim i zbliża się jakaś nowa przyszłość; — każde patrzało na tę przyszłość innemi oczyma i inaczej ją rozumiało.

Projektowaną nazajutrz wycieczkę do grobów królewskich trzeba było zaniechać. Powietrze w nocy cał-

kiem się zmieniło. Zimny wiatr pociągał od północy, deszcz ze śniegiem siekł od rana. Pani pułkownikowa skarżyła się, że jest cierpiącą, kaszlała mocno i nagliła do odjazdu.

Jakoż popołudniowym pospiesznym pociągiem postanowili państwo Plitzowie odjechać od domu.

— Kiedyż można się pana spodziewać nad Izarą? — zapytała Liza, ściskając lekko rękę Juliana na pożegnanie, a stojąc już przed otwartemi drzwiczkami przedziału, do którego pakierzy znosili całe stosy pudełek, pudełeczek i pakunków najrozmaitszej wielkości.

— Do dni siedmiu najpóźniej. Pozwoli pani, że zgłoszę się zaraz z zapytaniem o zdrowie? — odpowiedział, patrząc jej wymownie w oczy.

Skinęła głową; weszła potem za matką do przedziału; Jan je troskliwie poobtulał, a potem uścisnął prawicę przyjaciela.

Rozległ się gwizd maszyny; pociąg wkrótce osłoniła czarna smuga dymu. Julianowi zdawało się, że z poza tej smugi mignął jakiś daleki promień słońca.

Był to uśmiech Lizy.

* * *

W Krakowie nie mógł się załatwić w jednym tygodniu. Zbliżał się już prawie koniec października, gdy nareszcie upewniwszy się co do przyjęcia swych zbiorów, tudzież porozumiawszy się co do swego wykładu habilitacyjnego, mógł wybrać sie w dalszą podróż.

W tym czasie prowadził żywą korespondencyą z Dębowcem. Prawie co trzeci dzień miał list od Wandy,

a dwa razy pisał także ojciec. Więc wiedział, że roboty jesienne w polu pokończone, że Szymkowi codzień lepiej, że dom nad strugą tak jak gotów, że na zjeździe obywatelskim postanowiono zorganizować się i jednolicie postępywać w kwestyach ekonomicznych, tudzież bezwarunkowo stać przy organizacyi politycznej narodowej i centralnym komitecie wyborczym.

W listach ojca jednak było coś niedopowiedzianego, miejscami przebijał jakby jakiś ukryty żal, czasem znów wyzierała tajona gorycz. Julian czuł, że ojciec nie pisał wszystkiego, że starał się coś starannie przed nim ukryć.

Więc niespokojny i rozdrażniony opuścił Kraków.

Była godzina piąta popołudniu, gdy znalazł się w swej starej pracowni.

Zdziwił się i prawie zdumiał, tak w jego pokojach było ciepło, czysto, jasno i świeżo. Jakby dopiero wczoraj stąd wyszedł. Serce uderzyło mu silniej w piersiach, domyśliwał się czyjej to ręki widzi ślady, czyich to perfum subtelna woń rozpływa się w powietrzu!

Przebrał się szybko.

Za godzinę był już przed kamienicą Plitzów. Wszedł szybko po schodach na pierwsze piętro. Tu jednak stanął jakby wrosły w ziemię.

Drzwi do przedpokoju były otwarte na oścież. Widział, że kręcą się jacyś obcy ludzie — a przez otwarte podwoje bije ze salonu ogromna łuna przyćmionego jakiegoś światła.

Podszedł kilka kroków bliżej i oniemiał. Stał przed wysokim katafalkiem, otoczonym gromnicami — i toną-

cym w wielkiej, wspaniałej powodzi smutnych kwiatów. Widział wyraźnie ciemną, metalową — trumnę, całą osłoniętą koronkami, tiulami i gazami czarnemi. Widział, że w tej trumnie spoczywa jakieś ciało, bał się jednak spojrzeć w to miejsce pod krzyżem i dwoma świecami, skąd zwykle tak strasznie patrzą na nas te przymknięte oczy, które już patrzeć przestały. Ktoś wziął go pod ramię.

— Chodź do mnie; poznał za sobą głos Jana, i jak automat dał się poprowadzić.

Dopiero, gdy się znalazł w pokoju przyjaciela, zapytał:

— Co się stało?

— Matka! — powiedział Jan i głos mu się złamał.

Julian odetchnął głęboko, jakby z uczuciem wielkiej ulgi, a potem serdecznie przyjaciela uścisnął.

— Chorowała? — zapytał.

— Nagle tej nocy skończyła! Anewryzm serca.

— A cóż siostra?

— Ta najbiedniejsza straciła naturalny punkt oparcia. Przejdźmy do niej.

— Julian się zawahał. Jan zauważył to.

— Nie obawiaj się, to mężna kobieta — powiedział uspokojająco.

Weszli. W pokoju zaciemnionym koło fortepianu stała Liza, zapatrzona w światło ulicy.

Odwróciła się. Julian postąpił żywo; ona drgnęła, lecz została w miejscu. Ujął obie jej ręce, i, nic nie mówiąc, serdecznie ucałował.

Przez bladą jej twarz przeszedł jakby odblask dalekiej łuny, odwzajemniła uścisk i szepnęła:

— Dziękuję panu za współczucie, lecz, widzi pan, silną jestem. Na drodze mego życia rozsypało się tyle żałobnych kwiatów i wzniosło tyle mogił, że . . . .

Przeceniła swe siły, głos się jej złamał i załkała wewnątrz.

— To ostatnie żałobne kwiaty, to ostatnia mogiła — szeptał Julian poruszony do głębi — wesprzyj się pani o moje ramię, podaj mi rękę na nową drogę życia, gdzie już krzyżów, da Bóg, nie będzie.

Zamiast uspokoić się, wybuchnęła teraz spazmatycznym płaczem.

Więc tulił ją drżącą do siebie i sam drżał, bo zerwała się w nim nowa, potężna fala uczucia.

A Jan patrzał na to i przecierał szare swoje okulary, a potem białe ręce jego długo czegoś przetarte szkła zakładały na oczy.

XIII.

Zastawszy w Monachium tak zmienione stosunki, nie mógł Julian tak prędko wrócić do Dębowca. Świat nowy, jaki dlań się teraz tutaj otworzył, przykuł go na jakiś czas do boku Lizy.

Kochał pierwszą, gorącą miłością i czuł, że jest również silnie kochany.

Postanowili, że ślub ich odbędzie się zaraz po Wielkiejnocy; że aż do tego czasu Liza zostanie przy bracie; potem młodzi wyjadą wprost do Dębowca a Jan do Jarkowa, gdzie już przez zimę trzeba będzie przygotować materyały do budowy huty i domu mieszkalnego.

Spodziewano się, że do tego czasu będzie można korzystnie spieniężyć posiadłość w Monachium i uregulowoć interesa, a zarazem rozwiązać nici łączące ich z Bawaryą.

Ojczyzna babki Sokolskiej miała odtąd być i ich ojczyzną — w trzeciem pokoleniu wracali do tego nieobliczalnego kraju — do tego szarego nieba, co śmiejąc

się płacze, a przez łzy pada w serce promieniem nadziei i wesela.

Pożegnanie ich było krótkie, serdeczne. Wiedzieli, że drogi ich życia złączyły się już, i że kilka miesięcy tylko oddziela tę chwilę, w której rozpoczną nowy okres wspólności.

Dopiero w połowie listopada wracał Julian do rodziny.

Dzień był mroźny; śnieg pruszył gdy dojeżdżał do Dębowca, skłębione chmury przewalały się nad Jarkowem i zrębem.

A z jaką go tutaj oczekiwano niecierpliwością, jak się troskano o niego! Mieli dokładne relacye o wszystkiem, wiedzieli co przywoził ze sobą.

— Niech będzie i tak, mówił ojciec — dla niego przecież to żona, nie dla mnie. Sokulscy i Gadomscy dobre rody; po kądzieli wprawdzie, ale krew czysta i widać, że zacna i prawdziwa, kiedy jak oliwa wychodzi na wierzch.

— Co innego myślałam dla niego, smutnie kiwała głową matka, robiąc pończochę, ani ich tu nikt niezna, ani nikt o nich nie słyszał; a ten nieboszczyk — stary dziwak — Panie świeć nad jego duszą — był ni do Boga ni do ludzi!

Wanda cieszyła się — a Szymek, ten mało nie oszalał z radości, gdy się o wszystkiem dowiedział.

Chodził on już po pokoju o lasce, lecz niestety — sprawdziły się przewidywania lekarza — był kaleką.

Mieli więc o czem rozmawiać, było z czego zwierzać się, a do spraw osobistej natury przybyły i świeże kwestye społeczne.

Komisya dla reformy wyborczej ukończyła już była obrady i cały projekt ustawy w elaboracie swoim przedłożyła na stół zwołanej Radzie Państwa.

Nie ulegało prawie najmniejszej wątpliwości — że ustawa o reformie wyborczej przejdzie tutaj, z małemi chyba tylko poprawkami, w brzmieniu proponowanem przez większość komisyi.

I o dziwne! Nikt z projektu tej ustawy nie był zadowolony. Ani rząd, który wniósł zasadę reformy wyborczej, ani większość, która na zasadzie rządowej projekt opracowała, uchwaliła i przedkładała Radzie państwa, ani mniejszość komisyi, której wota w odrębnych sprawozdaniach szły przed plenum izby, ani wreszcie żadna narodowość, a tembardziej stronnictwo.

Wszyscy czuli w ustach smak gorzkiego lekarstwa; widzieli, że choremu państwu ordynują ciężką operacyą — po której pacyent albo wyzdrowieje, albo umrze.

Reforma wyborcza była tym postawem sukna, za który ciągnęły stronnictwa i narodowości, każde w swoją stronę — bez względu na to, co się z suknem stanie, byle tylko zagarnąć jaknajobszerniejsze terytoryum w moc swego posiadania. Sukno się ciągnęło, prężyło, rwało, zręczni krawcy wielkich stronnictw łatali je, nicowali, zabarwiali, przekrawywali, pruli, znowu zszywali, a w końcu tak pokręcili — że z tego sukna zostało akurat tyle; że każdy miał za mało, a wszyscy razem za dużo.

Do skrajnie niezadowolonych należeli naturalnie Rusini, którzy otrzymali 28 mandatów, a mieli ochotę

zagarnąć całą wschodnią Galicyę i stworzyć w przyszłej Radzie państwa liczebnie najsilniejszy klub analfabetów, mogący najlepiej nadawać się do wywalczenia siłą pięści tego, co się uśmiechało szefom sztabu ruskiego.

Więc gdy strejki i wiecy, pożary i teror, nie przyniosły pożądanego sukcesu i mocą nowo projektowanej ustawy wyborczej nie udało się zagarnąć wschodniego kraju w posiadanie — postanowili obecnie z innego rodzaju bronią wystąpić do walki z Polakami. Bronią tą miał być wielki milionowy fundusz bojowy z przeznaczeniem na masową agitacyą, reklamę w wielkim stylu, którąby objąć mogła najszersze tereny.

Tam gdzie nie mogła lub niemiała dojść agitacyjna kartka, miało skutek wywrzeć żywe słowo agitatora; więc nawoływano się, konsolidowano we wszystkich partyach, ze słusznego zresztą wychodząc założenia, że do takiej agitacyi olbrzymiej, potrzeba tysięcy sił i milionowego funduszu.

Postanowiono wciągnąć do zbierania składek całe rodziny, począwszy od dziadka — aż do wnuka w gimnazyalnym mundurku.

A prócz tego wszystkiego, o dziwo! w tej przepięknej krainie galicyjskich stosunków — wyrosła jeszcze jedna nowość! Oto znalazła się zapomniana dotąd jeszcze jedna biała gołębica Noego, która wyleciała z arki nowej reformy wyborczej, zatrzepotała skrzydłami nad wzburzoną falą i zanuciła pieśń przebudzenia, zaczynającą się od słów: J a m j e s t n o w a n a r o d o w o ś ć ż y d o w s k a, z a p o m n i a n a d o t ą d... j a m j e s t S y o n.

Więc i Syon młodziutki zaczynał gromadzić fundusz na przyszłą kampanię wyborczą.

A wszystko to przeciwko żywiołowi polskiemu i polskiemu kierownictwu krajem.

Troska przeto wielka padła na serca uczciwych mieszkańców w dębowieckim dworze, nie z obawy — czy się żywioł polski obronić zdoła, bo wierzono w to, się obroni i wytrwać potrafi — i także nie dlatego, że rządy w kraju mogą przejść w inne ręce — ale smutnem przewidywaniem klęsk, jakie spaść muszą na biedny i tak już wycieńczony kraj, gdy agitatorowie taką zwartą i nieprzebierającą w środkach falangą przebiegną go wszerz i wzdłuż!

Na usta cisnęło się straszne pytanie: Co z tego wyniknie? Kto zdoła zagoić rany, zadane całemu organizmowi społecznemu, ułagodzić stosunki rozjątrzone, uśmierzyć rozwydrzone namiętności i nienawiści — usunąć jad z zadanych ran, wypalić wściekłość, a potem zabliźnić i połączyć na nowo wszystko do wspólnej, pożytecznej i zbożnej pracy?

Czuli, że kraj musi się przygotować na straszne paroksyzmy, na konieczność walki z zakusami wrogimi i elementem rozkładczym, który nie pomny ofiar, jakie już pozostawił za sobą, z taką szaloną brawurą i tak całkiem otwarcie przygotowuje się znowu do walki i zniszczenia. Wiedzieli już wprawdzie, że wszystkie stronnictwa polskie w kraju podały sobie zgodnie ręce w pracy około stworzenia polskiej organizacyi wyborczej na zasadach całkiem odmiennych niż dotychczas — ale niestety — miało to się dopiero stać za zgodą i uchwałą Koła

sejmowego polskiego, które miało dać wytyczne do tej zmiany — a które, jak mówiono, jedno—jedyne w kraju upoważnione było do wydania decyzyi.

Więc trzeba było czekać aż do końca grudnia z załatwieniem sprawy tak doniosłej i jednej z najżywotniejszych, bo wtenczas miał się Sejm zebrać, a tymczasem nieprzyjaciel zaczynał już zagony zapuszczać i organizował zalew, zbierając skrzętnie grosz na fundusz bojowy.

— My tak zawsze — mówił z goryczą ojciec, deliberujemy — pertraktujemy, namyślamy się, zastanawiamy, przymierzamy, podczas gdy nieprzyjaciel łączy się, pracuje, wzmacnia i działa. Niejednokrotnie już przegraliśmy sprawę wskutek naszego safandulstwa.

— I przegrywać będziemy, jak długo oglądać się będziemy na nasze nieszczęśliwe: „nie wypada“, — na jakieś uprzywilejowane jednostki, lub choćby nawet i zbiorowe ciała — którym dotychczas jedynie w sprawach ogólnego znaczenia i doniosłości dziejowej zabierać głos i decydować wolno — dodał Julian z mocą. W takich chwilach przełomowych, jak dzisiejsza, każdemu wolno radzić i głos zabierać, każdy ma prawo wypowiedzieć swe zdanie, niema tu uprzywilejowanego lub urodzonego zbawcę; myśl dobra i szczęśliwa może się urodzić i poza schodem sejmowem -- więc można ją podjąć i przyjąć, byle tylko potem jednolicie i ramię przy ramieniu postępywać.

P. Dębowski przytwierdził, a potem dodał smutnie:

— Nie pisałem ci o tem — ale powiedzieć teraz muszę. — Oto za to wszystko, co wprowadziłem u sie-

bie na folwarku, za zabezpieczenie na starość służby, uregulowanie cen robocizny i t. d. spotkał mię na zebraniu ziemian ciężki zarzut, że wyłamałem się ze solidarności, że zrujnowałem sąsiadów, że ja będę odpowiedzialny poniekąd za to, jeżeli u nich strejki teraz wybuchną.

Julian patrzał na ojca osłupiałemi oczyma, a gdy surowa a zarazem smutna twarz jego stwierdzała, że to istotna i naga prawda, skoczył jak ciężko raniony i zawołał:

— Zginiemy, jak mi Bóg miły zginiemy, pochłonie nas ta wzburzona fala! Co za przewrotność!

I długiego czasu potrzebywał, zanim się uspokoił.

Lecz już tej nocy zasnąć nie mógł, choć był strudzony wielce.

Przemyśliwał długich dziesięć godzin — aż w końcu powiedział jako zwycięzca samego siebie:

Czyń każdy w swojem kółku, co każe duch Boży! i postanowił na drodze wytkniętej nie ustać, choćby go nawet zdrajcą nazwać mieli, tembardniej, że pod wzburzoną falą społeczną złe duchy materyał wybuchowy już zaczynały gromadnie.

* * *

Na drugi dzień wprowadzono Szymka na gospodarstwo do nowego domu nad strugą i oddano mu młyn w dzierżawę.

Zniosła się tam i matka jego. Zastał wszystko urządzone. Łkał jak dziecko, a łzy jego zraszały jałową i niewdzięczną dotąd rolę, padały na zagon, który miał być pomostem między dworem a chatą.

Czy będzie? Czy ziści nadzieje, które ożywiały w tej chwili serca? — Przyszłość to okaże!

A przyszłość ta niedaleka; przyjście jej zapowiadają już grzmoty!

KONIEC.

Pisałem we Lwowie.
Lipiec — Grudzień 1906.